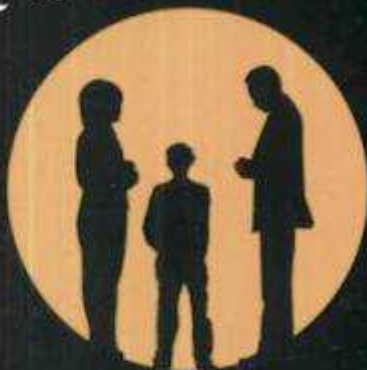


Agnieszka
Szygenda



KUPIĘ
reke

WBliskie

*Agnieszka Szygenda ma pióro lekkie,
a styl na tle współczesnej prozy polskiej
osobny. Samoistny. Specjalizuje się
w makabrycznej grotesce, wiele mówiącej
o pokoleniu profesjonalistów, wchodzących
powoli w wiek średni. Wolnorynkowi
przedawnicy pracy zaczynają przeliczać
zyski i straty, a kobiety po latach związków
przecierają oczy ze zdumienia.
Wieje grozą. Złonie czarnym humorem.
Dzieje się.*

Kazimiera
Szczuka

Nie mam zwyczaju mówić innym, jak powinni żyć.
Zbyt mało wiem o drugim człowieku.
W zasadzie nie wiem o nim prawie nic prócz tego,
że jest zupełnie inny niż ja.

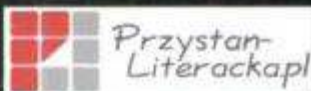
Agnieszka Szygenda

ISBN 978-83-930558-1-4



9 788393 055814

Patronat medialny:



Cena: 26,90 zł

Agnieszka Szygenda

KUPIĘ
rękę

Copyright © by „Wydawnictwo BLISKIE”, 2010

Copyright © by Agnieszka Szygenda, 2010

Projekt okładki:

Zojka Naumann

Redakcja:

Ewa Rojewska-Olejarczuk, Grażyna Nawrocka

Typografia:

Monika Lefler

ISBN 978-83-930558-1-4

Druk i oprawa:

WZDZ - Drukarnia LEGA

ul. Małopolska 18,

45-301 Opole

„Wydawnictwo BLISKIE”

Anna Łakomiec-Rekusz

ul. Dobra 29/14,

00-344 Warszawa

www.bliskie.pl

Książkę można zamówić pod adresem:

„L&L” Firma Dystrybucyjno-Wydawnicza Sp, z o.o.

80-298 Gdańsk,

ul. Budowlanych 64F

tel./faks: 0-58 520 35 57; faks: 0-58 344 13 38

infolinia: 0 801 00 31 10

www.ll.com.pl

[www, k.siegarnia-ll.pl](http://www.k.siegarnia-ll.pl)

Pamięci Pani Elżbiety Majcherczyk

Część I

„Kupię rękę”.

Ogłoszenie o takiej właśnie treści chodziło Olgierdowi po głowie już od kilku dni. Wiedział, że nic z tego nie będzie i nigdy żadna z gazet tego nie wydrukuje, lecz mimo to cieszyła go ta myśl, a właściwie krótka, zabawna treść.

„Kupię rękę”.

Pewnie nigdy by na to nie wpadł, gdyby nie przypadek. Pewnego dnia został w pracy o wiele dłużej niż zwykle. Z jednej strony przyprawiało go to o wściekłość, z drugiej - czuł mściwą satysfakcję.

Wściekłość - bo szef Olgierda, a zarazem jego teść, naprawdę mógłby sobie darować ciemnienie przyszłego następcy, wymagając od niego roboty, satysfakcję zaś - bo zużyta małżonka Olgierda mogła mieć pretensje wyłącznie do swojego ojca.

Niedobrze się stało, że przed laty Olgierd, wspaniale się zapowiadający student ekonomii, trafił na staż do tej firmy. To był pierwszy pech. Drugi nastąpił, kiedy zaproponowano mu podpisanie stałej umowy o pracę. Trzeci i

największy - kiedy poznał córkę szefa i w głowie zaświtała mu myśl, że mógłby pójść przez życie na skróty.

Po co awansować w pocie czoła po latach biurowej orki, skoro można się sprężyć i skoczyć raz, a wysoko?

Nie zastanawiał się długo. To była jedna z tych okazji, które trafiają się raz w życiu. Jednego dnia śpisz na wygniecionym gąbkowym materacu w jakiejś norze, a następnego budzisz się w eleganckiej sypialni, czując delikatne sprężynowanie luksusowego materaca przy każdym ruchu twojego ciała. Właśnie ta giętkość, owa obietnica dopasowywania się do Olgierda miały być zapowiedzią całkowitej zmiany w jego życiu. Dotychczas to on się musiał naginać, szukać i kluczyć; nieoczekiwana zmiana sytuacji miała mu zapewnić komfort na dalszy ciąg życia. Pierwszym nieśmiałym krokiem były oświadczenia, potem ślub z fanfarami i - byle wyżej, byle wyżej...

Wreszcie osiągnął maksimum swych możliwości - wyżej nie mógł już awansować. Pewnie gdyby teść w końcu odszedł na emeryturę, Olgierd mógłby spełnić swoje marzenie o zarządzaniu firmą, teść jednak miał się dobrze i nie zanosilo się na żadne zmiany.

A Olgierd nie mógł już czekać.

Miał trzydzieści siedem lat.

Nie mógł również odejść, bo to wiązałoby się z zaprzepaszczaniem całego dotychczasowego poświęcenia. Nie, na to nie mógł sobie pozwolić.

Konsultingowa firma teścia prosperowała znakomicie i Olgierd zdawał sobie sprawę, że w każdym innym tego typu biznesie mógłby być specjalistą zaledwie w jakiejś wąskiej dziedzinie; obrabiaczem małego skrawka, on zaś mierzył znacznie wyżej: chciał władzy i pieniędzy. Wąska specjalizacja jest dobra dla przeciętniaków. Olgierd miał wizję wykraczającą poza idiotyczne zakopywanie się w jednym temacie. Był pewien, że ze swoimi zdolnościami może zająć bardzo wysoko. Taki wyznaczył sobie cel. Wyprzedzić wszystkich i zostawić ich za sobą daleko w tyle. Od kiedy pojął, że życie wśród ludzi jest nieustanną walką przypominającą bieg przez chaszcze, postanowił biec, nie oglądając się za siebie. Przecież życie właśnie na tym polega, że albo widzi się plecy lidera, albo daje się innym oglądać swoje.

Tam, na przedzie, jest się nareszcie wolnym, jednym jedynym, niezagrożonym przez nikogo. Wypracowany dystans sprawia, że to lider decyduje, kiedy pozwoli innym zbliżyć się do siebie, określając równocześnie stopień zażyłości. Najlepiej zerowej, bo wystarczy moment nieuwagi, żeby dać się podejść zbyt blisko i spaść.

Do wyprzedzenia pozostały jeszcze tylko jedne plecy... Stare i tym bardziej denerwujące, że ciągle pełne życia i siły.

Tego dnia, kiedy Olgierd, z powodu dodatkowych obowiązków, został w pracy po godzinach, postanowił znaleźć jakieś antidotum na firmowy i domowy kierat.

Po uporaniu się ze wszystkimi zaległościami wpisał do internetowej przeglądarki hasło „nietypowa reklama”. Miał zamiar znaleźć i wprowadzić w firmie jakiś nowatorski pomysł. Chciał zabłysnąć. Niech stary zbuk podziwia kreatywność genialnego zięcia i niech spieprza na cmentarz.

Wynik wyszukiwania był zaskakujący. Wprawdzie setki linków zniechęcały do szczerzego zagłębiania się w problem, ale Olgierd, z pozoru człowiek łagodny i spokojny, był nadzwyczaj uparty. Nie zawsze tak było. W dzieciństwie, wtłoczony w sztywne ramy obowiązków i nakazów, nie odważał się na bunt. Był po prostu przeciętny - niezbyt wyrazista twarz, krótkie włosy, średni wzrost. Zginąłby w tłumie, jak ciuch wrzucony do pralki automatycznej, gdyby nie to, że zrobiono mu pranie mózgu o jeden raz za dużo.

To wtedy, mając jakieś siedemnaście Jat, postanowił dać z siebie wszystko, żeby wyrwać się z szarzyzny, przeciętności i odciąć od wszystkiego, co przez lata ładowano mu do głowy. Nie potrzebował przeszłości, która - zamiast pchać do przodu - ciągle zawracała go z obranej drogi, próbując zepchnąć na ścieżki deptane przez tłum. Musiał się odbić, odciąć od korzeni, rozwinąć skrzydła. To, co minęło, nie ma żadnego znaczenia. Nawet terażniejszość jest tylko stanem przejściowym, nic nieznaczącym zlepkim czasu i przestrzeni, unicestwianym przez umykający czas. Terażniejszość powinna po prostu zwiększać komfort oczekiwania. Tylko tyle.

Bo liczy się jedynie przyszłość.

Teraz, kiedy nosił eleganckie, luksusowe koszule i garnitury wybrane przez zatrudnionego w firmie stylistę, wreszcie wyróżniał się na tle innych. Niewątpliwie bez stylisty również dałby sobie świetnie radę, ale zatrudnienie takowego mile łechtało jego próżność i pogłębiało doznania wywoływane przez dotyk markowej metki. To samo dotyczyło dietetyka i wizazysty.

Pierwszy link, jakaś firma reklamowa - na drzewo. Na pewno nie mają do zaoferowania nic, co stałoby się pożywką dla kreatywności Olgierda. Na drugi link kliknął z niedowierzaniem.

Aukcja internetowa.

- Pewnie jakiś żul wciska naklejki reklamowe lub jakieś inne gówno - mruknął pod nosem.

„Nietypowa reklama. Jeśli wygrasz licytację, pozwolę wytatuować na swojej ręce logo twojej firmy. Nie odwołuję ofert”.

Olgierd aż podskoczył.

„Kupię rękę”.

Tak, mógłby zamieścić gdzieś takie ogłoszenie i skupować różne części ciała. Pewnie jeszcze nikt na to nie wpadł. Otworzyłby swoją małą firemkę na boku. Miałby niewolników.

Nie, to bez sensu. Żadna z szanowanych firm nie pójdzie na taki rodzaj reklamy. Trzeba dać sobie spokój.

Tylko że ziarenko trafiło na podatny grunt.

Miał sen. Znowu był dzieckiem. Dzieckiem szkoły. W szkole szkoła, w domu szkoła.

W szkole rodzice niby swoi, a jednak obcy, mający w stosunku do niego takie same wymagania jak do innych dzieci.

W domu - ojciec, nauczyciel geografii, i matka polonistka. Przewrażliwieni na punkcie własnego nauczycielstwa. Oni nie chcieli mieć dziecka. Oni musieli mieć ucznia. Dzieciństwo równało się edukacji szkolnej, od której nie było ucieczki. Był to system lekcji i krótkich przerw. System odrabiania. Lekcji i zaległości. System dni wolnych i świąt. System sprawdzianów i ocen. O ile szkołę, tę publiczną, ukończył z wyróżnieniem, o tyle w domowej nigdy nie był wystarczająco dobry. No, może „nigdy” to zbyt wielkie słowo.

Olgiert nienawidził szkoły i teraz pocił się, rzucając na łóżku, bo zapomniał przygotować odpowiednią oprawę na Dzień Nauczyciela. Nie miał ani kwiatka, ani wiersza w zanadrzu, ani laurki z życzeniami. Zdenerwowany sięgał po kolejne kredki, żeby szybko napisać życzenia, a głupie litery rozplływały się i znikwały w powietrzu. Instynktownie czuł, że już nie zdąży. Że za chwilę usłyszy zgrzyt klucza w zamku i ujrzy rodziców z naręczem kwiatów przyniesionych ze szkoły. Nie mógł być gorszy od innych dzieci. Przecież dokładnie wiedział, że ten dzień jest ważniejszy od ich urodzin. Bo stawia rodziców w szeregu zasłużonych dla ojczyzny. Bo można harować, zarabiając marny grosz tylko w takim zawodzie, do którego dorabia się jakąś ideologię. I że jeżeli nikt nie opłaci nauczycielskiego trudu godziwym wynagrodzeniem, to trzeba to

zrobić inaczej. Tak aby ten, który pracuje za darmo, wierzył w swą misję.

Olgierd w panice szukał dobrej kredki. Już słyszał kroki na klatce schodowej. Jeszcze moment i rozlegnie się pukanie. Pukanie jest sygnałem dla niego, że za chwilę otworzą się drzwi. Z przerażeniem patrzył na pustą kartkę. Gdyby mógł gdzieś uciec, gdyby mógł się schować przed rozczarowaniem w oczach matki... Gdyby mógł nie czuć zawodu ojca...

Przywarł do drzwi obitych gąbką i lichą skórą. Zaparł się nogami, jakby w ten sposób mógł opóźnić moment wejścia rodziców do mieszkania. Z rozpaczą patrzył na pustą kartkę i przekłętą kredkę. Dziecięca rączka zacisnęła się w piastkę. Z całej siły rzucił papierową kulkę w głąb mieszkania i zaparł się o futrynę. Ktoś pukał. Olgierd powstrzymywał się z całej siły, żeby się nie rozpłakać. Płacz zabiera energię, która teraz była mu niezbędna do utrzymania zapory. Jeśli się uda, rodzice pomyślą, że zepsuł się zamek, i zejda na dół po dozorcę. Wtedy on zyska kilka minut, żeby znaleźć dobrą kredkę.

Pukanie było coraz bardziej natarczywe. Czuł, że opada z sił i dłużej nie utrzyma prowizorycznej barykady. Coś na niego runęło...

- Tato!

W pierwszej chwili nie rozumiał, co się dzieje.

- Tato, pamiętasz, że mam niedługo urodziny?

Powoli wracała mu świadomość. Zgubiona kredka odpłynęła razem ze złym snem. Snem z przeszłości.

- Ile razy ci mówiłam, żebyś nie budził ojca?
- usłyszał karzący głos swojej wycieńczonej jedynym porodem małżonki.

Przez te kilkadziesiąt sekund przez duszę Olgierda przetoczyła się lawina uczuć. Od ulgi po gniew, że go obudzono, i irytację, jaką budził w nim tembr głosu kobiety jego życia. Nudnego życia.

- Zostaw go - warknął, unosząc głowę z poduszki.

Syn stał przy łóżku, niepewnie przenosząc wzrok z matki na ojca.

- Co mówiłeś o tych urodzinach? - zwrócił się Olgierd do dzieciaka, przecierając oczy.

- Mam niedługo urodziny, pamiętasz?

- A czy kiedyś zapomniałem? - Głos miał schrypnięty od snu.

- Mama mówi, że masz dużo pracy i że wystarczy, jeśli wybiorę sobie prezent. A ja chciałbym pójść gdzieś z tobą w urodziny, jak chłopaki.

- Jakie chłopaki?

- No, jak Antek miał urodziny, to tata zabrał go do McDonalda. A Anielka mówiła, że tata wziął ją na karuzelę. Ja też bym tak chciał.

- McDonalda czy karuzelę? - Komórki mózgowe zaczynały pracować.

Mały chwilę się zastanawiał. W sumie karuzela mogła być większą atrakcją. McDonald to McDonald; matka często go tam zabierała bez okazji i to na pewno nie zrobi na nikim wrażenia.

- Wolalbym karuzelę - powiedział nieśmiało.

W sypialni przez chwilę panowała cisza. Teraz zastanawiał się Olgierd.

- To na pewno nie chcesz żadnego prezentu?
- spytał, siadając na brzegu łóżka.

Dziecko zrozumiało, że w tym momencie musi podjąć decyzję. Pewnie fajnie byłoby dostać jeszcze jedną zabawkę. Jaka to jednak przyjemność bawić się w kółko samemu? A wyjście z tatą to byłoby coś. Coś, czego jeszcze nigdy nie przeżył. Czego nie pamiętał.

- Chcę pójść z tobą, tato.

- A widziałem fajne klocki. Nowa seria. Pewnie nikt jeszcze takich nie ma. - Olgierd chciał się trochę podroczyć. Niech gówniarz wie, że w życiu nie ma lekko. Że zawsze jest coś za coś. Równocześnie w myślach próbował dopasować datę urodzin do konkretnego dnia tygodnia. Jak nic wypadło mu to w czwartek. Lepiej, żeby młody skusił się na zabawkę. Nie trzeba będzie wtedy wychodzić wcześniej z pracy i szwendać się po mieście.

- Mówiłam ci, że tata jest zajęty - usłyszał głos Alicji. To przeważyło. Podjął decyzję, nie czekając na odpowiedź dziecka.

- Widziałem te klocki, ale jestem pewny, że mogą poczekać do następnej okazji. To co, jesteśmy umówieni na wspólne wyjście? - Wstał już i wyjmował z szafy ubrania. Coś przywarło mu do nogi. Niewiele brakowało, a straciłby równowagę i runął jak długi. Już, już miał rzucić jakieś przekleństwo i nakrzyczeć na dzieciaka, ale spostrzegł uchylone drzwi. Nie da jej tej satysfakcji.

- No dobra. Puść mnie już, bo spóźnię się do pracy. Zresztą ty też wołaj matkę i niech cię wiezie do przedszkola.

- Dziękuję, tatusiu. - Dziecko zwołniło uścisk i Olgierd mógł swobodnie ruszyć do łazienki.

- W końcu to twoje urodziny - powiedział, zamykając drzwi. - Szóste. - I dodał w duchu: - Sześć lat temu miałem jeszcze plany i nadzieje. A teraz zostały mi tylko McDonaldy i karuzele.

Iga siedziała przy kuchennym stole i co chwila spoglądała na zegarek. Mariusz już dawno powinien być w domu. Co prawda trudno nazwać domem małą wynajętą klitkę o powierzchni dwudziestu metrów kwadratowych, ale lepsze to niż pokój w akademiku dzielony z kilkoma osobami tej samej płci i przepychanki do wspólnej kuchni i toalety. Tym bardziej że Idze zostało, zaledwie kilka miesięcy do otrzymania wymarzonego tytułu magistra kulturoznawstwa. Musiała się tylko skupić na skończeniu pracy magisterskiej i egzaminie.

Z tym ostatnim nie powinno być problemu - przez lata studiów przygotowywała się do zajęć bardzo gorliwie. Nie mogła sobie pozwolić na utratę stypendium. Z Mariuszem znali się od dziecka. Spotykali się już w piaskownicy, nie wspominając o ulicach małego miasteczka, w którym się urodzili i wychowywali. Była świadkiem, jak z nieco puciołowatego chłopczyka wyrasta na wysokiego i przystojnego mężczyznę. Czarne, kręcone włosy, w latach szkolnych spływające niedbale do ramion, teraz nosił

przycięte przez dobrego fryzjera. Lubiła zanurzać w nich dłonie. Aż dziw, że Mariusz, mający spore powodzenie u dziewcząt, wybrał właśnie ją na towarzyszkę swojego życia. Miał w sobie to „coś”, na co składało się poczucie humoru, niespotykana pewność siebie, a może też blask płynący z orzechowych oczu. Nigdy nie ośmieliłaby się wziąć udziału w wyścigu o jego względy. Może właśnie dlatego ją zauważył. Po kilku latach szkolnej miłości, za zgodą rodziców i z nieco wymuszonym błogosławieństwem starszyny, zamieszkali razem w dużym mieście. Dzięki temu Iga miała łatwiejszy start. Kiedy przyjechała do Warszawy, Mariusz już tu był. Trzy lata starszy, to on przetaił jej szlaki. Studia informatyczne ukończył w pierwszym terminie, co napawało go dumą, gdyż od razu mógł rozpocząć upragnioną pracę. Zajmował się administrowaniem siecią komputerową w jednej z zachodnich firm. Lubił ją. To znaczy lubił swoją pracę. Igę pewnie też; przecież nie można kogoś kochać, równocześnie go nie lubiąc. A Mariusz od czasu do czasu powtarzał wyznanie miłości. Może nie było w tym już takiego entuzjazmu i żaru jak przed laty, ale przyparty do muru wiedział, jak wzbudzić w sobie egzaltację i zaspokoić uczuciowe potrzeby narzeczonej. To drobne wyznanie było niewielką ceną za władzę. Wiedział, że mu się należy, ale jak każdy mądry władca miał świadomość, że poddanych nie można ciemiężyć bez konsekwencji. To mogło doprowadzić do buntu albo krwawej rewolucji. Nie potrzebował w domu barykad ani rozlewu krwi. Był przecież

mądrym królem. Poddanych trzeba czasem pogłaskać, nie zaszkodzi również szepnąć im na ucho paru ciepłych słów. Wtedy ma się pewność, że poddany dla własnego dobra pozwoli sobą kierować. Z tej prostej przyczyny, że to król jest najmądrzejszy na świecie i wie, co jest najlepsze dla innych.

Iga czekała więc na króla, choć nie miała pojęcia, że jest poddaną. Właściwie jedyną poddaną. Co prawda, Mariusz lubił mieć zawsze ostatnie słowo i często mu ustępowała, ale taki zdecydowany i kochający mężczyzna to skarb. A w końcu wszystko i tak robił dla ich wspólnego dobra. Lada miesiąc mieli przecież wziąć ślub i zacząć płodzić dzieci.

Tymczasem ukochany nie wracał.

Nastały takie czasy, że trzeba pracować od świtu do nocy i nie narzekać. Chociaż troszkę szkoda, bo mieli dzisiaj zjeść uroczystą kolację. Okazja była nie byle jaka - czwarta rocznica ich nieformalnego związku. Byli jak stare dobre małżeństwo. Znali swoje zalety, wady, reakcje. Przewidywalność jest nudna tylko dla osób nie-dojrzałych. Każdy dorosły wie, że to gwarancja spokoju. Jak dziecko czuje się bezpieczne w rutynie codziennych czynności wyznaczonych mu przez czas i opiekunów, tak dorosły szuka stabilizacji. Poczucia bezpieczeństwa. Spokoju. Świętego spokoju.

Świece ustawione na uroczystie nakrytym stole wypaliły się już do połowy. Przygotowane dania wystygły, a majonez na sałatce zaczął

przybierać ciemnożółty kolor. Iga zerwała się i skoczyła do lodówki, żeby naprawić ten mankament. W przelocie rzuciła okiem do lustra. Wyglądała całkiem, całkiem. Gdyby przeglądała się w lustrze w domu rodziców, zapewne opis brzmiałby następująco: dwudziestoczteroletnia stara panna, niebrzydka, ale niestety panna. W lustrze wiszącym w warszawskiej klitce wyglądało to może nie idealnie, ale o niebo lepiej: błękitnooka blondynka, jeszcze singielka, ale już z zaręczynowym pierścieniem na palcu. Iga uniosła dłoń z pierścieniem na wysokość twarzy i szybkim ruchem poprawiła fryzurę. Długie włosy okalały twarz i spływały luźno na ramiona. Na ich tle zieleń kamienia w pierścionku była jeszcze intensywniejsza.

Dobrze, że nie mieli tu dużego lustra. Musiałyby wtedy przejrzeć się cała, pulchniejsza o kilka zimowych kilogramów. Czują tę okropną pięciokilogramową nadwagę w szwach ubrań i naciskach guzików. A jeszcze bardziej, kiedy Mariusz wracał do domu i bez zachwytu obejmował jej ciężką kibić.

Zazgrzytał klucz w zamku i Iga doskoczyła do stołu. Nie musiała iść do przedpokoju, bo w niewielkim mieszkanku wszystko było na wyciągnięcie dłoni z pierścieniem zaręczynowym na palcu. Ostatni raz rzuciła okiem na udekorowany stół. Wszystko wyglądało idealnie.

- Kochanie, przepraszam za spóźnienie, ale to przez te cholerne korki. - Mariusz rzucił płaszcz na oparcie krzesła i zdjął buty. Dopiero po chwili zauważył odświeżone nakryte stół. -

Chyba nie zapomniałem o jakiejś ważnej dacie?

- Ważnej i nieważnej. - Iga była trochę rozczarowana, że nie przyniósł nawet małego bukietu kwiatów. Nie mogła jednak tego okazać, bo zepsułaby mu dobry nastrój. Przecież sama wyraźnie słyszała to „kochanie”.

- Czyli jednak zapomniałem? - Spojrzał na nią pytająco.

- To nasza czwarta rocznica - wyjaśniła, podsuwając mu talerz. - Czwarta i ostatnia, bo przecież jak weźmiemy ślub, to wszystko zaczniemy liczyć od początku.

Mariusz sięgnął po widelec. Zastanawiał się, co zwykł mówić król w chwilach, gdy się okazywało, że zapomniał o obchodach ważnego święta państwowego.

Cholera - przemknęło mu przez głowę - mogłem sobie darować dziś te flirty z Agatą. Co za pech!

Przez chwilę miał poczucie winy, ale to natychmiast zniknęło, kiedy zobaczył, że Iga sięga po sałatkę.

- Chyba nie chcesz się opychać o tak późnej porze?

Ręka Igi zamarła w powietrzu. Cofnęła dłoń od salaterki. Znowu. Znowu ten przytyk, że jest za gruba.

Mariusz zauważył, że w oczach wzbierają jej łzy. Nie mógł dopuścić, żeby się rozpląkała. Znowu miałby cały wieczór zmarnowany przez

przepraszanie, a przecież za kilka minut miała się rozpocząć Liga Mistrzów.

- Iga, no co ty - zaczął niepewnie. - Przecież ja tylko tak, dla twojego dobra. Sama mówiłaś, że musisz się pilnować, żeby na ślubie być najpiękniejszą panną młodą. Mówiłaś tak czy nie? - dodał już bardziej zdecydowanym tonem.

Miał rację. Świętą, przenajświętszą rację. Przecież on to powiedział dla jej dobra. Przecież mu zależy. Ciągle, mimo upływu kolejnych lat, on ciągle jej chce. Mimo milionów kobiet mijających codziennie na ulicach.

Zalała ją fala wdzięczności. Odłożyła widelec i bez żalu odsunęła miskę z sałatką. Pomyślała, że chciałaby mu ofiarować jakiś szczególny prezent. Nie w dniu ślubu. Po co czekać jeszcze parę miesięcy? Dziewictwa już nie ma. Ale przyszedł jej do głowy wspaniały pomysł, jak ponownie ofiarować mu siebie.

Olgierd postawił służbowe auto na parkingu przed budynkiem firmy. Sięgnął po neseser leżący na siedzeniu pasażera i wziął głęboki oddech.

Żadna praca nie hańbi - mruknął półgłosem, wysiadając z samochodu. To powiedzenie było dla niego jak mantra, którą powtarzał kilkanaście razy dziennie od chwili, kiedy zrozumiał, że jego awans zależy od śmierci teścia. A przecież tyle serca wkładał przez te wszystkie lata w powierzone mu zadania. I wszystko na próżno. Jego wspaniała kariera zatrzymała się z hukiem

i nie miał szans, żeby cokolwiek w tej sprawie zrobić. Przecież nie zabije dziada.

Kiedyś bolało go, że dla innych dzieci zawsze był dzieckiem nauczycieli. Według nich jego dobre oceny wynikały wyłącznie z powiązań rodzinnych. Nieważne, ile godzin poświęcił na naukę. Każda jego dobra ocena była potwierdzeniem, że na świecie nie ma sprawiedliwości. Odkąd pamiętał, w opinii innych wszystko zawdzięczał pozycji swoich rodziców. Teraz, patrząc z perspektywy czasu, dokładnie widział tę „pozycję” i na myśl o tym śmiać mu się chciało.

Jak na ironię, sytuacja się nie zmieniła.

W firmie nieraz chwycił nieprzychylnie i pogardliwe spojrzenia niektórych pracowników. Oni też uważali, że jego menedżerskie stanowisko wynika wyłącznie z koneksji. Jak cień ciągnął się za nim zarzut nepotyzmu.

W Olgierdzie z każdą sekundą narastała frustracja. Był już tak blisko, tak blisko...

W końcu jego gabinet sąsiadował z gabinetem przełożonego... Gdyby temu ostatniemu coś się stało, mógłby uciąć wszystkie niesprawiedliwe spekulacje na temat swoich awansów. Mógłby wyrzucić na pysk tę bandę darmozjadów i leni, którzy nie wiedzą, co to poświęcenie dla firmy. Mógłby przyjąć do pracy stado owieczek wdzięcznych za comiesięczną pensję i regularne ubezpieczenie społeczne.

Zabójstwo nie wchodziło w rachubę. Nie w rzeczywistości, bo Olgierd nie był potworem. Był statecznym biznesmenem, ciężko pracującym przez całe życie, żeby stać się kimś. Żeby

stać się poważanym człowiekiem. Szefem.

Przecież nie można przez całe życie traktować człowieka jak ucznia.

Maminsynka, kujona, dupka.

Koledzy przychodzili do niego tylko z jednego powodu. Dobrze było pokazać się w jego domu i zaskarbić sobie chwilową przychylność jego rodziców. To zawsze mogło się przydać; szczególnie jeśli zbliżał się czas wystawiania ocen. Nabierał się jak głupi na te mizdrzenia; z przejęciem wyobrażał sobie wspólne zabawy z kolegami, ale gdy przychodziło co do czego - zawsze woleli w domu rozmawiać z jego rodzicami. Wtedy byli tacy grzeczni, tacy układni... Tak naprawdę chodziło im tylko o to, by wkraść się w łaski jego starych.

Było to widać zwłaszcza w czasie wakacji. Wtedy, po wystawieniu ocen, Olgierdem nie interesował się pies z kulawą nogą.

Lizus, mięczak, kabel. Skarżypyta.

Nigdy go nie zapraszano. W obawie, że doniesie o chłopięcych bójkach, pierwszych potajemnie wypalanych papierosach czy łykach gorzkawego taniego wina.

A przecież nigdy by ich nie zdradził.

Może zresztą to lepiej, że nie był wtajemniczony w te spotkania na opuszczonych placach. Rodzice i tak by mu nie pozwolili tam chodzić. Trzymali go pod kloszem; nie jak największy skarb, ale jak więźnia, który ma za zadanie odpracować swój uczniowski żywot.

Cienias. Kapuś. Gnida.

To ostatnie bolało najbardziej, bo choć buntował się przeciw nazywaniu nauczycieli wszami, sam niekiedy łapał się na tym, że myśli w podobny sposób. Byli jak pasożyty karmiące się krwią i młodością uczniów. A przecież nie powinni im zazdrościć. Każdy ma w życiu swoją szansę. Nikt nie rodzi się stary, zgorzkniały i bez nadziei. Kiedy noworodek wyslizguje się z łona matki, można by przysiąc, że pod umazaną krwią skórą na plecach ma zaczątki skrzydeł, które przy umiejętnym ćwiczeniu i sprzyjającym wietrze poniosą go kiedyś do krainy spełnienia marzeń. Cóż, czasami skrzydła odpadają, gubią się albo niechcący zostają wyrwane przez najbliższych. Nie każdy zdaje sobie sprawę, że one istnieją i że są jednym z najważniejszych organów człowieka. Jeśli pozostają nieużywane, człowiek staje się jak kaczka, która potrafi tylko kwakać i kręcić kuprem, taplając się na krzywych nogach w błocie.

Wszy nie mają skrzydeł.

Chyba nawet nie mają nóg.

Nigdy nigdzie nie dojdą.

W takiej sytuacji jest się skazanym na pełzanie. Wtedy pozostaje kurczowo uczepić się innych i w ich cierpieniu znajdować zadowolenie.

Więc niektórzy są jak pasożyty, ale to nie oznacza, że ich potomstwo można bezkarnie nazywać gnidami.

I jeśli rodzice Olgierda mieli jeszcze - co było trudne do uwierzenia - swoje skrzydła, skrzętnie

chowali je przed światem. Może nawet zapomnieli o ich istnieniu. Może nie mieli odwagi ich rozwinąć. Bo mało prawdopodobne, żeby świadomie zaprzestali ich używania.

Tak czy owak, byli zbyt wymagający.

Podobno chcieli dla niego jak najlepiej; tak przynajmniej mówili.

Nie wierzył im, rozdarty pomiędzy dwoma światami i do żadnego z nich nienależący.

Tak bardzo chciał mieć przyjaciela. Jeszcze bardziej - poczucie wolności. I pewność siebie. Tak, to ostatnie pozwoliłoby mu plunąć na kolegów i wszystko dookoła.

Teraz w końcu ją miał. Musiało minąć wiele lat; włożył w to naprawdę mnóstwo wysiłku.

Przecież nie jest łatwo zamknąć się na innych od środka, kiedy wszystko wyrywa się do drugiego człowieka.

Najlepszym sposobem na uniknięcie rozczarowań jest właściwa postawa życiowa.

Wypracowywał ją sobie przez lata. Sam.

Wchodząc do gabinetu, polecił sekretarce, żeby nie łączyła żadnych rozmów. Potrzebował trochę czasu dla siebie. Musiał się uspokoić. Skierować myśli na inne tory.

Relaks. Potrzebował relaksu.

„Kupię rękę”.

Nie mógł dać takiego ogłoszenia. Zaraz przypięłyby się do niego jakaś szmatława gazeta albo sama policja. Na pewno wzięliby go za jakiegoś handlarza organów. A przecież chodziło

tylko o leasing. Nie żadne tam wymiany czy skup. Leasing ludzkiej skóry.

W wyszukiwarce internetowej wystukał kilka słów: reklama, ręka, aukcja.

Bez trudu odnalazł ogłoszenie o nietypowej reklamie. Aukcja zaczynała się od złotówki.

Mało się facet ceni - przemknęło mu przez głowę.

Do zakończenia aukcji pozostało kilka godzin. Żadnych chętnych.

- Ludzie są głupi. Taka oferta i żadnego zainteresowania. Tym lepiej dla mnie - uśmiechnął się w duchu. Do końca pozostało sześć godzin i czternaście minut.

Odsunął się od komputera. Na telefonie komórkowym ustawił alarm przypominający o godzinie zakończenia aukcji. Za sześć godzin zamierzał zostać właścicielem czyjejś skóry na ręce. Później zastanowi się, co każe tam wytatuować. Teraz nadszedł czas, żeby pokazać firmie swoje zaangażowanie i lojalność. Zamknął Internet i zawiadomiwszy sekretarkę, że może już łączyć rozmowy, sięgnął po stertę ofert.

Stał na korytarzu i rozmawiał z jednym ze współpracowników, kiedy telefon zaczął pikać. Całe szczęście, że rozmówca nie był nikim ważnym i Olgierd mógł bez wyjaśnień uciąć rozmowę. Postanowił jednak, że następnym razem ustawi alarm z większym wyprzedzeniem. Jeżeli będzie następny raz. Wrócił do gabinetu i kliknął na link do interesującej go aukcji. Tak jak

myślał - nikt się nie skusił na nowatorską ofertę reklamy. Korciło go, żeby wygrać aukcję za symboliczną złotówkę. To by była kupa śmiechu, gdyby tak tanio kupił sobie niewolnika. Przeczucie mówiło mu jednak, że właściciel wystawianej na aukcji skóry mógłby się wycofać ze swojej oferty nawet za cenę zdeptanej reputacji. Dla Olgerda zaś nie byłoby to działanie przyszościowe. Musiał zagrać tak, żeby następni chętni pchali się na witrynę aukcji ze wszystkich stron i dawali mu prawo wyboru.

Cena pięciu tysięcy złotych nie wydała mu się zbyt wygórowana. Dopóki popyt przewyższał podaż, trzeba było jakoś zachęcić jeleni do podwijania rękawów i wstawiania rąk do sklepu. Zaczekał do ostatniej minuty i wpisał swoją kwotę. Z napięciem patrzył na ekran monitora. Ręka mu drżała, kiedy co chwila, jak szalony, odświeżał stronę. Po kilkunastu sekundach jego oczom ukazał się napis: aukcja zakończona. Najwyższa oferta: Biznesmen. Cena 5000 złotych.

Kilkadziesiąt kilometrów od stolicy dwudziestodwulatek imieniem Tomek jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ekran monitora. Właśnie jakiś dobroczyńca wyciągnął do niego dłoń. Albo złapał jego wyciągniętą rękę. W każdym razie - dał mu szansę.

Tomek, od kilku miesięcy poszukujący jakiegokolwiek pracy, która umożliwiłaby mu kontynuowanie wymarzonych studiów, niemal już

stracił nadzieję, że to się uda. Pomyśl z reklamą na ręce był ostatnią deską ratunku. Kiedy zauważył, że matka wyprzedaje z domu ostatnie w miarę cenne rzeczy, aby utrzymać syna i opłacić mu naukę, coś w niego wstąpiło. Rozczarowanie wynikające z niemożności znalezienia pracy osiągnęło apogeum. Przecież był młody, niegłupi, zdrowy i miał dwie silne ręce. Ale tych rąk nikt nie potrzebował.

A jednak.

Czasem Bóg układa ludzkie losy pokrętnie nie dlatego, żeby człowiek się zagubił, ale żeby nauczył się z najcięższych sytuacji wychodzić na prostą.

Pięć tysięcy złotych to kupa kasy. Jak zaciśnie pasa, to wystarczy na pół roku. Przez tych kilka miesięcy na pewno znajdzie coś stałego.

Oby tylko Biznesmen się nie rozmyślił - pomyślał z niepokojem. - Mam nadzieję, że to nie był z jego strony jakiś cholerny żart.

Tomek nie zastanawiał się nawet przez moment, jakie logo będzie musiał sobie wytatuować. Nie miało to dla niego żadnego znaczenia.

Pokażę gościowi, że jestem uczciwym kontrahentem - obiecywał sobie w duchu. - Przysięgam na wszystko, że nie będę zakrywał napisu ubraniem. Jeśli można nosić koszulki, czapki czy torby z reklamami, można to również nosić na skórze. Przecież skóra to nic innego, jak tylko nasze ziemskie ubranie. Kto wie, może nawet zostawię sobie ten napis na zawsze? Odsunął się od monitora, zdjął okulary i przetarł je brzegiem koszulki. Ostrość widzenia wyraźnie się poprawiła.

Ściągnął pocztę. Na ekranie pojawiła się wiadomość od administratorów aukcji z danymi Biznesmena. Tomek postanowił nie czekać, aż tamten do niego napisze. Zależało mu na wywarciu jak najlepszego wrażenia na swoim dobroczyńcy.

„Gratuluje wygranej aukcji. Załączam numer mojego konta. Natychmiast po wpłynięciu pieniędzy udam się do wskazanego przez Pana salonu tatuażu w celu sfinalizowania transakcji. Mam nadzieję, że zapoznał się Pan ze wszystkimi szczegółami mojej oferty. Przedmiotem aukcji była moja lewa ręka. Czas noszenia reklamy Pańskiej firmy to sześć miesięcy. Pan decyduje o wzorze tatuażu oraz płaci za jego wykonanie. Przy okazji chcę Panu podziękować i napisać, że będę nosił tatuaż z prawdziwą dumą. Tomasz”.

Zastanawiał się przez chwilę, czy ostatnie zdanie nie jest zbyt osobiste. Przemknęło mu jednak przez głowę, że takie szczere podziękowanie dobrze usposobi kupującego.

Ludzie lubią, żeby okazywać im wdzięczność. Toteż, już nie roztrząsając treści listu, kliknął „wyślij”.

Olgierd nie spodziewał się odpowiedzi tak szybko. Co prawda liczył na to, że magia pięciu tysięcy złotych zadziała nawet w przypadku, gdyby wystawiający rękę zrobił to tylko dla żartu, ale, cholera, znów brakowało mu pewności. Cóż, czasem cienie przeszłości wracały.

Z własnego doświadczenia wiedział przecież, że nie ma na tym świecie nic pewnego. To tak

jak z jego karierą. Miał się wspiąć na sam szczyt i nagle, tuż przy wierzchołku, utknął w pokoju sąsiadującym z gabinetem właściciela firmy.

Teraz, chcąc zrealizować swoje marzenie o pierwszym niewolniku, musiał działać szybko. Zanim pojawią się wątpliwości albo ktoś z rodziny oferenta sprzeciwi się sprzedaży ręki.

A swoją drogą... Jakie to śmieszne, że ludzie tak tanio się sprzedają. Za pieniądze można mieć wszystko. No, prawie wszystko. Wystarczy rzucić parę banknotów na stół i świat jest twój.

Olgierd już dawno to zauważył i często z tego korzystał. Jeszcze do niedawna bawiło go na przykład chodzenie na płatne dupy. Korzystanie w przeszłości z usług prostytutek było pierwszą próbą Olgierda zarządzania zasobami ludzkimi. Na początku sprawiało mu to frajdę, bo miło jest być jedynym szefem choćby przez kilkadziesiąt minut. Przyjemność, jaką dawała mu sama władza nad dziwką, była nieporównywalnie większa od przyjemności wynikającej z czynności fizjologicznych. Tylko że po pierwszym zachłyśnięciu się taką formą rozrywki Olgierd poczuł się rozczarowany. Upokarzanie prostytutki miało tę wadę, że odbywało się w czterech ścianach pokoju z łóżkiem. Nikt nie miał okazji go podziwiać ani tym bardziej mu zazdrościć. Dlaczego jego umiejętności zawsze podawano w wątpliwość?

Może ta męska dziwka, ten Tomasz czy jak mu tam, spełni pokładane w nim oczekiwania i zaspokoi władcze potrzeby Olgierda.

Oby - wiele sobie obiecywał po wygranej licytacji. Teraz musiał się skupić i wymyślić jakiś fajny tatuaż.

Iga wróciła z uczelni i z werwą zabrała się do porządków w mieszkaniu. Nie minęła godzina, a po porannym rozgardiaszu nie było śladu.

Przesuwając stertę papierów Mariusza, natknęła się na jego stare potwierdzenia zapłat za rzeczy kupione przez Internet. Mariuszek był, na szczęście, bardzo oszczędny. Czasem lubił sobie zaszaleć, jeśli chodziło o jakieś gadzety komputerowe, ale większość ich dobytku składała się głównie z przedmiotów z wyprzedaży i aukcji internetowych. Te ostatnie sprawiały ukochanemu Igi największą przyjemność. Żyłka hazardzisty tkwi w każdym człowieku, tylko nie każdy ma odwagę sobie na to pozwolić. Jedynie słabeusze albo stają się nałogowymi hazardzistami, albo omijają wszelkie nałogi z daleka z lęku przed uzależnieniem. Tak przynajmniej twierdził Mariusz i Iga nie miała powodu, żeby mu nie wierzyć. Przecież zawsze miał rację. Nawet wtedy, kiedy ona miała obiekcje co do słuszności podejmowanych przez niego decyzji. W końcu zawsze się okazywało, że jednak on wiedział najlepiej. Chyba nie zniosłaby myśli, że gdzieś popełniła błąd, że nie wybrała właściwie. Na szczęście miała na kim się wesprzeć i komu zaufać.

Taka postawa miała swoje plusy: nie musiała czuć ciężaru odpowiedzialności i nikt nie mógł mieć do niej pretensji. Od decyzji w domu jest

mężczyzna i im szybciej kobiety się z tym pogodzą, tym lepiej dla nich.

Kiedy klitka już lśniła, Iga z radością skierowała się w kierunku lodówki. Oczywiście wyobraźni już widziała miseczkę ukochanej sałatki. Rano się spieszyła i nie zjadła ani odrobiny. Na uczelni zapchała żołądek suchą bułką i teraz miała zamiar odbić sobie wczorajsze wieczorne poświęcenie. Sięgnęła po przysmak. Od wczorajszego wieczoru ubyło go więcej, niż się spodziewała, mimo że sama go przecież nie tknęła.

No tak - przypomniała sobie. Przecież Mariusz zjadł wczoraj trochę sałatki i pewnie nie odmówił jej sobie dziś na śniadanie.

Nie postrzegła tego, bo dość długo siedziała rano w łazience.

Resztki sałatki w salaterce zmartwiły ją i rozczuliły równocześnie. Zmartwiły, bo przecież w tej sytuacji nie wypadało jej zjeść wszystkiego. Poczula się rozczarowana. Przecież zamierzała dziś dać to ogłoszenie na aukcję, ale najpierw chciała po raz ostatni sprawić przyjemność podniebieniu. Z drugiej strony powinna się cieszyć, że narzeczony uwielbia jej kuchnię. Po długiej walce ze sobą Iga odstawiła sałatkę z powrotem do lodówki. Zwyciężyła altruistyczna strona jej natury. Już bez entuzjazmu otworzyła pojemnik na pieczywo i ukroiła sobie dwie kromki chleba. Posmarowała je masłem i pasztetem, i zaspokoila pierwszy głód.

Tego dnia nie musiała gotować. Co prawda chętnie zjadłaby jakąś pomidorówkę albo

ogórkową, ale dla samej siebie nie chciało jej się sterczeć przy kuchence. Mariusz uprzedził rano, że wieczorem idzie na służbowy lunch.

Kochany - pomyślała z rozrzewnieniem. Jest dla mnie taki dobry...

Po zjedzeniu kanapek dokładnie wytarła stół i z ciężkim westchnieniem włączyła laptop. Zanim zabierze się do szykowania superniespodzianki dla ukochanego, musi najpierw napisać choć kilka stron pracy magisterskiej. Grunt to obowiązkowość i konsekwencja w dążeniu do celu. Tylko w ten sposób można w życiu osiągnąć sukces.

Wiedział już, jak to zorganizuje. Kiedy coś w życiu idzie po naszej myśli, to wszystko układa się samo. Do kontroli niewolnika Olgierd wynajmie detektywa. Oczywiście lojalnie uprzedzi, że będzie sprawdzał jawność tatuażu. Mimo szczerych chęci tego całego Tomasza, zawsze może się zdarzyć, że gnojek się rozmyśli i będzie chował tatuaż pod długim rękawem. A to byłoby nieuczciwe. Za tak porządną zapłatę Olgierdowi należy się solidne wykonanie usługi. Teraz pozostawało wymyślić tylko napis. Bo że nie będzie to reklama żadnej firmy, tego był pewien od samego początku. Gdyby teść okazał mu więcej zaufania i przeszedł na zasłużoną emeryturę, wtedy las rąk w całej Polsce mógłby sławić nazwę „Alice” pochodzącą od imienia jego pierworodnej córki, aktualnie małżonki Olgierda. Wtedy to by było coś. Ale skoro zgred jest taki pazerny na władzę, to nie zasługuje na to, by imię

córki zostało uwiecznione na tak szlachetnym nośniku jak ludzka skóra. Olgierd nie był taki głupi, żeby za własne, prywatne i w dodatku w upokorzeniu zarobione pieniądze tatuować gdzieś tam nazwę cudzej firmy.

A mogło być tak pięknie... Z rąk do rąk, przy każdym powitaniu... Fala miłości się nie rozleje, bo Olgierd nie miał skąd jej czerpać. Źródło wyschło już dawno; w dniu, kiedy jego kariera gwałtownie się zatrzymała. Wtedy zrozumiał, że wszystkie te słowa mówiące o przyjęciu do rodziny, o równym traktowaniu, o synostwie są po prostu puste i kłamliwe. Powinien był się przyzwyczaić.

Ojciec i matka przynajmniej nie szafowali wielkimi słowami. Ich miłość objawiała się przeważnie nakazami i zakazami.

Gdyby teściowie naprawdę uznali go za swego, nie traktowałiby go tak niesprawiedliwie.

Żył wśród obcych i musiał się z tym pogodzić. Nawet jego własne dziecko było wrogiem. Bo, mimo że z własnej krwi, skalane było również krwią tych bogatych gnojów, którzy wydusili z Olgierda wszystko i zamknęli go na wieki w klitce obok gabinetu szefa. Najgorsze, że z pozoru wszystko było w najlepszym porządku. Wszyscy się do niego uśmiechali, poklepywali po ramieniu, zapraszali na jednego jak kumpla, ale ich ukradkowe spojrzenia wyrażały to, co naprawdę o nim myśleli. „Jesteś nikiem” zdawały się mówić ich uśmiechnięte wargi. „Jesteś nikiem” - ich wzrok nie umiał albo nie chciał kłamać.

- Jesteś nikiem - powiedział Olgierd na cały

głos, aż to krótkie zdanie odbiło się od ścian gabinetu i wróciło do niego ze zdwojoną siłą.

Już wiedział.

Z rąk do rąk, bez słowa, mimochodem... Jasno i czytelnie, żeby nawet przypadkowy rozmówca niewolnika zarejestrował i zapamiętał. Aż każdy pozna smak swojej prawdziwej wartości. Zerowej.

Jesteś nikim. Tak będzie brzmiał wytatuowany na kupionej ręce pierwszy napis.

Tomek nie do końca rozumiał sens treści tatuażu. Siedział właśnie w studiu, w którym robiono dziary, i próbował zapanować nad stresem. Nadeszła godzina zero. Gdyby wyrzucić stąd wszystkie wzory i szablony tatuaży, miejsce nie różniłoby się zbyt od gabinetu lekarskiego.

Uprowadzono go, że będzie trochę bolało, ale tak oryginalny tatuaż z pewnością zrekompenzuje mu wszelkie niedogodności.

Z wymienionych z Biznesmenem e-maili wiedział już, że ten nie pojawi się osobiście, by sprawdzić jakość wykonanej usługi. Pracownik salonu tatuaży, wielki facet z włosami do pasa i ciałem bez skrawka wolnej, niezatatuowanej powierzchni, podjął się sfotografowania swojego arcydzieła i przesłania dowodu zlecającemu.

Teraz, mając przed oczami wyrysowany na kartce wzór, Tomek pojął nagle jego okropny sens. Najgorsze w tym wszystkim było to, że zaledwie przedwczoraj, w dniu, kiedy pieniądze wpłynęły na jego konto, ogarnęła go

taka euforia, że bez dyskusji zgodził się na zamianę ręki z lewej na prawą. A teraz każdy, kto poda mu dłoń, każdy, kogo on tą ręką obejmie, każdy, kto podsunie mu jakiś świstek do podpisania... Będzie skażony.

Na odwrót już za późno.

W końcu umowa to umowa.

Mógł przewidzieć, że nikt nie da mu pięciu tysięcy złotych ot tak, tylko za reklamę jakiejś firmy. Tu chodziło o coś więcej.

- Przepraszam pana. - Tomek wreszcie wy dobył z siebie głos. - Czy jest pan pewien, że nie zaszła tu żadna pomyłka? Może powinno być napisane: jestem nikim?

Tabun myśli galopował mu w głowie. Taki napis jeszcze mógłby znieść. Na swój temat. Przecież czasem miał właśnie takie wrażenie, że skoro nie może znaleźć pracy, nie potrafi się zatroszczyć o schorowaną matkę, to może naprawdę jest nieudacznikiem. Może jest gorszy niż ci wszyscy ludzie, którzy mijają go obojętnie na ulicy. Taki napis byłby prawdą. Mógłby wtedy nosić go z godnością, jak żebrak, który nie wstydzi się swojego ubóstwa i z pewnym rodzajem dumy wyciąga rękę do obcych ludzi, prosząc o zrozumienie. Ale żeby tak komuś? Komuś mówić, że jest nikim? Przecież do obcych nie wyciąga się ręki. Z obcymi byłoby źlej, choć też nie do końca w porządku. Przecież każdy jest kimś. W większym lub mniejszym stopniu, ale jest KIMŚ!

- Tu nie ma mowy o pomyłce - usłyszał druzgocącą odpowiedź. - Facet przysłał mi kuriera z

tym wzorem dla ciebie, a ja go tylko udoskonaliłem. Tat ma być readable i będzie clean! Każdy przeczyta go z daleka. Chyba nie chcesz powiedzieć, że gość do czegoś cię zmusza? - Odruchowo zrezygnował z formy „pan”.

- Nie. - Tomasz postanowił ponieść konsekwencje nieprzemyślanej aukcji. - Sam chcę coś takiego sobie zrobić. Ten facet wyświadcza mi ogromną przysługę. Nie ma mowy o żadnych naciskach.

- Trochę to dziwne, ale nie mnie oceniać. Nie pytałbym, gdyby chodziło o gołą babę albo jakiegoś chińskiego smoka, bo ludzie mają różne zainteresowania. Ale coś takiego? A... - Nagle zaskoczył. - To jakiś zakład?

- Coś w tym stylu. - Tomek, wbijając się głęboko w fotel, postanowił zakończyć tę bezsensowną dyskusję.

Patrzył teraz, jak napakowany facet rozsiada się ze swoimi narzędziami i bierze na cel skórę na ręce. Gdyby nie podzielił się tymi pieniędzmi z matką, gdyby mógł zapomnieć jej oczy pełne niedowierzania i radości, gdyby mógł cofnąć czas... Odwrócił głowę do okna. Za szybą siąpił deszcz. Tomek przymknął powieki i zagryzł wargi.

To tylko pół roku. Pół roku...

Tatuażysta włożył lateksowe rękawiczki i przysunął się bliżej.

- Twoje body już nie będzie naked - sapnął zadowolony i wrył się w skórę Tomka.

- Sześć miesięcy to wystarczająco dużo czasu, żeby złamać psychicznie właściciela ręki.

Pod warunkiem że ten sprzedawca własnej skóry w ogóle ma coś takiego jak zdrowa psychika. Bo gdyby gość miał jakiś kręgosłup moralny, nie zachowywałby się jak szmata i nie prostytuowałby się na aukcji. Dupa, ręka czy mózg - wszystko jedno. Jeśli tego kręgosłupa nie ma, znaczy to ni mniej, ni więcej, że należy do grupy bezkręgowców, cha, cha. - Olgierd zaśmiał się tak głośno, że jego dziecko, bawiące się w drugim pokoju, zaryzykowało sforsowanie drzwi i bez zwykłej ostrożności wpackowało się ojcu na kolana.

- Pobawimy się, tatusiu? - Chłopczyk zarzucił mu rączki na szyję.

Olgierd zmarszczył brwi.

- Przecież wiesz, gówniarzu, że nie wolno przeszkadzać, kiedy ojciec pracuje. - Spojrzał groźnie na dziecko.

Sześciolatek był uradowany.

Tata nazwał go gówniarzem, a to oznaczało, że naprawdę jest w dobrym humorze i że chce się podroczyć. Mały lubił wszystkie takie przezwiska. Głupku, głuptasie, imbecylku, wszystkie. Nienawidził natomiast słowa „dziecko”, bo jego użycie w rozmowie zawsze oznaczało kłopoty.

- Pojeździmy samochodzikami?

Olgierd naprawdę nie miał ochoty na zabawę z małym, ale udana internetowa transakcja działała cuda. Nareszcie coś mu się udało i choćby dlatego powinien podzielić się swoją radością z innymi.

- Na samochodziki nie mam ochoty. Ale mogę ci coś pokazać w Internecie. Chcesz?

Dzieciak nie był głupi. Potrzeba pobycia w ojcowskich ramionach była tak silna, że zgodziłby się na wszystko, byle wykorzystać rzadką okazję i nasycić się ciepłem ojca.

- Zobacz. - Olgierd otworzył pierwszą lepszą stronę przyrodniczą. Na pierwszym zdjęciu lew rozprawiał się z zebłą. - To jest, synu, prawdziwe życie. Matka cię tego nie nauczy, bo myśli, że jesteś zbyt głupi, żeby to pojąć, ale jedno jest w życiu pewne i zapamiętaj dobrze moje słowa: o wszystko w życiu trzeba walczyć. Nawet - do rozlewu krwi. Jeśli choć na moment się zawahasz - stracisz swoją życiową szansę. W życiu można być albo zebłą, albo lwem. Ofiarą albo zwycięzcą. Sam widzisz, jak kończą słabi.

Mały patrzył na zdjęcie, nie zdając sobie sprawy z przedstawionej na nim grozy. Lew i zebra.

- Ty, tatusiu, jesteś lwem, prawda?

- Prawda, synu. Ale to nie oznacza, że ty też jesteś lwem. Na razie jesteś takie nie-wiadomo-co.

- A mama jest lwicą? - Jedna odpowiedź wyzwalała całą lawinę pytań. W zanadrzu chłopiec miał jeszcze pytania o dziadka, babcię i kolegów z przedszkola.

- Mama nie jest ani lwem, ani zebłą. Jest kwoką, taką kurą, która nie wyściubia nosa poza własne podwórko. Potrafi tylko...

- Ko, ko, ko? - podsunęło uradowane dziecko.

- Właśnie. - Olgierd stwierdził z zadowoleniem, że młodemu czasem udaje się powiedzieć coś sensownego. Może rzeczywiście jeszcze będą

z niego ludzie. E, co tam ludzie - zaśmiał się w duchu. Może będzie z niego lew. Na pewno nie jest taki sprytny jak ojciec, bo połowę krwi ma spaskudzoną przez matkę, ale przy odpowiedniej tresurze...

- Kochanie. - Do pokoju Olgierda wślizgnęła się żona. - Czas na wieczorną kąpiel i spanie. Jutro przecież musimy wcześniej wstać.

Młody niechętnie zszedł z kolan ojca. Mogła być taka fajna zabawa i mama wszystko zepsuła!

- No, nie złość się - łagodziła. - Przecież wiesz, że tata ma wieczorami dużo pracy i potem ledwie trafia do łóżka.

A to zołza! - rozzłościł się Olgierd. Będzie opowiadać jakieś głupoty przy dziecku!

- Matka jest zazdrosna - powiedział chłodno.

- Też chciałaby się ze mną pobawić - wyjaśnił synowi. - Możesz być pewna, że dziś trafię bezbłędnie - powiedział głośniejszym głosem, żeby mieć pewność, że usłyszała.

Niech się przygotowuje, w końcu jemu też się coś od życia należy.

Alicja patrzyła uważnie na swoje odbicie w łazienkowym lustrze. Zielone oczy, kiedyś tak radosne, już dawno straciły swój blask. Ale on i tak tego nie zauważał. Jego życie to nie była ona i dziecko. Może nawet nie praca, choć to jej właśnie poświęcał się bez reszty.

Z namysłem sięgnęła po szczotkę i zaczęła czesać długie, jasne włosy. Kilkadziesiąt pociągnięć szczotką pobudzało skórę do życia. Krew

krążyła zdezorientowana, powodując ból. Teraz Alicja czuła, że żyje. Lepszy ból niż obojętność, niż nijakość.

Miała ochotę zataczać szczotką coraz większe kręgi. Z trudem się powstrzymywała, żeby nie wyszczotkować całego ciała. Gwałtownie wrzuciła szczotkę do kosmetyczki.

- On by tego i tak nie zauważył - szepnęła bezgłośnie. - Nic a nic go nie obchodzi.

Sięgnęła po flakonik jego niegdys ulubionych perfum. Natarła nadgarstki i skórę za uszami. Chciała, żeby dziś przyszedł.

Niemal każdego wieczoru szerokim łukiem omijał wspólną sypialnię. Jakby chciał Alicję za coś ukarać. Nie rozumiała tego. Starła się być dobrą żoną. Począwszy od kuchni, a skończywszy na sypialni. Nawet jeśli nie miała na to ochoty. Nawet jeśli po całym dniu nie czuła nic prócz znużenia. Nigdy tego nie okazywała. Jeszcze niedawno wierzyła, że taka wyczekująca i pokorna postawa zostanie wynagrodzona. Że Olgierd któregoś dnia przyjdzie i ją przytuli. Że odnajdzie siebie i ją takimi, jakimi byli przed laty. Wtedy, kiedy jeszcze mieli marzenia i wiarę, że uda im się wszystko zrealizować.

Nie żeby miał wielką ochotę posuwać własną małżonkę, bo co to za przyjemność wkładać stare kapcie. Jeśli jednak już są, jeśli nie da się ich wywalić, a w żadnym wypadku nie nadają się na muzealny eksponat typu waza po babci, trzeba ich czasem używać. Niech nie myślą, że mogą bezużytecznie zajmować miejsce w jego

życiowej przestrzeni. Olgierd nie przywykł do marnotrawstwa. Wyniesiona z domu rodzinnego nieśmiertelna maksyma, że zawsze wszystko może się przydać, przekładała się na całe jego życie. W podobny sposób traktował zasób ludzki w postaci żony. Zresztą kobiety same pchały mu się do łóżka. Te darmowe, tak zwane firmowe gratisy, nieraz spoglądały na niego wymownie, nie decydował się jednak na konsumpcję z obawy przed ewentualnym zbytym spoufaleniem. Zniechęcała go też sama myśl o cholernym tęściu tuż za ścianą gabinetu. Po tylu latach mężczyźni nie mogli sobie pozwolić na żaden fałszywy krok.

Nadal najlepszym wyjściem były płatne dupy, mimo że też już mu się znudziły. Najwięcej kosztowała go jednak własna żona i choćby dlatego musiał sobie czasem odbić cały trud i samozaparcie, jakie wkładał w wytrzymanie z nią pod jednym dachem.

Teraz postanowił uczcić swą wygraną na internetowej aukcji. Z wyjazdem do burdelu byłoby za dużo zachodu; poza tym miał jeszcze przed oczyma fotografię lwa i zebry z przyrodniczego pokazu slajdów. Zdecydowanym ruchem zamknął laptop i wstał od biurka.

Po drodze do sypialni zrobił sobie tajemną wyliczankę i tak przygotowany wślizgnął się do małżeńskiego łóżka.

Iga od dwóch godzin próbowała dodzwonić się do Mariuszka. Było już późno, a ukochany nie dawał znaku życia. Firma, w której pracował,

była już zamknięta na cztery spusty albo urzędował tam ktoś głuchy. Pozostawała jedynie komórka Mariusza. Ta jednak na dwieście procent musiała się rozładować, bo po pierwszym sygnale wszystko się nagle urwało i automat z sieci informował, że abonent jest poza zasięgiem albo ma wyłączony telefon.

To drugie nie wchodziło w rachubę. Mariuszek nigdy nie wyłączał aparatu. To pierwsze też odpadało. W stolicy zasięg działał znakomicie i potrzeba byłoby wiele zachodu i pomysłowości, żeby go stracić. Na pewno ma na amen rozładowaną baterię.

Tak brzmiała optymistyczna wersja Igi. Pesymistyczna podsuwała jej wciąż nowe obrazy narzeczonego rannego i broczącego krwią. Mógł przecież leżeć gdzieś na ulicy potrącony przez jakiegoś zmotoryzowanego pirata bądź wykrwawiać się w jakiejś bramie po silnym ciosie zadany przez bandytę, którego policja nigdy nie znajdzie.

Wyobraźnia Igi pracowała z całych sił. Może leży biedaczek w szpitalu?

Jednym kliknięciem zamknęła plik z pracą magisterską. I tak ze zdenerwowania nie mogła się skupić na jakiejś tam kulturze. Szybko znalazła w sieci adresy i telefony szpitali. Było tego mnóstwo. Zaczęła obdzwaniać te w rejonie pracy Mariuszka oraz jego trasy do domu.

Mariuszek rzeczywiście leżał i cierpiał. Agata, ta nowa, zgodziła się na kawę w lokalu, a potem bez wielkich oporów zaprosiła go do własnego

mieszkania. Tu, w czterech ścianach, nie bawiąc się w żadne podchody, pchnęła go w stronę łóżka, a sama zniknęła za drzwiami łazienki.

To oczekiwanie na jej powrót było boskie.

Był w raj, nawet jeśli jego scenerią było przeciętne, dwupokojowe mieszkanie w bloku z wielkiej betonowej płyty. Co tam raj; to podniecenie było jak raj do szczęścia.

Żadne słowa nie potrafiłyby oddać uczuć, jakie go w tym momencie przepełniały. Wprost pławił się w poczuciu szczęścia.

Teraz, kiedy podjął już decyzję o ślubie z Igą, zostało mu niewiele czasu, żeby się wyszaleć. Przecież nie będzie brał kota w worku. Wprowadzie wypróbował już Igę na wszystkie sposoby, ale nie miał, niestety, pewności, czy taki udomowiony kot, choć na pierwszy rzut oka niczego sobie, w porównaniu z innym kotem nie wypadnie blado i nijako.

Z każdą minutą boskie cierpienie zmieniało się w prawdziwą mękę. Napięty do granic wytrzymałości zaczął się obawiać, czy w chwili, kiedy ona wyjdzie już z tej cholernej łazienki, on nie eksploduje z napięcia i bólu.

Byłaby to ogromna porażka i wstyd.

Aby przygasić nieco pożądanie, zaczął sobie wyobrażać, że oto za chwilę w drzwiach stanie stara, dobra Iga, jego tęgawa narzeczona, zupełnie niemodna z tą nadwagą w dzisiejszych czasach.

Pomysł z Igą był strzałem w dziesiątkę. Oddech Mariuszka uspokoił się, napięcie zelżało.

Woda w łazience przestała lecieć i nastąpiła cisza. Drzwi się uchyliły i pani domu wróciła do gościa. Napięcie znów wzrosło.

- Gdzie to zrobimy? - Spytał nieco zachrypniętym głosem.

- Najlepiej tu, żebyśmy mogli się przykryć - odpowiedziała, rozchylając ręcznik.

- Możemy nie zdążyć.

- Nie zdążyć? - spytała, siadając mu okramkiem na kolanach.

- Możemy nie zdążyć się przykryć - szepnęła i gwałtownie pociągnął ją na łóżko.

To chyba nie przypadek. Olgierd uśmiechnął się pod nosem, przeglądając aukcję internetową. Tak jak przypuszczał, magia pięciu tysięcy złotych zrobiła swoje. Nagle pojawiły się trzy ogłoszenia oferujące reklamę na własnej skórze.

Liczycie na łatwy szmal, cwaniaczki. Jakże się mylicie... - Olgierd prychnął pogardliwie. Podaż zaczyna przewyższać popyt i już niedługo będę mógł otworzyć prywatną agencję handlującą ludzką skórą bez wydania kasy na ogłoszenia typu skup żywea.

Bardzo go rozbawiła ta myśl. Teraz, po przetrzuceniu sterty papierów i odsiedzeniu na narażeniu zarządu, postanowił się zrelaksować i poświęcić trochę czasu nowemu hobby.

Mimo że na zegarze wybiła dziewiętnasta, nie spieszył się do domu. Wczorajsze figle (cha, cha) z Alicją zakończyły się fanfarami. Ni stąd, ni

zowąd, kiedy w najlepsze podziwiał się w roli prawdziwego mężczyzny w wiszącym na ścianie lustrze, niechcący rzucił okiem na twarz połowicy.

Płakała!

A więc doprowadził ją do takiej ekstazy! To, co początkowo wziął za urywany oddech, okazało się szlochem. On również się wzruszył. Czasami żona do czegoś się przydaje. Żadna dziwka nie zafundowała mu, jak dotąd, takiej nagrody. Nawet nie przypuszczał, że może być aż tak dobry w te klocki. To znaczy był pewien, że jest świetny, ale nigdy nie myślał, że aż do tego stopnia.

Stopnia.

To wina rodziców, że miał o sobie takie, a nie inne mniemanie. I wina ocen, które mu ciągle wystawiali. Zawsze odrobinę brakowało do najlepszej oceny. A wczoraj to się stało. Nareszcie otrzymał najwyższą notę.

Teraz, doceniony i podbudowany, postanowił zapolować na następnych sprzedawców. W ciągu kilku najbliższych dni miał dostać zdjęcia wykonane przez prywatnego detektywa, które potwierdzą rzetelność i uczciwość pierwszego prywatnego podwładnego. Zastanawiał się, czy powinien poczekać na przesyłkę, zanim zlicytuje następnych chętnych. Detektyw uprzedził go telefonicznie, że właściciel dzierżawionej przez Olgierda ręki zachowuje się trochę dziwnie, ale nie wyjaśnił, na czym to polega. Olgierd jednak wiedział już, że niezależnie od zachowania pierwszej ofiary i tak będzie licytował dalej.

Oglądając oferowane ręce, postanowił się skupić przede wszystkim na wieku właścicieli skór. Za pierwszym razem zaryzykował w ciemno, ale teraz, skoro ma wybór, nie musi kupować wszystkiego, jak leci, tylko wybrać to, co mu najbardziej odpowiada. Do każdego z oferentów wysłał krótki e-mail z prośbą o napisanie kilku słów o sobie. Interesował go ich wiek, środowisko i tryb życia. Przecież nie kupi kogoś, kto na przykład leży przykuty do łóżka i całymi dniami gapi się w sufit.

Zastanawiał się, czy powinien wspomnieć o wzorze tatuażu, ale szybko odrzucił ten pomysł. Przecież zaskoczenie, jakie odmaluje się na ich twarzach, kiedy usiądą w salonie tatuażu, również ma swoją wartość.

Co jednak, jeśli ktoś zacznie dociekać przyczyny takiego a nie innego napisu? Po pierwsze - to wyłącznie jego sprawa. Po drugie - zawsze może powiedzieć, że to jakiś eksperyment, który ma pobudzić ludzi do myślenia. Po trzecie - może to również nazwać sztuką. Sztuką dla sztuki, he, he!

Wysłał e-maile, z westchnieniem zamknął komputer i skierował się do wyjścia. Nie zamierzał jeszcze wracać do domu. Marzyła mu się pyszna kolacja w pobliskim pubie, gdzie miał nadzieję trafić na jedną ze swoich ulubionych kelnerek, Kasię. Wsiadając do windy, zastanawiał się, czy Kasię, podobnie jak innych kelnerów, którym daje okazałe napiwki, mógłby nazwać swoimi zasobami, ale doszedł do wniosku, że to się nie liczy. Wobec tego postanowił skupić się wyłącznie na jedzeniu.

Na parkingu przed pubem nie było żadnego wolnego miejsca.

- Niech to szlag trafi - mruknął pod nosem.

Krażył samochodem po pobliskich uliczkach i po kilkunastu minutach udało mu się wreszcie znaleźć wolne miejsce. Wchodząc do pubu, prześwietlił okiem całą salkę. Miejsce pod oknem jak zwykle było zajęte przez dwóch typów. Kiedyś siedziało ich tu trzech, ale jak widać, w życiu nie ma nic stałego. Dlatego zawsze trzeba się trzymać tego, co jest.

Telefon komórkowy dzwonił jak szalony, ale jego właściciel nie miał ochoty z nikim teraz rozmawiać. To znaczy ochotę miał wielką, ale wiedział, że na rozmowie się nie skończy. Przez ostatnie dni udawał chorego i tym tłumaczył niemożność spotkania się z kumplami na mieście, ale kiedy jeden z nich dodzwonił się do domu i słowem „choroba” wpędził w popłoch matkę, Tomek musiał szybko wyzdrowieć. Choć wymawiając się kiepskim samopoczuciem, nie do końca mijał się z prawdą. Tatuaż powoli się goił, to fakt, ale na razie trzeba było go pielęgnować zgodnie z zaleceniami faceta z salonu. Mycie letnią wodą, smarowanie maścią; wszystko po to, żeby nie dopuścić do przesuszenia tego „arcydziela”. Jeszcze dziś rozbrzmiewały mu w pamięci ostatnie słowa tatuażysty: „Podstawa to after care!”. W ciągu dwóch tygodni, przy właściwej pielęgnacji, wszystkie strupki powinny odpaść i naskórek będzie odbudowany. Gorzej z psychiką.

Od kilku dni Tomek próbował wymyślić jakieś wiarygodne wytłumaczenie swojego tatuażu. Coś, co zbagatelizowałoby jego wymowę. W dodatku zdawał sobie sprawę, że nie może teraz, ot, tak sobie, anulować umowy z Biznesmenem. Nie mógł ukryć tatuażu pod długim rękawem, bo w stolicy czekano na zdjęcia potwierdzające jego uczciwość. I nie chodziło o to, że narazi się na drwiny ze strony kolegów. To byłby drobiazg. Najgorsze, że mogą uznać, iż Tomek daje tym wyraz pogardzie, jaką widocznie do nich żywi. Jeszcze gorzej byłoby, gdyby w to wypisane na skórze kłamstwo uwierzyli.

No bo czy normalny, zdrowy chłopak wytatuałoby sobie taki idiotyczny napis tylko dla przyjemności? Więc co to ma być? Forma sztuki? Przecież tak mówią o swoich tatuażach ich właściciele. „Niepowtarzalne dzieło”, „żywy obraz”, „ta dziara oznacza pewien ważny etap w moim życiu”, „tatuuję się nie na pokaz; tak robią tylko japiszoni”. A może eksperyment? „To nowatorski wyraz autoekspresji”, „prowadzę wnikliwe badania nad tolerancją wobec nowoczesnych stygmatów”, „lubię prowokację”. Bunt? „Chcę być inny, a wam nic do tego!”. A gdyby tak jakaś bajeczka z psychologii? „Jestem narcyzem, w ten sposób maskuję kompleksy i niską samoocenę”. Albo: „Jestem masochistą, uwielbiam ból”.

Prawdy powiedzieć nie mógł. Zobowiązał się przecież do milczenia. Biznesmen wyraźnie napisał: żadnych rozmów na ten temat.

Chciałby zobaczyć tego gościa. Stanąc z nim twarzą w twarz i zapytać: dlaczego?

Podejrzewał jednak, że to nigdy nie nastąpi. I nie dlatego, że to on, Tomek, czuł palący wstyd. Był pewien, że tamtemu bogatemu też nie jest lekko. Jeśli jest człowiekiem.

Ze złością rzucił komórkę w kąt. Nie może przecież ignorować bliskich. Zbliża się sesja, a później upragnione wakacje. Miał tyle planów...

Popatrzył na wolno przesuujące się wskazówki zegara. Czas płynął leniwie, bez pośpiechu. Jakby chciał mu dać do zrozumienia, że to będzie bardzo długie pół roku.

Byle doczekać do wieczora i zapaść w sen. Byłe zapomnieć.

Wieczór. To przecież jest genialna myśl! Szkoda, że wpadł na to dopiero teraz. Umówi się z chłopakami wieczorem w jakiejś knajpce, gdzie oświetleniem są głównie świece. Albo jeszcze lepiej - na łonie natury. Kupią sobie w sklepie kilka win i rozsiądą się w parku. Wtopią się w świeżą zielen drzew, poszukają ławki otulonej zapachem kwitnącego bzu. Przy odrobinie szczęścia pod osłoną nocy łatwo będzie ukryć wątpliwą ozdobę. Zadowolony z pomysłu, sięgnął po telefon i wybrał numer przyjaciela.

Gnój, wredny gnój! Olgierd był wściekły. Człowiek płaci kupę kasy za wykonanie gównianej przysługi, która gnoja nic nie kosztuje, a ten ma wszystko w dupie.

I jak tu wierzyć w ludzką uczciwość! Krew napłynęła mu do twarzy i jeszcze chwila, a rozszarpałby siedzącego przed nim mężczyznę.

- Proszę się uspokoić, bo zakończymy współpracę - wycedził spokojnie prywatny detektyw. - Chłopak był podobno chory. Tak przynajmniej powiedzieli mi jego koledzy na uczelni. Każdemu się może zdarzyć. A dlaczego właściwie interesuje się pan tym studentem?

Olgierd miał ochotę zignorować pytanie; w końcu to on płacił i wymagał. Nie musiał się przed nikim tłumaczyć. Postanowił jednak zatrzeć złe wrażenie. Przecież każdy by się wściekł po obejrzeniu kilku fotek zrobionych praktycznie w ciemności. Gnój figurował na nich w towarzystwie kilku - na oko - rówieśników. W plenerze, na jakiejś parkowej ławce chlał tani alkohol zakupiony za pieniądze Olgierda.

- To bratanek mojej żony. Podejrzewamy, że wpadł w złe towarzystwo, a gówniarz się wszystkiego wypiera. Kłamie matce w żywe oczy. Musimy kobiecie pomóc, teraz takie czasy, że na każdym kroku dilerzy, złodzieje i bandyci. - Olgierd nie zamierzał wprowadzać detektywa w szczegóły swojego hobby. Właśnie teraz dotarło do niego, że ta zabawa będzie go kosztowała więcej, niż początkowo myślał. Przecież w każdym mieście będzie musiał mieć swojego płatnego szpicla, który zrobi zdjęcia niewolnikowi. - Przepraszam, że się uniosłem. Człowiek żyje w takim stresie, że można się wykończyć nerwowo. I jeszcze musi się martwić jakimś

nieodpowiedzialnym gnojkiem, żeby czasem nie stała mu się krzywda. - Z zadowoleniem zauważył, że zmarszczone brwi detektywa powoli się wygładzają. - Będę wdzięczny, jeśli nadal będzie miał pan chłopaka na oku. Nie chodzi mi o stałą kontrolę; raczej wrywkową. Jak będzie pan miał chwilę przerwy między zleceniami. To co, umowa stoi? Detektyw już zapomniał o wybuchu klienta. Zresztą taka fucha, „między zleceniami” i za dobrą opłatą, w dodatku bezterminowa, zdarzała się niezwykle rzadko. Można ją powierzyć nawet praktykantowi.

- Zgoda. Ale nie będę przyjeżdżał ze zdjęciami osobiście. Umówmy się, że wszystko będę przesyłał. Woli pan pocztą czy przez kuriera?

- Przez kuriera. I zawsze z adnotacją: do rąk własnych. - Olgierd rzucił na stolik kopertę z zapłatą.

- W porządku. - Detektyw wstał z fotela i zagarnąwszy pieniądze do kieszeni, ruszył do wyjścia.

Po godzinach spędzonych w łóżku Agaty Mariusz miał mieszane uczucia. Od upojnego sam na sam minęło kilka dni, a ona traktowała go tak, jakby nic między nimi nie zaszło. Wyrzucał sobie teraz, że pewnie nie jest z niego zadowolona, bo kiedy od niej wychodził przepelniony cudownym uczuciem spełnienia, powiedziała:

- Mam nadzieję, że się we mnie nie zakochasz.

To zbiło go z tropu, choć przecież zakochanie w ogóle nie przyszło mu do głowy. Z drugiej

strony, dopiero teraz dotarło do niego, że może decyzja o ślubie z Igą była zbyt pochopna. Ta jej przewidywalność i zgadzanie się na wszystko zaczynało go mierzić. Tym bardziej że obojętność koleżanki z pracy bardzo go podniecała. Król Mariusz zastanawiał się teraz, czy mógłby być szczęśliwy z poddaną pokorną i miękką jak воск. W tej sytuacji jego królewskie cechy na nic się zdadzą, bo Igę podbił już dawno i całkowicie nad nią zapanował. Takie królowanie było nudne. Co innego wykorzystać cały swój czar i osiąść bez reszty Agatę. Nie tylko ciało, które, drobniejsze i szczuplejsze, dostarczało mu głębszych przeżyć estetycznych, ale duszę i umysł. Zerwać z niej tę powłokę obojętności i sprawić, żeby padła mu do stóp.

Tak, to było prawdziwe wyzwanie godne jego królewskiej mości. Iga mu spowszedniała.

Fajnie było, ale się skończyło.

To przecież nie jego wina, że tak potoczyły się ich losy.

Zawsze mu powtarzano, że jest zbyt mądry, aby zadowalać się w życiu substytutami. Igi już nie kochał. Był zmęczony i rozczarowany codziennością. Nie tak to sobie wyobrażał.

Wpajano mu od dzieciństwa, że zasługuje na wszystko, co najlepsze. I że osiągnie to, o czym marzy. Pozwalano mu na realizację nawet najbardziej zwariowanych zamierzeń. Nie wykorzystywał tego. Wystarczała mu świadomość, że może wszystko, i jakby na przekór temu wiódł stateczne życie.

Czekał.

Na to obiecane szaleństwo; na spełnienie marzeń. Przecież to musiało kiedyś przyjść. Należało mu się. Komu, jeśli nie jemu? Teraz samo czekanie go wykańczało. Odzierało z entuzjazmu i radości życia. Każdy dzień był podobny do poprzedniego. Więc to może nie jest tak, jak mu mówili rodzice, że wszystko przyjdzie samo?

Musiał coś zmienić.

Ale zacząć powinien od Igi. Zbyt mocno kojarzyła mu się z niespełnieniem. Żeby zacząć nowy, obiecany rozdział w swoim życiu, powinien wykreślić wszystkie stare. To chyba znacznie uczciwsze niż prowadzenie podwójnego życia. Nigdy wcześniej nie zdradził Igi, choć często miał na to ochotę.

Wiedział jednak, że w żadnym wypadku nie może poświęcić własnego szczęścia dla dobra drugiego człowieka.

Ta myśl utwierdzała go w podjętych decyzjach i uspokajała.

Im dłużej ją analizował, tym goręcej wierzył w jej słuszność.

Pozostało jedynie delikatnie zasugerować narzeczonej, jak atrakcyjne może być samotne życie, aby uwierzyła, że jest to nie tylko jej własna decyzja, ale również szansa na życiowe spełnienie. Aby to ona czuła się winna zerwania i nie meła jęzorem u niedoszłych teściów, zaprzyjaźnionych z jego rodzicami.

I nie należało z tym zwlekać; byłoby niepowetowaną stratą zmarnować kolejny dzień teraźniejszości.

Tymczasem narzeczona Mariusza dwoiła się i troiła, żeby przywrócić dawny żar w ich relacjach. Tamtego feralnego dnia, po obdzwonieniu wszystkich szpitali, była w takiej furii, że kiedy mężczyzna jej życia wreszcie wrócił do domu, wyładowała na nim całe napięcie. Z każdym wykrzyczanym słowem strach Igi znikał, ale twarz Mariuszka przybierała coraz twardszy wyraz. Przez ułamek sekundy spojrzała na sytuację z boku: oto on, jej ukochany, wraca po ciężkim obowiązkowym lunchu z klientami do domu, a ona zachowuje się jak jej matka wobec ojca. Zamiast stworzyć warunki do wypoczynku - wyrzuca swoje żale. Zamiast roztoczyć nad jego głową parasol ochronny - funduje mu gradobicie. Nic dziwnego, że Mariuszek, urażony niespodziewanym atakiem, zamknął się w swojej skorupie i od kilku dni Igę ignoruje. Ma rację, przecież nie zachowała się jak przystało na strażniczkę domowego ogniska.

Płomień miłości ledwie się tlił; ogniki w oczach ukochanego gasły. Jeszcze chwila i zamiast pożaru, który miał stopić ich dusze w jedno, pozostanie nikły blask ginący pod popiołem pogorzeliska. Nie mogła do tego dopuścić. Próbowwała Mariusza przeprosić, ale on się zaciął. Ze zdenerwowania zaczęła jeść coraz więcej, jakby zawartość lodówki „przetworzona przez żołądek” miała ją oświecić jakimś genialnym pomysłem.

I wtedy się zdecydowała.

Niespodzianka, którą od dawna planowała, która miała sprawić narzeczonemu ogromną przyjemność, za chwilę miała stać się faktem.

Mariusza nie było w domu. Ostatnio wracał późno, ale Iga nie śmiała pisać na ten temat ani słowa. W końcu biedak harował również dla niej.

Weszła na aukcję internetową i po zalogowaniu się wpisała: „Dziś wystawiam na licytację siebie. Zwłaszcza nadmiar tkanki tłuszczowej. Aukcja bez ceny minimalnej”.

I na końcu, po krótkim namyśle dopisała: „Aukcja dla B.”.

Dołączyła swoje zdjęcie z zakrytą twarzą i zadowolona zajęła się swoją magisterską pracą.

Nie mogła się jednak skupić. Miała ochotę natychmiast zadzwonić do ukochanego i powiedzieć mu o niespodziance.

Może będą kiedyś opowiadać o tym swoim dzieciom. No i Mariusz otrzyma niezbity dowód na to, że ona go kocha. Że należy do niego całą duszą. Duszą i ciałem. Nie tylko pod osłoną nocy, ale jawnie na targowisku aukcji internetowej.

Sięgnęła po komórkę, ale jej dłoń zatrzymała się w połowie wybieranego numeru. Nie, nie zadzwoni. Telefonem zepsułaby to, co najlepsze: element zaskoczenia. Przecież Mariusz i tak codziennie szwenda się po tych aukcjach jako Bono28. Znajdzie ją sam. I kupi. I uwierzy, że ona chce być taką kobietą, jakiej on potrzebuje. Że dla niego się odchudzi. Przecież po wygranej aukcji to on będzie dysponował jej ciałem, co zmobilizuje Igę do zrzucenia tej cholernej nadwagi.

Tak, to genialny pomysł. Zapewnienie o uczuciach i gotowość schudnięcia w jednym.

Zanim Mariusz to znajdzie i wyznaczy jej odpowiednią dietę, ma jeszcze ostatnią szansę na skromną ucztę. Iga, radosna jak skowronek, otworzyła zamrażalnik i wyjęła pudełko z lodami.

Choć do kalendarzowego lata pozostało jeszcze kilka dni, miało się wrażenie, że sezon urlopowy ma się ku końcowi. Ludzie byli tak umęczeni, że nie zauważali bieli kwitnących na przybłokowych skwerkach jaśminowców. Była to zapewne wina niezwykłych jak na tę porę roku upałów.

Urlop wydawał się przyszłością zbyt odległą, aby można było jej doczekać w obecnym wcieleniu.

Ostatnimi czasy król Mariusz nie miał zbyt wiele czasu na oddawanie się swoim ulubionym rozrywkom. Zresztą w ogóle na nic nie miał czasu. I sił. Padał ze zmęczenia.

Zamiast buszować w sieci, w wolnych chwilach zajmował się planowaniem wspólnego życia z Agatą. Śliczna i zgrabna błękitnooka blondynka zawładnęła całą jego ograniczoną wyobraźnią. Blondynki były zdecydowanie w jego typie.

Nie mając nadwornego stratega, król Mariusz musiał sam zaplanować skuteczny sposób podbicia upragnionej kobiety. Nie było to wcale łatwe. Agata na każdym kroku okazywała mu grzeczną obojętność, podobnie jak pozostałym kolegom z pracy. Nie wyróżniała go w żaden sposób, choć przecież to mu się należało z uwagi na wspólne igraszki w jej sypialni. Za dnia

zdawała się tego nie pamiętać i Mariusz sam już nie wiedział, czy powinien się tym cieszyć, czy martwić. Usiłował przekonać samego siebie, że ta obojętność wynika z chęci utrzymania wspólnej tajemnicy, która połączyła ich na wieki, a w każdym razie na kilka najbliższych lat. No bo z jakiego innego powodu namiętna kochanka, wieczorem oddająca mu się wśród jęków rozkoszy, w ciągu dnia przybierała pozę zwykłej, obojętnej koleżanki?

Im bardziej ich znajomość się zacieśniała, tym trudniej było Mariuszowi znieść obecność Igi. Nie, żeby miał wyrzuty sumienia. No, może tylko o tyle, że jako król i prawdziwy mężczyzna powinien umieć sobie radzić ze wszystkimi swoimi poddanymi: tymi legalnymi i tymi ukrytymi przed światem. Ale sobie nie radził, co mocno odbijało się na Idze. Przydawała się, owszem, w końcu dbała o mieszkanie i wikt, dobrze też było mieć ją pod powiekami podczas spotkań z Agatą. To zawsze tłumilo jego pożądanie. I odwrotnie. Kiedy w przypiływie łaskawości postanawiał spełnić swój obowiązek w stosunku do Igi, aby sprawa poszła gładko, wyobrażał sobie boskie ciało Agaty.

Jednym słowem, był w rozterce. Nie był pewien uczuć Agaty i tylko dlatego nadal trzymał się Igi. Ona zaś od jakiegoś czasu miała huśtawkę nastrojów. Od nieudolnie skrywanego podtekstowania do niezrozumiałej płaczliwości. Mariusz przypisywał to stresowi związanemu ze zbliżającym się egzaminem magisterskim, choć uważał, że dorosła osoba powinna umieć trzymać nerwy na wodzy.

I ostatnio ta jej wścibskość. Wszystko mógł znieść, tylko nie wypytywanie! Czyż ona nie rozumiała, że aby zarobić również na jej potrzeby, zmuszony jest harować od świtu do nocy, a niekiedy nawet od świtu do świtu? Że solidna integracja pracowników jest mile widziana przez przełożonych, ponieważ podnosi efektywność pracy zespołu? Tak przynajmniej wyczytał w jakimś mądrym poradniku.

Nieprzespane noce sprawiały, że zaczynał być coraz bardziej nerwowo. Żeby mieć pretekst do odsypiania, zapisał się na kurs języka hiszpańskiego, choć wcale się nie wybierał do Hiszpanii. Dzięki temu raz w tygodniu, przy pełnym zrozumieniu ze strony Agaty, wracał do domu i z uczuciem ulgi rzucił się na wersalkę. Przez dwie godziny trwania kursu mógł spokojnie zamknąć oczy i odespać trudy życia. Niekiedy ogarniały go wątpliwości, czy cały ten wysiłek w ogóle ma sens, ale odganiał je jak natrętne muchy. Musiał zapanować nad obawami, żeby nie rozplenily się w jego głowie i nie przesłoniły mu ostatecznego celu. Zasługiwał przecież na szczęście w jego pełnym wymiarze.

Czasem się zastanawiał, czy nie zacząć się uczyć równocześnie fińskiego. Obawiał się jednak, że dwa intensywne kursy języków obcych nadwerężą go finansowo i całkowicie utną zakupy internetowe, które i tak już ograniczył do minimum.

Król Mariusz każdą zaoszczędzoną złotówkę inwestował w Agatę.

Tego dnia, po kolejnej intensywnej integracji w łóżku koleżanki, z trudem przetrzymał godziny

pracy i z ulgą wyszedł, tłumacząc się kursem języka. W domu nie było nikogo. Nie bez przyczyny Mariusz „zapisał się” na kurs w dniach, kiedy narzeczona do późnego wieczora miała zajęcia na uczelni. Tym razem, zamiast się położyć, włączył komputer i przeglądał ulubiony portal internetowy w poszukiwaniu jakiejś okazji. Kiedy przejeżdżał myszką przez kolejne pozycje, na ułamek sekundy mignęła mu znajoma fotografia.

- Jestem zmęczony. Dłużej w ten sposób nie pociągnę - wymamrotał, ignorując fotkę.

Bez przekonania oglądał dalsze oferty, ale podejrzane zdjęcie nie dawało mu spokoju. Pamiętał, jak kiedyś podczas jakiejś rodzinnej imprezy Iga ubrała się wyjątkowo niegustownie. Zestawienie barwy pomarańczowej i czerwonej podziałało na niego jak płachta na byka. Teraz mignęło mu identyczne zestawienie kolorów, przypominając, jak bardzo czuł się wtedy zażenowany jej wyglądem.

- Jestem zmęczony. Mam prawo do odpoczynku. Mam prawo zapomnieć o tym, co mnie denerwowało... - powtarzał bezwiednie, w duchu dopisując Idze kolejny minus.

A minusy mnożyły się z każdym dniem coraz bardziej.

Powieki ciążyły mu niemilosiernie, czytane wyrazy zlewały się w nic nieznaczący zlepek. Zdecydowanym ruchem zamknął komputer i wstawił wodę na kawę. Otworzywszy szafkę, zauważył, że w środku panuje radosny chaos. Kawa, herbata, znowu kawa, jakieś ziółka... Tak

jakby nie można było tego poukładać według jakiegoś klucza. Miał ochotę trzasnąć drzwiczkami, potem drzwiami i wyjść z tego domu raz na zawsze, ale gdzieś z tyłu głowy kołatała mu myśl, że w pobliżu łóżka Agaty nie będzie miał ani chwili na odpoczynek. Teraz nie był na to gotowy. Musiał zebrać siły, żeby móc zmierzyć się z przyszłością.

Nigdy nie przypuszczał, że życie może być tak ciężkie.

Z drzeniem serca codziennie zaglądała na aukcję. Ciągłe nie było oczekiwanej oferty kupna. Czyżby Mariusz się wahał? A może jej nie rozpoznał? To niemożliwe, żeby nie był na aukcji, choć z drugiej strony... Ostatnio miał w pracy taką orkę, że ledwie patrzył na oczy. Fakt, przed ślubem potrzebowali pieniędzy. Nie tylko po to, aby przygotować odpowiednią oprawę, ale głównie z uwagi na projektowaną zmianę mieszkania. Kiedyś o tym rozmawiali. Wezmą kredyt i kupią swoje własne. Z jednej pensji będą spłacać kolejne raty, z drugiej będą żyć. Tak, to musi być to. Zrozumiałe, że Mariusz nie mógł ślęczeć nad zleconymi projektami w domu. W ich wynajmowanej klitce nie było na to warunków. Poświęca się tak dla jej dobra, bo - po pierwsze - ten ślub, po drugie - mieli tylko jeden komputer, który zablokowany przez jego projekty uniemożliwiłby jej pisanie pracy, po trzecie - nie chciał zakłócać jej snu. Rozumiała to i dlatego rano, na paluszkach, bez śniadania wychodziła na zajęcia. Nic innego nie wchodziło w rachubę, na pewno.

Czasami aż ją korciło, by powiedzieć mu o aukcji, ale gryzła się w język.

Nie mogła przecież zepsuć niespodzianki. Całe szczęście, że do jej zakończenia pozostało jeszcze kilka dni. W odpowiednim czasie Mariusz to znajdzie i wylicytuje. Będzie miał dowód, że Iga gotowa jest oddać mu się za symboliczną złotówkę, choć w skrytości ducha marzyła, że wzruszony zaoferuje jakąś szaloną kwotę. Może nawet dlatego biedaczek tak ciężko pracuje? Może to jest powód jego godzin nadliczbowych? Tu Igę ogarnęły wyrzuty sumienia. On na pewno już to widział. Udaje, że nie ma o niczym pojęcia, bo chce jej zrobić niespodziankę. Czy tysiąc złotych by ją satysfakcjonowało? Gdyby miało to oznaczać powrót dawnych czasów, to niech będzie i ten tysiąc.

Stan posiadania Olgierda skurczył się o siedem tysięcy złotych, ale za to powiększył się o trzy ręce. Ich właścicielami było dwoje studentów i jedna bezrobotna matka. Studenci, z uwagi na zakładane ożywione życie towarzyskie, zostali klepnięci za dwa i pół tysiąca sztuka; kobieta - ze względu na - jak by tu powiedzieć - nieco starsze ciało - za dwa tysiące. Według Olgierda warta była jeszcze mniej, ale intuicja mu podpowiadała, że napis na jej ręce mógł zacząć działać szybciej niż u pozostałych. No i zawsze fajnie mieć w stajni jakąś klacz, nawet gdyby miała za chwilę paść.

Kwoty oferowane przez Olgierda miały być na razie zachętą. Był przekonany, że z każdą następną aukcją ceny rąk będą spadać.

Właśnie stał przy otwartym na całą szerokość oknie. Słońce wlewało się do gabinetu nieznośnym żarem, ale zadowolony z udanych transakcji, zapragnął tego blasku. Nareszcie poczuł, że żyje. Poluzował wiśniowy krawat i odpiął górne guziki błękitnej koszuli. Chwilę stał przy oknie, wystawiając twarz na słońce. Miał przecucie, że lada dzień, lada chwila odmieni swoje nudne życie. Chciał nawet zignorować dzwoniący od kilkunastu sekund telefon na biurku. Sekretarka była jednak uparta. Po pierwszej nieudanej próbie połączenia natychmiast podjęła następną i Olgierd, chcąc nie chcąc, musiał podnieść słuchawkę. Znał zwyczaje pracownicy i wiedział, że i tak za chwilę zapukałaby do drzwi. Zamknął okno i zasunął rolety, przywracając w gabinecie półmrok.

- Słucham panią? - zapytał, siląc się na życzliwy ton.

- Dzwoniła pana żona. Prosiła o telefon. Czekaj w domu.

- Dobrze, dziękuję - odpowiedział, odkładając słuchawkę.

Nie mógł zignorować tej wiadomości. Nawet jeśli dotyczyła jakiejś błahostki, nie miałby nic na swoje usprawiedliwienie, gdyby nie oddzwonił. Alicja знаła niemal cały rozkład jego zajęć. Począwszy od spotkań zarządu, po obiady z kontrahentami. Nie ma to jak rodzinka!

Pewnie coś się stało. Żona przecież wydzwania przeważnie w jakichś dla niej istotnych sprawach, choć czy są one równie istotne dla niego, można by dyskutować.

Kiedy był w pracy, nigdy nie dzwoniła na jego komórkę. Aura zapracowania, jaką wokół siebie roztaczał, sprawiała, że małżonka nabrała lęku, iż być może zadzwoni w nieodpowiednim momencie. Woląla zostawić wiadomość u sekretarki.

- Coś się stało? - Olgierd nie miał zwyczaju bawić się we wstępy w rozmowach z nadgniłą połówką swojego życia. Jako bardzo, bardzo zajęty człowiek mógł rozmawiać wyłącznie krótko i na temat. Zaniechanie tej zasady i rozpoczęcie pogaduszek mogłoby zburzyć budowany przez lata image.

- Olgierd, pamiętasz, co obiecałeś młodemu?

- A coś obiecywałem? - Był autentycznie zdziwiony.

- Urodziny, wspólne wyjście - wyrzuciła jednym tchem. - Próbowałam wybić mu to z głowy, ale on nie chce nic zamiast.

- Dobry szczeniak. - Olgierd poczuł się mile polechtany zacięciem syna. - Poczekaj - zajrzał do kalendarza - to jutro? - Był naprawdę zaskoczony.

Zupełnie zapomniał o wspólnym wyjściu. Obietnicę dał pod wpływem chwili, teraz jego zapał szybko stopniał i w głębi duszy miał nadzieję, że dziecko o wszystkim zapomniało. Nadzieje okazały się płonne. Trzeba będzie teraz jakoś to zorganizować.

- Jutro mam spotkanie zarządu - zastanawiał się na głos.

- Ojciec wie - powiedziała. - Młody rozmawiał z nim dziś przez telefon i cieszył się na to wyjście. Nikt nie będzie ci robił wyrzutów.

Olgierda ogarnął gniew.

Jak zwykle wszystko sobie zorganizowali za jego plecami. Zagryzł wargi niemal do krwi, żeby nie wybuchnąć. Od dzieciństwa był wybitnym specjalistą w ukrywaniu złości. W takich chwilach jak ta miał wrażenie, że gdzieś w głowie, w tych wszystkich niby szufladkach ma popychane maksimum żalu; że zamki niedługo nie wytrzymają i wszystko gromadzone tam przez lata wyleje się z niego strumieniem. Poczucie krzywdy nie podlegało przedawnieniu. Nigdy nie potrafił wyrzucić go z siebie, a potem zapomnieć. Nie umiał wybaczać.

Cisza w słuchawce przeciągała się w nieskończoność. Alicja chyba wyczuła, że powiedziała coś nie tak, bo w końcu usłyszał jeszcze bardziej przepraszający ton:

- To co mam mu powiedzieć? Ojciec mówi, że chętnie poprowadzi za ciebie to zebranie; w końcu dziecko ma urodziny tylko raz w roku. Może... Może jednak namówię małego, żebyśmy pojechali do dziadka? Jeśli tak bardzo ci zależy na tym zarządzie...

- Nie - usłyszał własny głos. - Aż tak mi nie zależy.

Odetchnęła z ulgą.

Znowu miał fart, udało mu się stłumić wściekłość.

- To gdzie z nim pójdziemy? - Jej głos wyraźnie drżał. Olgierd mógłby przysiąc, że żona właśnie nerwowo poprawia włosy.

- Nigdzie. Obiecałem mu męską wyprawę. Tylko ja i on. Bez kobiety. Czy to ci nie odpowiada?

Westchnęła zrezygnowana. Pewnie nie była uszczęśliwiona faktem wyłączenia jej z urodzinowych atrakcji, ale dobro dziecka było najważniejsze.

- Nie, nie, skąd. Zaczekam na was w domu.

Dom.

Pięciopokojowy segment, obstawiony pięcioma podobnymi sobie budynkami. Ściana w ścianę, ogródek w ogródek. Zaczynając od piwnicy, po parter z kuchnią, salonem i małą toaletą dla ewentualnych gości. I schody. One są najważniejsze i wydaje się, że cały ten wąski i wysoki budynek składa się tylko z kolejnych stopni. To na nich toczy się codzienne życie. Góra, dół, góra, dół. Na półpiętrze dwie małe sypialnie i kolejna toaleta wyposażona w prysznic z myślą o gościach łaskawie zaproszonych na nocleg. Drewniane schody nagle skręcają ostro i wiodą na górę, do części domu zarezerwowanej wyłącznie dla domowników. Małżeńska sypialnia, za ścianą pokój dziecka, garderoba, duża łazienka i pomieszczenie najbardziej oddalone od wszystkich. Gabinet Olgierda.

Wszystko w klasycznym wystroju, w stonowanych barwach. Jasne ściany i ciemne drewno mebli. Krzyk i szept. Nienawiść i miłość.

I obojętność.

Ten dom to klatka. Jedna wielka klatka schodowa, z której niekiedy udaje się wymknąć do ogródka. Mały taras, którego intymności bez powodzenia strzegą wyrosnięte tuje. Za drzewkami czają się wścibskie uszy sąsiadów wylapujące każdy niezwykle tembr głosu, zlepek słów, nawet tych mówiących o niczym. Brzoza pochyła się wyraźnie w stronę południową, jakby jeszcze nie wierzyła, że konkurenci zostali wycięci przed laty i nic już jej nie odgrodzi od słonecznego światła; ciągle nieco przechylona, gotowa walczyć o przynależny jej skrawek nieba.

Właściwie nie wiadomo, dlaczego i jej nie wycięto. Może to była fanaberia, żeby na przekór ograniczonej powierzchni ogródka pozwolić wzrosnąć takiemu kolosowi, a może zaniedbanie właścicieli. Może uratowała ją biała sukienka kory, odcinająca się wyraźnie od reszty roślin i zielonego trawnika, a może chodziło o rozłożysty konar rzucający błogosławiony cień podczas upałów.

Człowiek powinien mieć jakieś drzewo w zasięgu wzroku.

Od kołyski po zbitą z niego trumnę.

Alicja czeka. Mieszkanie wysprzątane, tort przygotowany, prezent zapakowany. To na wypadek, gdyby z jakichś nieznanych powodów Olgierd się rozmyślił i zawrócił ze wspólnej wyprawy z synem. Wieczorem mają przyjść jej rodzice. Koniecznie chcieli uczcić urodziny wnuka. Matka Olgierda już rano złożyła życzenia przez telefon. Zawsze pamiętała o każdym ważnym dniu. Alicja zachodzi w głowę, jak to możliwe,

że tak poukładani, życzliwi ludzie jak jej teściowie mogli wydać na świat Olgierda. Trudnego, zamkniętego w sobie.

Chociaż nie zawsze taki był; nie na początku. A może myliła się wtedy, może zaślepiona pierwszym uczuciem widziała nie jego, tylko własne o nim wyobrażenia?

Od lat jest taki zgorzkniały i obojętny...

A przecież nie miał na co się skarżyć. Alicja starała się zaspokajać wszystkie jego potrzeby. W pracy szło mu jak po maśle; godziny nadliczbowe poświęcał firmie dobrowolnie. Ojciec często powtarzał, że zięć jest jednym z najlepszych i najbardziej zaufanych ludzi. W dodatku lada chwila miał wszystko to przejąć. Więc praca okej, do tego zdrowe i mądre dziecko. Dlaczego więc ciągle jest niezadowolony?

Alicja rozłożyła na stole śnieżnobiały obrus. Zastawa po babci, srebrne sztuce, świeczniki i wstępne przygotowania zakończone. Nie ma ich już dwie godziny. To dobry znak. Mały potrzebuje kontaktu z ojcem. Może to jej wina, że od początku wyręczała Olgierda we wszystkich obowiązkach związanych z wychowaniem dziecka. Chciała dobrze, ale utrudniła mu w ten sposób możliwość stworzenia prawdziwych więzi. Przecież miłość rzadko przychodzi nagle. Na początku jest zdziwienie, kiedy na porodówce kładą ci na brzuchu umazanego krwią noworodka.

Nie, nieprawda. Najpierw jest ulga, że poród się skończył i że dziecko jest zdrowe. Potem, kiedy patrzy się na zawiniątko, pojawia się

właśnie zdziwienie. Fala miłości macierzyńskiej dopiero nadchodzi, choć wydaje się, że już tu jest. Ala ponownie spojrzała na zegarek. Za kilka minut jej syn urodzi się po raz szósty. Dopiero dzisiaj, patrząc z perspektywy tych wszystkich minionych lat, widać, że ten przyływ miłości na sali porodowej był tylko małą zmarszczką na tafli wody, a prawdziwa fala dopiero nadchodziła. Z każdą nocą nieprzespaną, w obawie o zdrowie dziecka przy byle skoku temperatury, z każdym uśmiechem. Tak... Pierworodne kocha się z każdym dniem coraz bardziej. Olgierd też je kochał, Ala nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Tyle że jakoś inaczej. Bardziej szorstko, na odległość, z dystansem, jaki miał do dziecka od chwili jego narodzin.

Czy mogłoby zdecydować się na drugie? Ta myśl, nawiedzająca ją od czasu do czasu, zawsze budziła niepokój. Na pewno pokochałaby je od razu. A jeśli nie? Jeśli w jej sercu zabrakłoby miejsca dla drugiego maleństwa? Przecież kochała swojego jedynaka tak, iż niemożliwe zdawało się podzielenie tej miłości na dwójkę.

Nie, nie powinna mieć drugiego dziecka. Młody byłby zazdrosny; wyrządziłaby mu tym krzywdę.

A Olgierd? Co by było, gdyby to drugie, to jeszcze nieistniejące, pokochał bardziej niż pierworodnego? Młody jest przecież tak zaborczy, tak zachłanny, jeśli chodzi o ojca...

Usłyszała dzwonek do drzwi i ruszyła do przedpokoju.

Wrócili.

Po chwili sześciolatek rzucił się jej na szyję, nie przestając paplać o karuzeli i lodach w towarzystwie ojca. Kątem oka widziała, jak Olgierd zdejmuje marynarkę, wkłada kaptcie i mijając ją w wąskim przejściu, kieruje się na schody.

- Nie jesteście głodni? Mam w piekarniku pieczeń. - Chciała go zatrzymać, przedłużyć synowi czas spędzony wspólnie z ojcem.

Olgierd zatrzymał się na moment, zerkając do jadalni.

- Spodziewamy się jeszcze gości?

Nie odpowiadało mu to. Chciał jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju i przemyśleć sprawę tatuaży. Ten sam napis co wcześniej czy inny?

- Przyjdą moi rodzice; wspominałam ci. Ojciec mówił, że po zarządzie wpadną z życzeniami do wnuka.

Przybrał maskę obojętności. Zero radości, zero zniechęcenia.

- To poczekam na nich z jedzeniem. Jeśli nie usłyszę dzwonka, daj mi znać - rzucił na odchodnym, wchodząc na schody.

Król Mariusz szukał na aukcji jakiegoś zabiegowego prezentu dla Agaty. Miało to być coś super-oryginalnego, coś, co zapamiętałaby do końca swoich dni. Przeglądał właśnie kategorię „dziwactwa”, kiedy znowu mignęło mu przed oczami to denerwujące zestawienie kolorów na fotografii. Już prawie o tym zapomniał, ale teraz postanowił mu się przyjrzeć.

„Dziś wystawiam na licytację samą siebie” - przeczytał i momentalnie podskoczyło mu ciśnienie. Znał ten nick; zbyt dobrze go znał. Przed laty sam zakładał to konto, żeby Iga nie musiała zaglądać do jego osobistej skrzynki. Poczul się oszołomiony i zaskoczony. Dla pewności szybko kliknął na zdjęcie, by je powiększyć. Tak, to ona. Przecież poznałby ją, nawet bez twarzy, na końcu świata. Znał te wałki tłuszczu. Sam nie rozumiał, dlaczego miętosił je w niektóre noce. Pewnie w przypiływie obłędu. W porównaniu z Agatą Iga była jak beczka, którą powinno się wstawić do piwnicy i kisić w niej na przykład kapustę. Wpatrując się w zdjęcie, mruknął ze złością:

- To dlatego ostatnio jest taka niezrównoważona.

Patrzy na niego wyczekująco jak suka na swojego właściciela albo ni stąd, ni zowąd unika jego wzroku i wyje po kątach, wzbudzając w nim nieuzasadnione poczucie winy...

Jezu, ale sobie wymyśliła jazdę!

I co, to ma niby być prezent? Dla niego?

Prychnął, wydymając wargi w pogardliwym uśmiechu. Po co kupować coś przechodzonego, co można mieć za darmo? To on cały czas główkuje, jak wynieść mebel na śmietnik, żeby zrobić luz w mieszkaniu, a mebel wystawia się na aukcję i myśli, że jest cennym antykiem i że właściciel będzie na tyle głupi, iż po latach pakowania w niego pieniędzy na renowację jeszcze raz da się nabrać i kupi... Śmiechu warte!

Mariusz zerknął na datę zakończenia licytacji. Do końca pozostały trzy dni. Zastanawiał się, co powinien w tej sytuacji zrobić. Jeśli nie weźmie udziału w aukcji, da Idze do zrozumienia, że już jej nie potrzebuje. Gdyby w ciągu najbliższych trzech dni sytuacja diametralnie się zmieniła, może zawsze powiedzieć, że przeoczył tę wspaniałą okazję, i nikt mu nie udowodni, że było inaczej.

A gdyby tak... A gdyby zrobić taki prezent Agacie? Gdyby kupić Igę i podarować ją Agatce? Pewnie nic by jej bardziej nie ucieszyło jak rywalka rzucona pod zgrabne nogi. Trofeum. To mógłby być dowód jego miłości.

Nie, takie rozwiązanie nie wchodziło w rachubę. Agata nigdy nie pytała o narzeczoną Mariusza, choć wiedziała o jej istnieniu.

To co, kupić ją i zachować dla siebie? Zmobilizować do odchudzania, a potem dać krzyż na drogę i odrestaurowaną puścić w świat?

Powinna mu być wdzięczna za taką dbałość o jej sylwetkę. W końcu, w jej sytuacji i wieku takie odchudzanie to ogromna inwestycja. Tylko z drugiej strony - dlaczego ma proponować w domu drakońską dietę i sam cierpieć w wyniku spożywania dietetycznych kotletów sojowych?

Jest jeszcze inne wyjście. Mógłby ją kupić, zabajerować, że zmienił zdanie w kwestii idealnej sylwetki, i utuczyć jak świnie. W końcu byłby to jego tłuszcz. Tak...

Tak powinien zrobić. Szczególnie za te wszystkie ostatnie miesiące, kiedy coraz trudniej było mu znieść towarzystwo Igi. Kiedy

zrozumiał, że minione lata zmarnował bezpowrotnie na coś, co wydawało mu się dobrą lokatą na przyszłość. Tak... Utuczy, a potem odda do skupu, zamieniając każdy zbędny kilogram Igi na niezwykłą lekkość niby samotnego bytu.

Napis pozostanie taki sam.

Kreatywny umysł Olgierda mógłby co prawda wymyślić sto następnych tatuaży, które zaniżyłyby samoocenę przyszłym odbiorcom treści, a jemu samemu poprawiłyby humor. Gdzieś przecież musiał dać upust swojej frustracji i niezadowoleniu. Robił to przecież za niemałe pieniądze i w dodatku - za pełną zgodą i akceptacją właścicieli rąk. W końcu nie on to wszystko wymyślił, nie on dawał ogłoszenia. Kupował konkretny produkt, mający swoją określoną cenę i przeznaczenie. Oni dostawali pieniądze, on możliwość spełnienia. Możliwość wysłania w świat przekazu silniejszego niż wynajęcie powierzchni reklamowej w poczytnej gazecie.

Napis „jesteś nikiem” był przecież jego marką.

Teraz musiał wysłać kilka e-maili i zadzwonić do salonu tatuażu. Prawie godzinę zajęło mu również znalezienie odpowiednich ludzi, którzy mieli robić zdjęcia i kontrolować wynajęte ręce. Od pierwszego z nich, obserwatora prototypowej ręki, odebrał właśnie e-mail z krótką informacją, że nazajutrz kurier dostarczy mu kolejną partię zdjęć. Zdaje się, że Pierwszy wylazł ze swojej nory i przesłanie na razie nieśmiało, ale

konsekwentnie wyrusza w świat.

Zadowolony z siebie Olgierd zamknął laptop i postanowił się odświeżyć. Wycieczka z dzieckiem zmęczyła go. Z trudem wytrzymywał w gwarnym tłumie w wesołym miasteczku. Panujący od kilkunastu dni upał Olgierd akceptował tylko z jednego powodu: po dzisiejszej wyprawie, wypuszczony nagle z klimatyzowanych pomieszczeń, przekonał się, że długi rękaw w tym gorącu byłby nie do zniesienia.

Odkręcał kurek z zimną wodą, kiedy dobiegł go dźwięk dzwonka. Przyszli wiecznie młodzi rodzice jego żony.

Zygmunt Malicki, właściciel firmy „Alice”, z trudem tłumił podniecenie, kiedy jego żona Anna dzwoniła do drzwi wejściowych. Ostatnimi czasami rozważał przejście na zasłużoną emeryturę i poświęcenie się najbliższej rodzinie.

Jedyne, co go powstrzymywało, to właśnie dobro córki, jej męża Olgierda i Marcinka.

Jednak kilka dni temu wraz z Anną podjęli decyzję, którą na razie trzymali w tajemnicy. Firma miała się dobrze, a Olgierd był zaufanym i godnym następcą, który z pewnością nie zmarnuje dorobku teścia. Tego starszy pan był pewien. Do tej pory męczył się na stanowisku szefa tylko ze względu na rodzinę. Obawiał się, że zapracowany ponad siły zięć z chwilą przejęcia odpowiedzialności za firmę miałby jeszcze mniej czasu dla siebie i najbliższych.

Mimo że Alicja nigdy się nie skarżyła, Zygmuntowi od dawna trudno było znaleźć blask w jej oczach. Jakby tego było mało, odrzucała wszelką pomoc. Anna nieraz sugerowała córce, by ta przyjęła pomoc domową. Ambitna Alicja natychmiast zbywała te propozycje, nawet nie słuchając argumentów.

- Mamo - broniła się. - To dla mnie przyjemność robić coś dla Olgierda i Marcinka. Poza tym nie znoszę obcych osób pałętających się po domu. Chyba źle bym się czuła ze świadomością, że ktoś sprząta mój bałagan, gdy ja w tym czasie siedzę z książką w ręku...

Dlatego rodzice postanowili zmienić ten stan rzeczy poprzez rewolucję. Zygmunt miał nadzieję, że odchodząc z firmy i zostawiając ją w rękach zięcia, sam będzie miał więcej czasu dla rodziny. Bo Olgierd za nic nie chciał korzystać z praw zwykłego pracownika i wychodzić do domu o normalnej porze.

Teraz decyzja była już podjęta i pozostało tylko zakomunikować ją młodemu.

W jadalni wszystko było przygotowane. Czekali jeszcze na Olgierda, który krzyknął z piętra, że za moment będzie na dole. Ubierał się właśnie w przewiewną koszulkę i lniane spodnie, by za moment zejść do gości z przylepionym na twarzy uśmiechem.

Marcin biegał radośnie wokół stołu, niecierpliwie czekając na obiecany tort. Olgierd pozazdrościł synowi werwy. On w jego wieku był

chyba spokojniejszy.

Ruchliwość małego szybko zaczęła działać mu na nerwy; z trudem się powstrzymywał, żeby nie złapać go za ucho.

- A teraz pomyśl sobie jakieś życzenie. - Cztery dorosłe osoby wpatrywały się w sześciolatniego chłopca, przestępującego z nogi na nogę. Policzki miał zaczerwienione z emocji.

Już, już miał obwieścić życzenie całemu światu, kiedy dziadek go uprzedził:

- Tylko nam nie mów, co wymyśliłeś, bo może się nie spełnić.

Chłopczyk wypuścił z płuc całe powietrze i nabrał je na nowo.

- Dmuchaj. - Matka przysunęła tort na brzeg stołu, żeby łatwiej poradził sobie ze świeczkami.

Jeden silny wydech i w powietrze uniósł się swąd zgaszonych świeczek.

Dorośli zaczęli bić brawo. Marcin, zadowolony, patrzył kolejno na rodziców i dziadków. Oczy mu błyszczały.

- Teraz możesz nam zdradzić swoje życzenie. - Dziadek podsunął chłopcu krzesło i sam zajął miejsce przy stole. Pozostali poszli w jego ślady. Tylko Alicja kroїła tort i nakładała kawałki na talerzyki.

Wszyscy z większym lub mniejszym zaciekawieniem popatrzyli na brzdąca.

- No? - Olgierd udał zainteresowanie. - Powiesz nam?

- Nie mogę. - Dziecko jakby się wahało. - Ale powiem, kiedy życzenie się spełni.

- Cwaniak - roześmiała się babcia. - Ma rację, że nie chce ryzykować.

Chłopiec spojrział ponad ramieniem babci przez oszklone drzwi na ogród. Drzewo wiedziało. Nieraz je obejmował, zamiast się bawić obok w piaskownicy. Ścisnął pień z całej siły. Jak tatę. Drzewo wiedziało i na pewno też się ucieszy, kiedy marzenie wreszcie się spełni.

Było już późno, bardzo późno, ale Olgierd jeszcze siedział w swoim pokoju i trząsał się ze złości. Nareszcie mógł odkleić sztuczny uśmiech i dać upust wściekłości. W tym momencie nienawidził całego świata. Ich, tych wszystkich głupich ludzi, którzy byli nikim, po prostu nikim w porównaniu z nim. Śmieci powinny iść do zsyphu, zniknąć z powierzchni ziemi. Jego teść był takim śmieciem. Mimo że Olgierd tak się starał przez te wszystkie lata, że wypruwał sobie żyły, znosił pomiatanie... Teraz mu pokazali, że on sam niewiele dla nich znaczy.

Zarządca, wyrobnik, urzędas.

I nic więcej.

Wyjął z szuflady paczkę papierosów i zapalił. Zaciągał się zachłannie, szybko.

Zrobiło mu się niedobrze. Mimo sporej ilości wypitego wina zobaczył teraz z całą ostrością, że od dzieciństwa kręci się bezustannie na karuzeli i nie może jej zatrzymać.

Musiał to jakoś odreagować. Machinalnie otworzył laptop i wpisał hasło. Nie zamierzał czytać wiadomości z pierwszych stron portali.

Kliknął na pierwszy z linków z serii „ulubione”.

Aukcja.

Trzeba szybko nakupić jakichś rąk, nóg czy dup.

Tak żeby wirus rozplenił się błyskawicznie, a sąsiedzi jego teściów wykaligrafowali sobie na ręce napis „jesteś nikiem”. Żeby potem podawali tę dłoń staremu draniowi, poklepując go po ramieniu. Żeby dziad zrozumiał wreszcie, że jest głupim starym zgredem, wrzodem na tyłku, niczym więcej.

Jedna nowa oferta na tatuaż z logo firmy. Klik, klik, załatwione. Sprzedający zapewne uważał się za niezwykle przebiegłego, wystawiając swoją skórę w opcji „kup teraz”. Wycenił ją tylko na cztery tysiące złotych - śmieszne. Niby kwota większa niż przy poprzednich trzech licytacjach, ale Olgierd musiał kupić coś właśnie teraz.

Za szybko to poszło i nie przyniosło mu spodziewanej ulgi. Powinien teraz skoczyć do łóżka zmęczonej Alicji i upokorzyć ją ich starą zabawą. Zabawą, bo kiedyś, na początku, traktowali to jako zabawny wstęp do pieprzenia. Z czasem, kiedy seks stał się nudnym małżeńskim obowiązkiem, niemal czynnością fizjologiczną podobną do sikania, kiedy Olgierd czuł, że ona NIE CHCE, zadawał sakramentalne pytanie, niby to żartem, ale wymuszając na niej decyzję: ogień czy lód? Ognia nie było już dawno, ale pod tym słowem kryło się pieprzenie w pełnym wymiarze. Kiedyś Alicja wybierała głównie ogień. Ostatnio wyłącznie lód.

- Ogień czy lód? - Olgierd stał u wezłowania łóżka. W ciemności nie widziała jego twarzy, ale mogła przysiąc, że się nie uśmiecha. Był pijany, czuła to.

Nie lubiła, kiedy ją budził z tym natarczywym pytaniem, kiedy czuła, że on chce tylko zaspokoić swoje potrzeby. Chciałaby, żeby to był ogień. Prawdziwy ogień, który spaliłby wszystkie złe myśli. Ale ten ogień już dawno zgasł i pozostała tylko żałosna gra słów.

Nie lubiła, kiedy mąż przychodził do łóżka podпиты. Chciałaby delektować się jego dotykiem, smakować i czuć... Gdyby tylko jeszcze wierzyła, że to jest szczere. Wiedziała jednak, że jest dla niego wyłącznie ciałem mającym zaspokoić jego potrzeby.

Wchodził w nią bez żadnych wstępnych pieszczot i poruszał się mechanicznie. Cieszyła się w duchu, że jej nie dotykał. Miało być właśnie tak.

Poznała to po braku uśmiechu w głosie, po wyczekującej pozie u wezłowania łóżka.

Nie, nie chciała „ognia”.

Dlatego coraz częściej wybierała lód.

Było to mniej upokarzające.

Dzisiaj była na niego zła, ale bała się ten gniew okazać. Dałaby mu wtedy pretekst, by odszedł, a przez następne tygodnie ze złością trzaskał drzwiami i celebrował wrogię milczenie.

Marcin potrzebował innego domu. Potrzebował ojca. Potrzebował spokoju. Te kilka minut

mogła przecież wytrzymać, choć nie rozumiała dzisiejszej, z trudem skrywanej złości męża.

- Łód - szepnęła, wyciągając do niego rękę. Jak to dobrze, że jej zachrypnięty od snu głos zabrzmiał w miarę naturalnie.

Iga nie mogła sobie znaleźć miejsca. Mariusz pracował jak szalony i miała wrażenie, że pojechał co najmniej gdzieś za granicę, a nie kilka przecznic dalej, do swojego biura. Prawie w ogóle się nie widywali, a zdawkowe „cześć” w jego głosie brzmiało coraz bardziej obco.

- To dziś - szepnęła do siebie. - Dziś na pewno mnie wylicytuje.

Przygotowywała uroczystą kolację.

Zegar wskazywał kilkanaście minut po dwudziestej, a jego ciągle nie było. Sięgnęła po telefon. Żadnych nowych wiadomości, żadnego połączenia. Wystukała znany na pamięć numer.

- Niedługo będę - uprzedził jej pytanie i rozłączył się. Ponownie sprawdziła, czy wszystko jest przygotowane. Było.

Otworzyła komputer. Jeszcze niecałe dwie godziny i wszystko będzie wspaniale - pomyślała z nadzieją. Na schodach rozległy się kroki. Pознаłyby je wszędzie.

Mariusz wszedł do mieszkania i od razu ruszył do łazienki. Czekala cierpliwie przy kuchence, żeby w odpowiednim momencie podać przygotowane danie. Wyszedł po kilku minutach odświeżony i skierował się do szafy. Przez chwilę przebierał w ubraniach i w końcu znalazł to,

czego szukał. Zieloną koszulkę polo i ulubione dżinsy. Odwrócona tyłem nakładała na talerz kolację, modląc się, aby go nie upuścić. Z napięcia cała drżała. Pewnie za chwilę Mariusz podejdzie do niej i obejmie ją od tyłu. Najpierw pocałuje w kark, a potem uściskiem wyrazi podziękowanie.

Usłyszała trzask zamykanych drzwi wejściowych i zaskoczona poszukała oczyma narzeczonego. Na próżno. Zapukała do łazienki. Nikt nie odpowiedział. Uchyliła drzwi, ale wewnątrz nikogo nie było.

- Mariusz? - Była zdezorientowana. - Mariusz?

Wyszedł. Może ma za drzwiami jakąś niespodziankę? Uchyliła je, ale na klatce schodowej panowała absolutna cisza.

Iga wróciła do mieszkania i sięgnęła po telefon. Wystukała numer. Tuż obok niej podskoczyła jego komórka.

Zaraz wróci, na pewno zaraz wróci - powtarzała sobie uspokajająco. Jeszcze raz rozejrzała się uważnie. Zniknęły kurtka i buty.

Na pewno skoczył do kiosku. Jest taki zapracowany i roztrzepany, że jak nic, czegoś zapomniał - próbowała go usprawiedliwić.

Kolacja stygła. Za chwilę wszystko będzie całkiem zimne. Iga niepewnie sięgnęła po komórkę narzeczonego. Nie robiła tego nigdy wcześniej, ale teraz pokusa była nie do odparcia. Szybki rzut oka na historię połączeń odebranych i nieodebranych. Potem na wybierane numery. I na końcu - skrzynka SMS.

„Czekam o 22”.

Krótką, lapidarną wiadomość od Agatki. Właśnie to imię wyświetliło się zamiast numeru nadawcy. A więc Agatka była dla niego kimś bliskim. Kimś wpisanym w jego życie jako imię, a nie nic nieznacząca kombinacja cyfr.

Z tego wszystkiego Iga zapomniała o aukcji.

Jezu! Przecież ta Agatka to pewnie jakaś koleżanka z pracy, do której pobiegł, żeby zdążyć na licytację! Chciał do samego końca potrzymać ją w niepewności, żeby potem wynagrodzić jej czekanie.

Pospiesznie otworzyła komputer, weszła na interesującą ją stronę i odszukała swoją ofertę.

- On tam jest, wiem to - powiedziała do siebie. Czeka, żeby w ostatnim momencie odpowiedzieć na jej ofertę. Żeby potwierdzić, że wszystko między nimi jest nadal aktualne i ważne.

Rzeczywiście tam był. Po drodze do Agaty wstąpił do kawiarenki internetowej. Bóg mu świadkiem, że nie chciał kupować Igi, ale tak się o to prosiła, tak jej zależało, że teraz nie potrafił sobie odmówić tej przyjemności. Kupić i utuńczyć, co oznaczało jeszcze z nią trochę pomieszkać, czy kupić i wyrzucić, co było równoznaczne z odejściem bez zabezpieczenia tyłów. Żaden inny wariant nie wchodził w rachubę. Zerknął na zegarek. Do końca aukcji pozostało dziesięć minut, do spotkania z Agatą niewiele więcej. Nie mógł się spóźnić, dlatego postanowił wpisać

symboliczną złotówkę. Potem szybko się wylogował i wyszedł.

Idze spadł kamień z serca. Mariusz ją kupił! Zalała ją fala radości i szczęścia. Wreszcie ma potwierdzenie, że wiedział i że mu zależy. Że zawsze można na niego liczyć.

Chciała zadzwonić i podziękować; chciała mu powiedzieć, jak bardzo go kocha, ale Mariusz zostawił telefon w domu.

Zdenerwowanie i niepewność kompletnie ją wyczerpały.

Wpatrywała się uszczęśliwiona w tę symboliczną złotówkę, kiedy nagle zapis na monitorze się zmienił. Ofert kupna: dwie. Kwota: dziesięć tysięcy złotych. Iga osunęła się na kolana. W ostatniej minucie Mariusz podbił stawkę.

A więc nie myliła się. Te ostatnie dni intensywnej pracy, to wszystko... Wydawało jej się, że dobrze go zna, a tymczasem on ją tak zaskoczył...

Aukcja zakończona.

Najwyższa kwota: dziesięć tysięcy złotych.

Najwyższa oferta: Biznesmen. Jak to?

Iga poczuła, że cała się trzęsie. Odświeżyła stronę i ponownie zerknęła na opis.

Nie, nie wydawało jej się.

Najwyższa oferta pochodziła od Biznesmena.

Na pewno wpisał sobie drugi login. Żeby przez parę minut pozostawała w niepewności, a potem poddała się euforii. Iga siedziała na krześle, wpatrując się tępo w monitor. Chciała

wierzyć; z całych sił starała się wierzyć, że się nie myli, intuicja jednak podpowiadała jej zupełnie co innego.

Iga zerwała się z krzesła. Nieprzytomnym wzrokiem ogarnęła małe mieszkanko. Zimna kolacja, dopalające się świece... Machinalnie zaczęła zbierać wszystko ze stołu i odnosić na kuchenny blat. Nietknięte jedzenie wylądowało w wiadrze na śmieci. Uchyliła okno. Na dole panowała cisza, niezwykła po całodziennym zgiewku dziecięcych głosów. Gdzieniegdzie spacerowały psy prowadzone na smyczach przez zmęczonych właścicieli. Nie szczekały, nawykłe do dyscypliny w blokowisku.

Pozazdrościła im, tym psom. Ktoś z nimi był, ktoś się o nie troszczył.

Olgierd przyjechał do biura później niż zwykle. Był niewyspany i zły. Zanim wszedł do biurowca, prześwietlił go wzrokiem. Ten biurowiec miał być jego, a dziwnym trafem wymknął mu się z rąk na rzecz sześciolatniego gówniarza.

Fala wściekłości wróciła z jeszcze większą siłą na wspomnienie urodzinowego wieczoru Marcina. Stary dziad, Zygmunt Malicki, uroczyście obwieścił po zjedzeniu tortu, że podjął decyzję co do firmy. Z uśmiechem wyrzucał z siebie kolejne słowa, z których Olgierd początkowo niewiele rozumiał. Kiedy wreszcie dotarł do niego ich sens, zagryzł wargi, żeby nie okazać rozczarowania i wściekłości. Oznajmiono mu ni mniej, ni więcej, że teść zamierza przepisać firmę na swojego jedyne go wnuka, a zanim młody

osiągnie pełnoletność, Olgierd będzie zajmował się prowadzeniem firmy.

A więc rozstrzygnęło się.

Sługus, najemnik, chłopiec na posyłki.

Nikt więcej. Oto, do czego doszedł po latach poświęceń w pracy i w domu.

Tych kilka słów, wypowiedzianych z uśmiechem na ustach, odebrało Olgierdowi wszelkie złudzenia. Że kiedyś, kiedy dziad pójdzie do piachu, on odziedziczy to, co mu się już dawno należy. Teraz dziad może sobie umierać, kiedy mu się tylko podoba; i tak jego śmierć niczego nie zmieni. Nadal właścicielem będzie ktoś inny; przez całe życie ktoś będzie mu patrzeć na ręce.

Co za sytuacja! Nie mógł wyrazić dezaprobaty; nie mógł wygarnąć im wszystkim, co o nich myśli, przeciwnie, wypadało podziękować.

Ponure rozmyślania przerwała mu sekretarka, zawiadamiając, że przybył kurier z przesyłką do rąk własnych. Olgierd podpisał podsunięty mu papierek i odczekawszy, aż doręczyciel zamknie za sobą drzwi, rozerwał żółtą kopertę. Na biurko wysypało się kilkanaście zdjęć. Pierwsza ręka sama, ręka ściskająca inną dłoń, zdziwienie na twarzy witanego... Pierwsza ręka obejmująca w pół dziewczynę, co jeszcze wzmacnia przekaz wytatuowany na przedramieniu. Pierwsza ręka działa, co być może wkrótce przyniesie spodziewane efekty.

Trzy następne ręce też już obnoszą komunikat Olgierda, jego błyskotliwą myśl, która ma pokazać innym, kim są naprawdę.

Nie nim i nie sobą. Nie czymś, nie kimś. Po prostu nikim.

Inna ręka pozostaje na składzie, czekając na instrukcje. I jeszcze ciało. To z wczorajszego wieczora. Nie spodziewał się, że ktoś odważy się sprzedać całego siebie. Co prawda aukcja była dla jakiegoś B., ale ów B, nie przejawiał zainteresowania, oferując tylko złotówkę. Sześćdziesiąt parę kilo wagi, oszacował Olgierd, patrząc na fotografię. Można by obtatuować pannę w kilku miejscach równocześnie. A więc żadnego odchudzania.

Znaki, wszędzie muszą pozostać jego znaki.

Napisał e-mail. Grzeczny, jak to miał w zwyczaju. Zawiadomił, że rano dokonał przelewu na podane konto. Teraz czeka na potwierdzenie wpływu gotówki i gotowość zastosowania się do jego poleceń.

Kiedy wrócił do domu, na zewnątrz, jeszcze niewidzialny, czaił się świt. Przed wejściem na klatkę schodową Mariusz zerknął w okna mieszkania. Tak jak się spodziewał, były ciemne. Iga zapewne spała. Zmęczony wszedł po schodach. Chociaż decyzję podjął już dawno, postawa Agaty uniemożliwiła mu zrobienie ostatecznego kroku. Ciągle nie był pewien i wolał nie palić za sobą mostów. To, że Iga nie jest kobietą jego życia, wiedział już na pewno. Nie powinien dalej jej krzywdzić, musieli się więc rozstać. Potrzebował tylko czasu, żeby wymościć sobie nowe gniazdko. Przez ten czas zamierzał zrazić do siebie Igę, i to jak najokrutniej. Ale na razie ciągle jeszcze musiał być miły.

Otworzył drzwi i wślizgnął się do środka. Po omacku dotarł do łóżka, po drodze zdejmując ubranie i rzucając je na podłogę. Położył się ostrożnie, tak aby godzina jego powrotu pozostała tajemnicą. Zamknął oczy. Zanim przyszedł sen, dotarło do niego, że coś jest nie tak. Nie słyszał obok siebie równego oddechu kobiety, której - od wczoraj - stał się formalnym właścicielem, i to za bezcen.

Zdziwiony uniósł się na łokciach i próbował w ciemności wyłowić jej postać. Przy zaciągniętych zasłonach było to prawie niemożliwe, ale wsłuchując się w ciszę, Mariusz znalazł miejsce, z którego dochodził płytki i nienaturalnie cichy oddech.

- Kochasz mnie jeszcze? - usłyszał przytłumione pytanie.

Mógł skłamać, ale zmęczenie go obezwładniało. Nie chciało mu się.

- Nie - odpowiedział po prostu.

- To co z nami będzie?

- Nic.

- To dlaczego wziąłeś udział w licytacji? Z ciekawości? Dla zabawy?

Przez chwilę milczał. Powieki zaczęły mu ciążyć i miał teraz ochotę zasnąć i odespać wszystkie ostatnio zaważone noce.

- Czy to ważne dlaczego? - Chciał wzruszyć ramionami, ale nie miał siły. - Ważne, że licytowałem i że wygrałem. W końcu złotówka też pieniądź.

- Roześmiał się sucho. - Ziarnko do ziarnka...
- Zachichotał.

Usłyszał, jak wzbiera w niej tłumiony szloch.

- Nie rób scen, to nie jest dobra pora na przedstawienie - ziewnął i zasnął.

Zamierzała przeprosić tego dziwnego Biznesmena i powiedzieć, że jego udział w aukcji oraz poświęcony jej czas były kompletną pomyłką. Jeszcze wczoraj napisałaby, że jest szczęśliwą przyszłą żoną, a aukcja była wyrefinowaną formą wyznania uczuć. Zresztą facet zrobił sobie pewnie głupi żart i nawet już o tym nie pamięta - pocieszała się.

W skrzynce e-mailowej znalazła nową wiadomość.

Wszystko, co się działo ostatnio wokół niej, było jakimś filmem, którego sens nie do końca rozumiała. Jeszcze miesiąc temu, może dwa, miała poukładane życie, zaplanowane niemal do samej śmierci - co prawda w bliżej nieokreślonym wieku, ale tak mniej więcej do osiemdziesiątki. Dzieci, wnuki, Mariusz... Dom, praca... Zwyczajne życie, jakie wiedli jej rodzice, kuzyni czy starsi przyjaciele. Teraz wszystko się posypało jak domek z kart. Może tak się dzieje, kiedy kolejne ścianki dostawia się już mniej uważnie i bez staranności? A fundament? Czy domek z kart ma fundament? Czy podwaliną może być wspólnie spędzone dzieciństwo, wspomnienia ze szkolnej ławki, znajomi, przeszłość?

Iga siedziała teraz pośród ruin własnych wyobrażeń o przyszłości i nie umiała znaleźć odpowiedzi dotyczących jutra. Na razie postanowiła nie odpisywać na odebrany e-mail. Może to znak? Może jedyny sposób, aby oszczędzić sobie

upokorzeń ze strony Mariusza? Był taki pewny siebie i taki obcy, kiedy mówił o wygranej licytacji. I rano, kiedy przed wyjściem do pracy powiedział jej wyraźnie, że póki jest od niego zależna, ma siedzieć cicho i robić to, co do niej należy. Nawet nie zapytała o kobietę. O tę, której zapach perfum wniósł wczoraj wieczorem do mieszkania.

Tamta była nieważna.

Tamta była tylko dodatkiem, jeszcze jednym argumentem, który bladł w obliczu jego postępowania. Czy to możliwe, że go nigdy nie znała?

Rodziców nie może w to wciągać. Zaraz zrobi się afera na całe miasteczko. I tak nie dadzą jej dość pieniędzy, żeby sama mogła się utrzymać. Przyjadą po nią i każą wrócić do domu. Będzie skazana na ich współczujące spojrzenia. Ucieszą się wszystkie koleżanki ze szkoły, które same utknęły za ladami sklepów czy przy taśmie produkcyjnej lokalnych zakładów. Przecież drugiemu człowiekowi nie ma prawa się udać, nawet jeśli stara się, jak może. Jest jawną niesprawiedliwością, jeśli komuś się powodzi. Tak myślą ci wszyscy, którzy nawet nie kiwnęli palcem, żeby spróbować. Może zresztą mają rację, że pewnych barier nie da się przeskoczyć. Ale Iga tak długo walczyła... Jeśli mimo wszystko się nie uda, będzie miała świadomość, że zrobiła wszystko, co w jej mocy. Wtedy podda się, wróci. Lepsze to niż zawrócenie z obranej drogi ze strachu przed porażką.

Ukryła twarz w dłoniach. Ogarnął ją wstyd na

myśl o rozczarowaniu rodziny. Tak lubili Mariusza. Na pewno będą się doszukiwać winy w niej. Nie tylko nie pomogą, ale będą mieć pretensje.

Co za wstyd - powiedzą i najgorsze, że ten wstyd będzie ważniejszy niż wszystko inne.

A nie mówiłam? - powie babcia, od początku przeciwna życiu we dwoje przed ślubem.

Powie im dopiero wtedy, kiedy jakoś się urządzi.

A gdyby pożyczyła trochę pieniędzy od koleżanek? Gdyby zrobiły zrzutkę ze studenckich kieszeni? Nie, to głupi pomysł. Nie dość, że pewnie nie wystarczy jej na długo, to jeszcze nie będzie miała z czego oddać.

A co ze spaniem? Do akademika jej nie przyjmą; zresztą w takich warunkach nie da rady szybko dokończyć pracy. Musi mieć jakiś spokojny kąć!

Nie przywykła do podejmowania decyzji. Do tej pory robili to za nią inni. Najpierw rodzice, potem Mariusz.

Teraz musiała wziąć się w garść. Pozostanie na gruzowisku stanowiło większe niebezpieczeństwo niż spanie na ulicy.

Musiała uciekać.

Mariusz był niewyspany, ale bardzo z siebie zadowolony. Miał teraz pewność, że może sobie pozwolić na wiele, a Iga co najwyżej skuli się w sobie i wszystko zniesie. Nie miała dokąd pójść; marne stypendium i głodowe sumki od rodziców nie mogły wystarczyć na życie. Dlatego rano zaproponował jej pracę. Miała gotować i sprzątać za utrzymanie. Wiedział, że mu się w życiu

poszcześci, ale nie sądził, że aż do tego stopnia. Ze za jedną marną złotówkę, sto groszy, znajdzie tanią siłę roboczą.

Tańsza niż ruskie - zaśmiał się szyderczo.

Koledzy z biura podnieśli głowy znad swoich komputerów i spojrzeli na niego z zainteresowaniem.

- A tobie co tak wesoło? - zapytał siedzący naprzeciwko. - Podzielisz się z nami radosną nowiną?

- Może się podzielię - powiedział tajemniczo, wystukując na klawiaturze adres wygranej aukcji. - Zrobiłem transakcję życia. Murzyna bym tak tanio nie kupił.

Nie wczytując się w szczegóły, skopiował link do interesującej go pozycji i wrzucił do skrzynki pocztowej. Za chwilę wszyscy koledzy z biura mieli to na swoich monitorach.

- To moja dotychczasowa narzeczona, obecnie pomoc domowa - oznajmił z dumą, patrząc na twarze kolegów i szukając w nich podziwu.

- Ej, a ty nie jesteś czasem Bono? - Niektórzy znali przecież jego internetowy nick.

- Tak, to właśnie ja - odparł. - Myślicie, że powinienem poprzestać na sprzątanii czy może ją trochę utuczyć? A może zalecić drakońską dietę, żeby zaoszczędzić najedzeniu?

- Czym ci tak zalazła za skórę? - spytał jeden z informatyków.

- Właśnie mi wylazła. Została wyparta przez uczucia wyższe.

- A ty zostałeś przelicytowany.

Wszyscy się zaśmiali, Mariusz też. Dopiero po chwili dotarł do niego sens słów kolegi.

- Że co? - spytał, wchodząc znowu na stronę. Zrobiło mu się gorąco. Był tak pewien swego, że nawet nie przyszło mu do głowy, że ktoś jeszcze zechce wziąć udział w tej aukcji. I to oferując kasę w wysokości dziesięciu tysięcy złotych. W jednej chwili tryumf zmienił się w klęskę. Nie, nie dlatego, że poczuł się zazdrosny. Dlatego że mógł powstrzymać się od tych wszystkich porannych złościwości i mieć udział w zysku byłej narzeczonej. Teraz było już za późno na przeprosiny. Straciłby twarz.

- Zmieniłeś się, Tomek. - Młoda dziewczyna popatrzyła na niego z troską w brązowych oczach. - Zaczynam się o ciebie martwić.

- Niepotrzebnie - zachnął się.

Siedzieli na ławce w parku położonym nieopodal uczelni.

- Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć przez ten tatuaż - zaczęła niepewnie.

Nie spodziewała się, że usłyszy odpowiedź. Przeważnie ignorował wszystkie, nawet najbardziej delikatne aluzje, związane ze swoją „ozdobą”.

- A co tu jest do rozumienia? - zdenerwował się.

Wstał z ławki, zamierzając odejść. Chciała go przytrzymać; w ostatniej chwili złapała za rękę. Za TĘ rękę.

- Zostaw! - Wyrwał się z jej uścisku. - Zostawcie mnie wszyscy w spokoju!

- Tomek! - krzyknęła za nim przestraszona.

Odchodził szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie.

- Tomek!!!

Nie zatrzymał się. Wstała z ławki i zaczęła go gonić.

- To jakaś sekta? Powiedz! - nie dawała za wygraną.

- Nie. - Zatrzymał się nagle i powoli odwrócił, aby spojrzeć jej w oczy. - To nie sekta. To moje widzimisię. Kaprys - podkreślił z naciskiem i odszedł.

Dziewczyna nie ruszyła się z miejsca. Patrzyła, jak Tomek kieruje się w stronę uczelni. Na schodach wielkiego, masywnego budynku zlał się z tłumem innych studentów i straciła go z oczu.

Tomek w ostatniej chwili zmienił zdanie. Zamiast minąć drzwi wejściowe, wrócił na ulicę. Słońce parzyło mu ciało okryte jedynie koszulką na ramiączkach i krótkimi szortami. Plecak z zeszytami, niedbale przerzucony przez ramię, był pretekstem, aby zgiąć rękę i ukryć choć na chwilę znienawidzony napis.

Szedł przed siebie, byle jak najdalej od natarczywych pytań zdziwionych kolegów.

Te pytania, te wścibskie spojrzenia doprowadzały go do białej gorączki. Patrzyli na niego tak, jakby człowiek nie mógł sobie wytatuować czegokolwiek na własnej, prywatnej skórze, bo zewsząd czeka go ocena i wieczne potępienie. Wielki Brat czuwa. Obserwuje go przez dziesiątki par oczu obcych ludzi.

A przecież mógł mieć różne powody i nikomu nie musiał się z nich tłumaczyć. Był wolnym człowiekiem; przynajmniej tak do tej pory myślał.

Wolność jednak też ma swoją cenę. Dopiero teraz zaczynał rozumieć, że pojęcie wolności to pusty frazes; wymysł filozofów i rewolucjonistów, sprawdzający się wyłącznie na kartach książek. W rzeczywistości każdy człowiek jest zniewolony choćby znajomościami, nawet tymi najbardziej powierzchownymi. Jest zniewolony samym przymusem dokonywania ciągłych wyborów. Samym faktem współistnienia z innymi.

No, chyba żeby zamieszkał w jakiejś pustelni. Nie dopuścił do siebie nikogo. Zbudował mur nie do sforsowania.

To było jednak kompletnie niemożliwe i teraz czuł się osaczony. Wolny człowiek nie musi się nikomu tłumaczyć. Może robić to, co mu się podoba, i nie lękać się potępienia z każdej strony. Jest wolny do chwili, kiedy zetknie się z poczuciem wolności drugiego człowieka. Kiedy nie da się podejść drugiemu zbyt blisko siebie.

Dlaczego on pozwolił?

Przecież ten napis, ten cholerny głupi napis był gównem, czymś bez znaczenia, a stał się istotniejszy niż całe dotychczasowe życie Tomasa. Tak jakby parę liter ułożonych w dwa słowa zmieniło to, kim był do tej pory. Jakby dwa wyrazy przekreśliły wszystkie uczynki czy wypowiedziane słowa. Czy słowo pisane ma większą wagę od mówionego tylko dlatego, że jest bardziej trwałe? A przecież nie oddaje emocji przekazywanych spojrzeniem, mimiką czy gestem. Nie ma w sobie żaru miłości czy nienawiści.

Więc dlaczego? Dlaczego jest ważniejsze i niweluje wszystko inne?

Jego ręka była jak transparent, który głosił bolesną prawdę. Inni woleli tej prawdy nie znać. Zapomnieć, skryć na dnie podświadomości, bo inaczej cały trud życia, wchodzenie i schodzenie po schodach uczelni, to dążenie do sukcesu, mogłyby okazać się daremne. Skoro człowiek jest nikim, to po co próbować to zmienić? Po co walczyć, wstawać rano, zaliczać egzaminy, marzyć?

Coraz mniej osób podawało mu dłonie na przywitanie. Jakby ta zdawkowa oznaka szacunku już mu się nie należała. Jakby był trędowatym, a nie normalnym chłopakiem, który chciał po prostu zarobić na studia i spełnić swój sen o zostaniu KIMŚ.

Pomysł na płatny tatuaż podsunęła mu znaleziona przypadkiem w Internecie notatka o jakimś Konstantym z dziewiętnastego wieku. Tamten gość miał prawie czterysta tatuaży i pokazując swoje ciało, zarabiał masę pieniędzy. Wszystko działo się w cholernej Europie. Więc co, ludzie się cofnęli? Kiedyś tego nie potępiali, a teraz nagle im się nie podoba? Z jednej strony pociąga ich to, co mroczne, brzydkie, nieznanne, a z drugiej - po zaspokojeniu niezdrowej ciekawości z satysfakcją wylewają z siebie pogardę?

Tomek już nie szedł, prawie biegł przed siebie, potracając przechodniów, aż w końcu droga niespodziewanie się urwała i spostrzegł, że dotarł do końca ślepej uliczki.

Może to znak? - przemknęło mu przez głowę. Może trzeba znaleźć coś innego; ludzi, inne środowisko, gdzie nikt nie będzie się dziwił, oceniał, potępiał?

Nie - podjął decyzję.

Nie będzie uciekał, szukał, kluczył. Tu jest jego miejsce, nawet jeśli tym miejscem jest właśnie ślepy zaułek. Nawet stąd jest wyjście. Trzeba tylko umieć się wycofać. Przyznać sobie prawo do błędu i możliwość powrotu.

Przerzucił plecak na drugie ramię i prostując rękę, postanowił wrócić na uczelnię.

Gdyby mieli więcej wiary, nie szeptaliby po kątach na jego widok, nie wymienialiby znaczących uśmiechów. Uznaliby, że miał powód, że MUSIAŁ mieć powód do takiego tatuażu. Albo że to forma prowokacji. Albo że specjalista z salonu tatuażu oszczędzał barwnik i skrócił napis. Mogło przecież być: „nie jesteś nikim złym” albo „nie jesteś nikim nadzwyczajnym”. Tomek wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu. Tak czy owak napis nie mógł mieć większego znaczenia, skoro jego właściciel, student zmierzający właśnie na ostatni egzamin letniej sesji, wmawiał sobie, że dwa słowa wytatuowane na jego skórze są zwykłym kłamstwem.

Olgierd od kilku dni był strasznie zajęty. Od wczoraj próbował zaaklimatyzować się w swoim nowym gabinecie, w którym dotychczas urzędował teść. Początkowa furia zamieniła się w wymuszone zadowolenie. Złość ustąpiła pod

wpływem zazdrosnych spojrzeń kolegów. Niby wiedzieli, że ten moment kiedyś nadejdzie, ale poczuli się skrzywdzeni przez dotychczasowego szefa, zaskoczeni, że to już, że od tej chwili będą musieli prosić o decyzje i podpis swojego rówieśnika.

Olgierd zdobył się na odwagę i któregoś dnia poprosił teścia o zachowanie tajemnicy w kwestii faktycznego właściciela firmy. Niech sobie żyją w niepewności, spekulują, kto ma prawo podejmowania ostatecznych decyzji. To pozwoli Olgierdowi przesiać kadry i oddzielić ziarno od plew.

Tymczasem delectował się miękkością skórzanego oliwkowego fotela. Wystrój gabinetu zmieniono dokładnie według wskazówek nowego gospodarza, tak aby od pierwszego dnia czuł, że rzeczywiście nie wpadł tu na zastępstwo, ale jest u siebie. Prawie u siebie. Bo przecież, mimo usilnych starań, nie potrafił zapomnieć, że właścicielem tego wszystkiego jest ktoś inny; co prawda krew z jego krwi, ale tylko w połowie. Kiedyś, kiedy tu przyjdzie, będzie mógł zrobić wszystko. Wyrzucić ojca, pochwalić go, rzucić się na niego z pięściami albo rzucić mu się na szyję.

Olgierd wolał tę ostatnią ewentualność, toteż już od dziś musiał zacząć intensywnie pracować, aby więź między nim a dzieckiem była niemożliwa do rozerwania.

Ciemnobrązowe ciężkie gabinetowe meble miały mu dodać autorytetu. Oliwkowy dywan idealnie dobrano do koloru skóry na fotelu przy biurku oraz obicia kanap dla gości. No i myśl o

dwunastu latach wolności, absolutnej wolności i setkach usłużnych pracowników.

Kurier co kilka dni donosił żółte koperty z napisem „do rąk własnych”, z których wysypywały się fotografie niewolników. Nawet ta dziewczyna, która na początku milczała przez kilka dni, nie racząc przysłać mu potwierdzenia, że dziesięć tysięcy złotych wpłynęło na jej konto, w końcu się odezwała, zawiadamiając, że czeka na dyspozycje.

Każdego można kupić.

Dziewczynę zamierzał zostawić sobie na specjalną okazję. Będzie musiał się zastanowić, jak ją wykorzystać, bo standardowy tatuaż na rękę byłby zwykłym marnotrawstwem.

Chwilami czuł się jak rzymski cesarz. On też znakował swoich niewolników piętnem z tą różnicą, że rzymscy legioniści nosili na przedramieniu imię swojego władcy, a Olgierd poprzestał na przesłaniu.

W pewnym sensie był jak akuszerka z osiemnastowiecznego Paryża, która tatuowała swoim znakiem dzieci, którym pomogła przyjść na świat.

Rozśmieszyła go ta myśl. Rozluźnił się na chwilę. Czasu miał teraz tak mało, że musiał zrezygnować z wizyt w agencjach towarzyskich, nad czym specjalnie nie ubolewał; mógł przecież korzystać z „usług” żony, która już chyba dawno zrozumiała, że słowo „ogień” w jej przypadku jest wprost śmieszne, i skupiła się na lodach. Zresztą, z nieba lał się żar, rozpoczęły się wakacje, sezon zimnych rozkoszy, więc cóż to szkodzi

sprawić nudnej babie troszkę przyjemności; a w dodatku zaoszczędzi się parę stów.

Zaczął swoje rządy w firmie od kilku przesunięć personalnych. Zdegradował najbardziej zaufanych pracowników swojego byłego szefa, niestety nadal aktualnego teścia. Zwolnić ich nie mógł; w końcu stary jeszcze dychał i w każdej chwili mógł wrócić do firmy. Olgierd dał im więc na osłodę niewielkie podwyżki i przesunął ich na inne stanowiska. Podpatrzył ten pomysł u polityków.

Jego stary gabinet za ścianą na razie pozostawał pusty i należało szybko znaleźć jakiegoś zaufanego woła roboczego, który zrobi dla szefa wszystko - z wdzięczności za nowe cztery ściany i sekretarke.

Takie mniej więcej myśli zaprzętały głowę nowego prezesa firmy „Alice”, który dziękował losowi za pomysł z internetowymi aukcjami. To dzięki nim wymyślił nick Biznesmen, który - jak się okazało - miał moc sprawczą. Określenia „zarządca” i „najemnik” starał się ignorować, wierząc, że jeszcze wydarzy się coś, co tę przykrą sytuację odmieni.

Iga kończyła pisanie pracy magisterskiej. Spieszyła się. Musiała szybko się z tym uporać, zanieść swoje dzieło do promotora i recenzentów, a potem zdać egzamin i znaleźć jakąś robotę. Postanowiła poświęcić na to wakacje. Na razie zaś jedynym wyjściem było przyjęcie aukcyjnej oferty. Na większą pomoc ze strony rodziców nie mogła liczyć; udawała zresztą, że w jej życiu wszystko toczy się utartym torem.

O rozstaniu z Mariuszem nie wspomniała ani słowem; zmartwiliby się i zaczęli jej robić wyrzuty. Mariusz chyba też nie poinformował swojej rodziny o zerwaniu, bo matka Igi, która co tydzień kontaktowała się z córką, nie zadawała żadnych pytań na ten temat.

Wyprowadziła się od Mariusza nazajutrz po ich porannej rozmowie dotyczącej gotowania i sprzątanía. Tamtego dnia nie poszła na zajęcia. Potrzebowała zaledwie kilku godzin, aby się wynieść ze wspólnie zajmowanego mieszkania. Po otrzymaniu e-maila o przesłaniu pieniędzy postanowiła zaryzykować. Może ten cały Biznesmen robił sobie żarty, ale ona tak czy owak nie mogła pozostać w tym mieszkaniu ani chwili dłużej. Zapakowała swoje rzeczy do dwóch podróжных toreb, z satysfakcją pozostawiając Mariuszowi wszystkie wspólne zdjęcia i pamiątkowe drobiazgi. Poprzestała na pakowaniu ubrań i książek. Oczyszczając komputer ze swoich dokumentów, nie oparła się pokusie i wykasowała jego projekty. W końcu był ponoć świetnym informatykiem, więc odzyskanie straconych danych nie powinno stanowić dla niego najmniejszego problemu. A że przy okazji sąsiedzi usłyszą przez ściany parę przekleństw? Ze zmarnuje na to ładne kilkanaście godzin?

Ciach, ciach, klik, klik - dokumenty Igi zostały nagrane na płytę, a reszta bezpowrotnie wylądowała w koszu, po czym kosz również został oczyszczony. Był to jedyny kosz, jaki opróżniła, bo kubek pod zlewozmywakiem „niechący” się

przewrócił, rozsypując wokół połowę śmieci, i musiał poczekać, aż pan domu wróci i zrobi porządek.

Przez kilka nocy koczowała w akademiku, cały czas szukając jakiegoś lokum. Szczęśliwym trafem udało jej się znaleźć tani pokój przy rodzinie na obrzeżach miasta. W czasie wakacji odległość od centrum nie miała znaczenia. Idzie zależało wyłącznie na spokoju. Żadnych pytań ze strony rodziny czy koleżanek.

Jak na razie - mimo początkowych obaw - radziła sobie całkiem nieźle.

Teraz wszystko zależało od niej samej. Czas mierzyła liczbą stron swojej pracy. Na giełdzie komputerowej udało jej się kupić tani laptop. Był to wprawdzie rzęch, ale miał służyć głównie jako maszyna do pisania. W tej roli sprawdzał się znakomicie. Jednostajne uderzanie w klawisze działało na nią uspokajająco. I jakoś szło.

- Co, nie pogramy dziś w kosza? - zapytał Tomek kumpli.

- Pogramy - usłyszał.

Zaskoczyło go to jedno, krótkie słowo. Od kilku minut stali w holu, pośpiesznie dopalając papierosy w oczekiwaniu na wykładowcę, i ta odpowiedź oraz krążąca w organizmie nikotyna wyraźnie przyspieszyły mu puls. Od dnia ujawnienia tatuażu otaczała go aura podejrzliwości. Koledzy odsunęli się od niego.

- Maciek siedział wczoraj dość długo w sieci. Ma poprawkę. Szukał na aukcji jakiegoś bajeranckiego gadżetu do ściągania i przypadkiem

znalazł twoją rękę. Drogo ją sprzedałeś - powiedział jeden z nich z uznaniem.

- Tak myślisz? - spytał zaczepnie.

- Wrzuciłem do sieci swoją ofertę, będzie jak znalazł na wakacje. I przynajmniej wszyscy przestaną się dziwić twojemu tatuazowi. Co dwie ręce, to nie jedna. - Kumpel się zaśmiał, reszta mu zawtórowała.

- Mówisz poważnie?

- Pewnie, to łatwy szmal. Myślałem, że z tym twoim tatuazem chodzi o jakiś przekaz, no wiesz, że chcesz nam powiedzieć, że jesteś od nas lepszy, takie tam... A to tylko kasa, zwykła kapucha, dzięki której można sobie uprzyjemnić życie.

Nie był pewien, czy się z niego nie naśmiewają. Już niczego w życiu nie był pewien.

- Nie rób tego - powiedział ostrożnie.

- Powiedz mi - kolega zignorował przestrożę - ten Biznesmen to jakiś klawy gość?

- Nie znam go, wymieniałem z nim tylko parę e-maili.

- Dasz nam na niego namiar?

- Nie.

- Jezu! - Kolega poczuł się zlekceważony. - Sam zarobiłeś, a nam żałujesz?

- Wstydzę się tego, co zrobiłem. Ale nie mogę o tym mówić. Zobowiązuje mnie niepisana umowa.

- Skoro niepisana, to o kant dupy. Poza tym czasy się zmieniły i znaczki na skórze są teraz cool. Nie to co jeszcze niedawno, no wiesz, bandytka, więzienie itepe. - Rozmówca Tomka

zaśmiał się z przymusem. Wciąż miał przed oczami pięć tysięcy, które powoli zmieniało się w samolot, trzygwiazdkowy hotel i egzotycznego drinka pod palmami.

- To podobno niezgodne z nauką Kościoła - wtrącił się ktoś.

- Że co? - Wszyscy wytrzeszczyli oczy.

- No, ponoć pierwsi chrześcijanie robili sobie krzyżyki, ale potem jakiś papa zabronił robić dziar.

- A jest coś, czego Kościół by nie zabraniał?

- Pisałam o tym pracę - włączyła się do rozmowy jakaś dziewczyna. - Masz rację z tym papieżem. Adrian I. Potępił wpuszczanie farbek w skórę. Że niby człowiek jest stworzony na podobieństwo Boga, a dziaranie jest profanacją jego wizerunku. Zresztą nawet gdzieś w Biblii napisali coś o zakazie nacinania skóry.

- A kto mówi o nacinaniu? - Amator egzotycznych wakacji zaśmiał się lekceważąco. - Teraz, człowieku, są maszynki, igły i inne bajery. Postęp! - Zachichotał. - Zdradzisz nam przynajmniej, co zrobiłeś, że tak wysoko cię wycenił? - zwrócił się do Tomka. - W porównaniu z innymi zarobiłeś najlepiej. No, może poza tą ostatnią laską.

- Po prostu byłem pierwszy.

- Tylko tyle? - Kolega patrzył na Tomka z niedowierzaniem.

- Tak. Ej - dotarło nagle do Tomka. - Chcesz powiedzieć, że są jeszcze inni?

- Pewnie, na razie oprócz ciebie pięć osób. Więc ja będę szósty.

- Pożałujesz.
- Pożałuję? - nie zrozumiał kolega.
- Ja żałuję, że się sprzedałem.
- No coś ty! Teraz wszyscy się sprzedają. Na każdym kroku. To tylko kwestia odpowiedniej ceny. Może dasz nam jednak namiary na tego gościa? Głupio pisać do niego poprzez stronę aukcyjną.

Tomek popatrzył spode łba na upartego kumpla. Do auli zbliżał się wykładowca. Chłopak chwilę ze sobą walczył, ale nie zmienił zdania.

- Jak będzie chciał, to sam cię znajdzie. - Wzruszył ramionami.

Ostatnie słowa zginęły w gorączkowym gwarze młodzieży.

Król Mariusz wrócił do domu po dwóch dniach. Nikt na niego nie czekał. W brudnym garnku na kuchence nie było obiadu, za to na podłodze, przy zlewie, walały się śmieci. Królestwo było zrujnowane, a poddana wyniosła się na amen, zabierając swoje manatki.

Mariusz był wściekły. Nie wierzył, że dziewczyna zdobędzie się na odwagę i odejdzie. W głębi ducha liczył, że poprosi go o drugą szansę. Przecież była taka niesamodzielną, tak od niego uzależnioną... A tu nagle szast, präst i koniec.

Zrezygnowany opadł na krzesło i włączył komputer. Postanowił poszukać jakiejś pizzerii w pobliżu i zamówić obiad z dostawą do domu. Po znalezieniu numeru i złożeniu zamówienia

odruchowo kliknął w ikonę Moje dokumenty. Folder był kompletnie pusty.

- No proszę - wycedził przez zaciśnięte zęby.
- Mała zrobiła mnie na cacy.

Począł, aż dostawca przyniesie jedzenie, zjadł, a potem zalogował się w domu aukcyjnym i zdecydowanym kliknięciem uruchomił opcję „napisz wiadomość do kontrahenta”. Tylko to mogło poprawić mu humor.

„Witam Pana. Piszę, ponieważ chcę Pana ostrzec przed osobą, która wystawiła się na licytację. Owa pani jest oszustką, która wyłudza pieniądze od ludzi zamożnych, nie oferując nic w zamian. Znam ją od wielu lat i wiem, że nie można się po niej spodziewać niczego dobrego. W każdym razie nie jest w stanie Panu zaoferować nic na tyle wartościowego, aby Pańska inwestycja się zwróciła. Dlatego szczerze Panu radzę wycofać się z tej transakcji i zażądać zwrotu pieniędzy. Z poważaniem - Mariusz T.”.

Olgierd czytał wiadomość z rozbawieniem. To nie przypadek, że e-mail został napisany przez drugiego oferenta z aukcji. Facet postawił złotówkę i myślał, że w ten sposób zwojuje świat. Śmiechu warte. A może ją kocha? Nie, na pewno nie. Gdyby tak było, próbowałby ją odkupić, a nie oczernić.

Fakt, źle to świadczy o kobiecie, że wystawiła się na aukcję, ale musiała temu durnemu Bonno28 mocno dopieć, skoro postanowił napisać do nieznanego rywala z aukcji. A może jest

zazdrosny? Odpisać mu czy nie? Olgierd zaśmiał się na cały głos. A po co? To nie jest dla niego partner do rozmowy.

Odkąd zmienił gabinet, czas mijał mu bardzo szybko. W ferworze pracy nie myślał o urlopie, weekendach czy wycieczkach za miasto. Był w swoim żywiole. Mimo fizycznego zmęczenia, mimo niedospanych nocy.

Alicja pojechała z Marcinem nad morze i teraz rozkoszował się samotnością. Dobrze jest móc oddychać pełną piersią, nie walczyć, nie wkładać masek.

Niedobrze się stało, że wszyscy zdali te cholerne egzaminy. Gdyby nie to, nie umówiliby się wieczorem na obłewanie. Nie wypadło zlekceważyć zaproszenia kumpli.

A Tomkowi wcale nie chciało się tam iść. Czuł, że będą z tego kłopoty. Miał na myśli głównie reakcję matki, kiedy pijany wtoczy się do domu, albo jeszcze gorzej - następnego dnia, kiedy będzie krzątała się koło niego z niemym wyrzutem w oczach.

Poza tym nie miał nastroju do zabawy mimo pomyślnego zakończenia sesji. Nie mógł się jednak wymigać.

Umówili się o dziewiątej wieczorem w knajpce obok uczelni. Dziewczyna Tomka również miała być, jak zresztą wiele innych koleżanek z roku, które też zamierzały uczcić zdanie egzaminów.

Na początku było nawet zabawnie. Z pubu szybko przenieśli się na łono natury. Wieczór

był parny, alkohol kupiony w całodobowym sklepie smakował równie dobrze jak ten w lokalu, a kosztował znacznie taniej.

Może to był właśnie błąd. Wino nieodmierzone szklanką kończyło się jakby szybciej i działało bardziej intensywnie.

Nie wiadomo, kto pierwszy głupio zażartował i czego dotyczyła dyskusja. Może to było coś o ręce, może o pieniądzach, ale nagle z przyjemnej popijawy w zaprzyjaźnionym gronie zrobiła się pełna złośliwych przytyków sprzeczka. Tomek miał już tego dość i uciekł. Wypite wino uwolniło emocje, które tłumił od wielu dni. W ciągu kilku minut z łagodnego i pełnego skrępowłów chłopaka stał się wściekłym na cały świat facetem, który musiał jakoś wyładować swoją frustrację. Już nie myślał o matce ani o kolegach. Wszyscy stali mu się nagle obojętni. Miał ochotę bić, niszczyć, demolować.

Biegając parkową aleją, ignorował nawoływania koleżanek. Nie chciało mu się z nikim gadać. Pulsowanie w skroniach było coraz bardziej intensywne. Zatrzymał się na moment, ale to był błąd. Przystanąwszy, gwałtownie stracił równowagę; zatoczył się i wpadł w krzaki na poboczu. Przez jakiś czas leżał nieruchomo. Osłabł, w głowie mu wirowało, powieki ciążyły, zapadł w niebyt.

Po jakimś czasie się ocknął. Otworzył oczy, powoli wstał. Nadal trudno mu było utrzymać równowagę, ale złość nie rozplynęła się w niespokojnym śnie. Teraz coś gnało go naprzód. Po kilku minutach intensywnego marszu oczy

przyzwyczyły mu się do ciemności. Z daleka dochodziło wycie jakiegoś, pewnie bezpańskiego, kundla. Pod nogami coś zaszeleściło. Tomek z całej siły kopnął przeszkodę, ale nie przyniosło mu to spodziewanej ulgi. Miał ochotę krzyżeć, może nawet wyc jak tamten pies. Podniósł leżący na skraju alejki kij i zaczął nim uderzać w mijane drzewa. Walił na oślep, tak aby każde żyjące stworzenie poczuło ból.

Jego bolało najbardziej.

Nienawidził innych ludzi. Tego gnoja, który kazał mu zrobić napis, matki z tym jej smutnym spojrzeniem i ojca, który po prostu zwinął się któregoś pięknego dnia i nawet się na nich nie obejrzał.

W zasięgu wzroku coś zamajaczyło. To mógł być jego cel. Wymacał ręką kształt ławki i zaczął kopać. Mocno, na oślep. W furii walił kijem w siedzisko i oparcie. Wydawało mu się, że ławka zaskrzypiała. To dobrze; oprócz smaku zniszczenia powinna poczuć również ból. Odgłos się powtórzył i Tomek wyobraził sobie, że drewniane siedzisko wydało jęk. To tylko wzmogło jego złość. W zapamiętaniu walił na oślep. Wreszcie opadł z sił i czując w ustach smak krwi, odrzucił kij, zwałił się na ziemię i zasnął.

Lato miało się ku końcowi. Olgierd, obejmując obowiązki szefa „Alice”, zdawał sobie sprawę, że będzie to równoznaczne z koniecznością niemal zamieszkania w firmie. Jakoś mu to nie przeszkadzało. A jednak pod koniec wakacji poczuł się zmęczony i wyjąłowiony. Całą swą

energię skupiał teraz na podejmowaniu decyzji, które w przyszłości miały go zabezpieczyć przed odstawieniem na boczny tor. Teraz nareszcie nikt go nie oceniał. Teraz to on mógł wyciągnąć każdą teczkę osobową i dokonać w niej wpisu; oczywiście nie marnował cennego czasu na wpisywanie pochwał. W zamykanej na kluczyk szafce po prawej stronie biurka leżała okazała ster-ta zdjęć z całej Polski. Mógł być bardzo zapracowany, mógł nie mieć czasu na rozmowę z pracownikiem, ale nie mógł porzucić swojego tajemnego hobby; swego plastra łagodzącego ból istnienia. Teraz miał „na stajni” ponad dwadzieścia rąk, trzy nogi i jeden kark. Nie wspominając o studentce za dziesięć tysięcy złotych, która cały czas czekała na dyspozycje.

- Będzie ją bolało. - Uśmiech wypływał mu na twarz, kiedy przypominał sobie to całe ciało.
- Będzie ją bolało jeszcze bardziej, kiedy kasa przeleci jej przez palce i bez znieczulenia finansowego będzie musiała przyjść do salonu tatuażu.

W tym czasie otrzymał jeszcze dwa e-maile od niejakiego Mariusza T. Pierwszy sugerował, „żeby babsko utuczyć tak, aby pękło”, i zawierał fałszywe wyrazy szacunku, w drugim gość odkrył swoją prawdziwą twarz i nawymyślał „Biznesmenowi” od niewychowanych głupków i zboczeńców, kwestionując seksualne walory studentki i samego Biznesmena. Olgierd już dawno odkrył, że brak odpowiedzi potrafi człowieka zdenerwować o wiele bardziej niż kilka wystukanych, nawet obraźliwych słów. Dlatego ciągle milczał, nieźle się przy tym bawiąc.

Ignorowanie to genialny sposób, żeby kogoś złamać, zabić, upokorzyć. Czasami Olgierd stosował to w domu, uważając jednak, aby nigdy nie przekroczyć cienkiej granicy, która mogłaby spowodować przykre dla niego skutki i uświadomić Alicji, że małżonek otwarcie nią pomiata. Musiał być ostrożny; teść nadal żył, miał się dobrze i w każdej chwili mógł cofnąć wszelkie pełnomocnictwa. Aż nadeszła godzina, kiedy wszystko się zmieniło.

Tego dnia, około godziny szesnastej, kiedy Olgierd dopiero co wrócił ze spóźnionego lunchu i przygotowywał się do kolejnego spotkania w ścisłym kierownictwie „Alice”, nagle na biurku zadzwonił telefon.

Nie, nie ten z sekretariatu, ale z drugiej, prywatnej linii. W rachubę wchodziły tylko trzy osoby: teść, teściowa albo ich córka. O ile teść mógł być ciekaw posunięć w firmie, o tyle Olgierd nie spodziewał się usłyszeć w słuchawce damskiego głosu. A jednak.

- Olgierd? - rozpoznał głos żony.

- A spodziewałaś się kogoś innego? Nie zareagowała na zaczepny ton.

- Przed chwilą miałam telefon. Coś się stało. Coś strasznego. Czy mógłbyś tu zaraz przyjechać?

- A nie możesz mi tego po prostu powiedzieć przez telefon? - spytał zły. - Mam gonić przez pół miasta właśnie teraz, kiedy za chwilę zaczynam ważne spotkanie?

- Mama i tata zginęli w wypadku samochodowym.

„Mama i tata zginęli w wypadku samochodowym”.

Olgierd, nie odpowiedziawszy żonie, trzasnął słuchawką i wybiegł z gabinetu. Z wieszaka stojącego w sekretariacie złapał marynarkę i idąc szybkim krokiem w kierunku wind, wystukiwał numer telefonu nowego lokatora gabinetu sąsiadującego z głównym. Swojego zastępcy. Wsiadając z windy, nie myślał już o posiedzeniu zarządu. Do samochodu biegł jak na skrzydłach. Ludzie rozstępowali się na boki. Olgierd wsiadł do auta, przekręcił kluczyk w stacyjce i z impetem opuścił służbowy parking.

A więc stało się.

Bezgłośnie powtarzał ostatnie wypowiedziane przez Alicję słowa.

Zginęli, odeszli. Nareszcie.

Jeszcze trudno było mu uwierzyć w te słowa; wydawały się nierealne, nierzeczywiste, jak marzenie, które pielęgnował w sobie od długich lat. Czy to naprawdę możliwe, że wreszcie się spełniło?

Minęły dwa miesiące, odkąd Olgierd zasiadł w fotelu szefa, odkąd się zaaklimatyzował. Pozostało mu co najmniej dwanaście lat, aby delektować się władzą, zanim obejmie ją jego dorosły syn. No może więcej, bo młody musi najpierw skończyć studia. A więc szesnaście, może nawet siedemnaście. Po takim czasie Olgierd będzie miał swoje własne imperium albo dobrze zabezpieczone konta.

Trzeba zadzwonić do starych, żeby powiedzieć o wypadku - przyszło mu do głowy. Alicja

pewnie jest w takim szoku, że nie wpadła na to, żeby ich poinformować.

Wystukał numer telefonu do swoich rodziców.

Teraz... Teraz wszystko kompletnie się zmieni. Nareszcie będę mógł pochwalić się swoimi osiągnięciami.

Odczekał kilka sygnałów, ale po drugiej stronie panowała cisza.

- Cholerna szkoła! - zaklął pod nosem. - Jak nic jakieś gówniane korepetycje. W dupie! Zadzwoń później - rzucił telefon na fotel pasażera i skupił się na wyprzedzaniu kolejnych samochodów.

Tomek praktycznie porzucił życie towarzyskie. Zamierzał je wznowić po usunięciu choler nego tatuażu, choć zaczynał mieć wątpliwości, czy jeszcze powróci do ludzi. Przez całe wakacje ukrywał się w domu. Po feralnym oblewaniu zdanej sesji obudził się o świcie na parkowym trawniku nieopodal zniszczonej ławki. Drżał z zimna, głowa mu pękała, ale kilka godzin twardego snu na świeżym powietrzu skutecznie usunęło alkohol z jego krwi. I wtedy usłyszał jęk. Odwrócił się. Kilka metrów od ławki leżał jakiś człowiek. Miał zakrwawione ręce i twarz.

Tomek wpadł w panikę. Przez głowę przemknęły mu mgliste wspomnienia niszczenia ławki. Ławka przecież „jęczała”.

- Jezu! - Ukrył twarz w dłoniach i runął na kolana. - Zabiłem człowieka!

Jak echo z krtani leżącego wydobył się kolejny dźwięk. Tomasz na czworakach zbliżył się do

rannego. Instynkt samozachowawczy nakazywał mu ucieczkę, ale coś go pchało w kierunku poszkodowanego.

- Żyje - szepnął, pochylając się nad zakrwawioną twarzą. - Trzeba natychmiast wezwać pomoc. Drżącą ręką wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer pogotowia.

Widząc z bezpiecznej odległości światła nadjeżdżającej karetki, ostrożnie wycofał się za drzewa i niezauważony przez nikogo uciekł do domu.

Obraz tamtego dnia przewijał się przez jego głowę na jawie i we śnie. Nie mógł o tym zapomnieć.

Chyba nawet nie zauważył niemego wyrzutu w oczach matki, kiedy zobaczyła go ze śladami krwi, poranionego, brudnego i bladego jak ściana. Zamknął się wtedy w swoim pokoju, próbując opanować drżenie.

Kij. Ślady. Na pewno zostawił w parku coś, co naprowadzi policję na jego trop. Może to i dobrze. Znajdą go i poniesie zasłużoną karę. Matka tego nie przeżyje, ale on musi ponieść konsekwencje swojego czynu. Inaczej całe jego życie będzie naznaczone lękiem i poczuciem winy. Czy nie powinien sam się zgłosić na policję? Chyba tak, ale jeszcze nie dziś.

Rozejrzał się po swoim skromnym pokoiku. Dzisiaj tu jeszcze zostanie. Dzień, dwa... Ale potem...

Teraz czuł się naznaczony podwójnie. Przez cholerny tatuaż i przez swój czyn.

Tylko w domu było bezpiecznie.

Mijały kolejne dni, potem tygodnie. Tomek wciąż odkładał decyzję o zgłoszeniu się na policję. Uciekał od ludzi; praktycznie w ogóle nie wychodził z czterech ścian, ale nie mógł uciec od siebie. Gdyby zdołał zasnąć, zapomnieć, nie myśleć, nie widzieć. Wąski tapczanik i meblościanka pamiętające czasy PRL-u; na regale książki, które teraz stanowiły doskonały kamuflaż, bo kiedy matka zaglądała do pokoju zaniepokojona ciszą, zawsze wycofywała się z uśmiechem, widząc syna zaczytanego w jakimś mądrym tomie. Ogarniała ją wtedy fala czułości równie wielka jak uczucie wstydu, którego doznawał jej syn, wiedząc, że oszukuje rodzicielkę.

- Wyszedłbyś gdzieś, spotkał się z kolegami - zwykła mawiać, kiedy spotykali się przy kuchennym stole, a on, nie mijając się z prawdą, spokojnie odpowiadał:

- Nie potrzebuję ludzi. Po tym gwarze na studiach muszę od nich trochę odpocząć.

Rozumiała to i starała się omijać pokoik syna z daleka, wierząc, że on sam wie, co jest dla niego dobre i będzie umiał pokierować swoim życiem tak, aby wyjść na ludzi.

Jestem nikim - Tomasz wciąż powtarzał przesłanie tatuażu i coraz głębiej wierzył w tę straszliwą prawdę, którą dotychczas starał się przed sobą ukryć, zamazać, zapomnieć.

Nocami krążył po sieci, przybierając najróżniejsze nicki i szukając ludzi podobnych do siebie.

Nikogo takiego nie znajdował.

Wszyscy byli kimś. Piękne kobiety, wypor-
towani, mądrzy mężczyźni, zakochani, czasem
samotni wylewający swe uczucia na klawiaturę
komputerów.

Tomasz utwierdzał się w przekonaniu, że nie-
zależnie od tego, co osiągnie w przyszłości, cze-
go w życiu dokona, niezależnie od marki samo-
chodu, którym kiedyś będzie jeździł, i wysokości
konta, zawsze będzie nikim. Jeżeli nie wlepią
mu dożywocia.

Nie rozumiał, że to on oszedł, wycofał się,
nie dał innym szansy. Żeby ich nie skrzywdzić
tak samo, jak skrzywdził sam siebie.

- Tak mi przykro, kochanie - powiedziała
miękkim głosem Alicja, rzucając się Olgierdowi
na szyję. Olgierd przed wejściem do domu po-
starał się przybrać odpowiednio zboląłą minę.
Próbował przywołać z przeszłości jakieś smutne
zdarzenie, coś, co go zaboląło. Wreszcie, na
wspomnienie kolegi ze szkoły, który nieoczeki-
wanie dla wszystkich stał się znanym w świecie
pianistą, wreszcie poczuł prawdziwy smutek.

Alicja płakała.

- Gdzie to się stało? - zapytał Olgierd.

- Niedaleko Warszawy. Jakiś samochód chy-
ba wyprzedzał na trzeciego, a z przeciwka nad-
jeżdżał tir i...

- Zderzenie czołowe? - Zmarszczył brwi. -
Już dobrze, dobrze... - Objął płaczącą małżonkę
i zaprowadził ją na fotel. - Niezbadane są wyroki
boskie. Widocznie tak było dla nich lepiej.

- Jak możesz tak mówić! - Podniosła na niego zdziwione oczy. - Czy tak niewiele dla ciebie znaczyli?

Olgierd zbeształ się w duchu za zbyt małe zaangażowanie. Chociaż Alicja też nie wyglądała na zszokowaną. Dziwne.

- A co oni tam robili? Nic przecież nie wspominali o żadnym wyjeździe. Przynajmniej mnie.

- Chcieli nam zrobić niespodziankę - szepnęła Alicja zdławionym głosem.

Olgierd przez moment milczał.

- A Marcin gdzie?

- Zaprowadziłam go do sąsiadki. Nie chciałam, żeby się wystraszył. Jeszcze nie teraz. Dopiero jak my będziemy mogli mu pomóc spokojnie przez to przejść.

Zadzwoiła komórka i Olgierd sięgnął do kieszeni.

- Możesz być spokojny - usłyszał głos swojego zastępcy. - Zygmunt wszystkim się już zajął. Spotkanie przebiega normalnie. Właśnie mamy chwilę przerwy.

- Dzięki, stary - odpowiedział machinalnie i odłożył telefon na szklany stolik.

Dopiero teraz zaczął docierać do niego sens usłyszanych przed chwilą słów. Zygmunt? Jaki Zygmunt? - kołatało mu po głowie.

W tej chwili rozległ się dzwonek do drzwi. Jeszcze nie do końca rozumiejąc, co się wydarzyło, Olgierd ociężałe, najwolniej jak mógł, poszedł otworzyć. Stał przy drzwiach przez kilkanaście sekund, nabierając powietrza w płuca,

i powoli zaczęła do niego docierać straszna prawda, z którą nie chciał się zmierzyć. Modlił się, by na progu stał ktoś obcy, na przykład listonosz albo jakiś akwizytor.

- Ktokolwiek, tylko nie ona - szepnął do siebie, próbując zignorować okropny domysł.

- Tylko nie ona - powtórzył, naciskając klamkę.

Niestety. Na progu stała teściowa.

Ogarnął go jakiś amok. Przebiegł przez dom jak szalenciec, trzasnął drzwiami i uciekł. Nie mógł teraz znieść niczyjej obecności. Biegł, nie zważając na padający deszcz. Może zresztą nie było żadnego deszczu, tylko coś chlusnęło mu w twarz, zamazując widok. Wiedział, że nie może wrócić do tych ludzi pozornie mu bliskich, którzy będą na niego patrzeć ze współczuciem, obejmować go i zapewniać o swym wsparciu.

Początkowo poruszał się na oślep, w ciemności, lecz po chwili zewsząd zaczęły się na niego wylewać reklamy. Neony raziły go w oczy, wyskakiwały z nienacką, uniemożliwiając rozpoznanie miejsca, w którym się znalazł. Ale to było nieważne.

Wszedł do jakiegoś baru, który wyglądał jak nora, ale mógł być dobrą kryjówką przed terazniejszością. Już po kilku minutach przekonał się, że obcy nie są w tym lokalu mile widziani. Stali bywalcy patrzyli na niego wilkiem, a barman, który przecież powinien przywitać gościa z otwartymi ramionami, kompletnie go zignorował. Nikogo nie obchodziło jego „nie mam już rodziców”.

Olgierd wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi, i ruszył dalej, próbując uspokoić nierówny oddech.

Potrzebował czasu.

Kiedy był małym chłopcem, lubił dotykać włosów matki. Nie pamiętał, skąd to się wzięło. Ona mówiła, że tak było zawsze, od czasów, kiedy przyssany do jej piersi wyciągał kilkutygodniową rączkę, by łapać długi kosmyk wymykający się z jej ściągniętych gumką włosów. I potem, kiedy już dorastał, ciągle nie mógł się pozbyć tego idiotycznego nawyku. Nawet jako już prawie dorosły mężczyzna, składając jej życzenia z jakiejś okazji, zawsze starał się tak ją objąć, aby niespostrzeżenie je musnąć, aby przez sekundę poczuć słodycz dzieciństwa, wspomnienie czułości i poczucia bezpieczeństwa. A teraz te włosy, umazane pewnie krwią, leżą gdzieś w kostnicy i niedługo zostaną zasypane ziemią.

Szorstki policzek ojca, tak miły trzydzieści lat temu, tak rzadko przytulany, i uścisk ojcowskiej dłoni, który wzbudzał w nim ciarki niezależnie od wieku. Przecież miał go wkrótce poczuć, miał się pochwalić, że osiągnął w życiu tak wiele...

Olgierd pociągnął z butelki kilka łyków whisky. Nie pamiętał już, czy odruchowo zabrał ją ze szklanego stolika w salonie, czy może z tego nieprzyjemnego miejsca, w którym był przed chwilą?

Chwila, nieuchwytny moment, w którym dokonują się zdarzenia zmieniające całe życie. Chwilę trwało uderzenie w samochód; wystarczył ułamek sekundy, aby serce ludzkie przestało bić, żeby stały mu się obojętne czyjeś plany,

słowa i gesty. Chwilę trwa wyślizgnięcie się dziecka na świat z łona matki i tyle samo czasu potrzeba, aby ze stanu odczuwania przenieść się w stan obojętności. Pomiedzy tymi dwiema chwilami są godziny cierpienia przy skurczach porodowych czy gorączkowe kręcenie kierownicą w próbie ucieczki przed tym, co nieodwracalne. Jest ból, cierpienie i upokorzenie. Jest tradycja, rytm dnia, kolory i czas odmierzany wskazówkami zegara albo kolejnymi wydarzeniami. Jest bezmyślne wpatrywanie się w sufit, oglądanie meczu w telewizji albo klikanie myszką komputera. Jest ogień, jest lód albo niespełnienie. Posiłki, potrzeby fizjologiczne i rzadki stan ulotnego szczęścia.

Olgierd zacisnął powieki. Błękitny neon raził go w oczy; czuł na twarzy jaskrawe światło i nawet pod powiekami migotał mu natarczywy blask. Odwrócił głowę i przyspieszając kroku, zagłębił się w jakąś nieznaną uliczkę. Szyjka butelki trzymane w dłoni była niemal gorąca, a on ścisnął ją ze wszystkich sił, jak ostatnią deskę ratunku. Szybki marsz bez celu zmęczył go; usiadł na pierwszej lepszej ławce i jednym haustem dopił zawartość flaszki.

Zrobiło mu się niedobrze. Ze złością odrzucił butelkę. Usłyszał brzdęk tłuczonego szkła i podniósł się z ławki. W głowie mu szumiało. Nie przywykł do tak dużej ilości alkoholu. Olgierd zaczął szybko oddychać, by powstrzymać odruch wymiotny, ale na próżno; po brodzie spłynął mu częściowo przetrawiony alkohol. Przyniosło to Olgierdowi ulgę. Wyjął z kieszeni

chusteczkę i wytarł nią twarz. W ciągu tych kilku sekund stracił poczucie rzeczywistości. Bezskutecznie próbował wyłowić z ciemności kontury budynków. Wszystkie tworzyły jakieś nie-realne kształty, pulsujące ostrymi neonami.

Szedł przed siebie, byle jak najdalej stąd, od tego miejsca, od tego świata, który próbował ujarzmić i posiadać. Wszystko to w jednej chwili utraciło dlań wartość. Nigdy już nie uściśnie dłoni ojca i nie zobaczy radości w oczach matki.

Nie zdążył zasłużyć na ich pochwałę.

Po kilku kilometrach szybkiego marszu postanowił zrobić sobie przerwę. Sierpniowa noc była chłodna, a on wybiegł bez cieplejszego okrycia. Okolica zaczęła się zmieniać. Ze zdziwieniem zauważył, że nie otaczają go już luksusowe wille i apartamentowce, ale liche blokowisko z odrapanymi ścianami i wałającymi się dookoła śmieciami. Śmierdziało. Bezpańskie koty walczyły o jakieś odpadki. Nieoczekiwanie wyrósł przed nim obskurny ogródek piwny. Olgierd opadł na jedno z krzeseł i czekał, aż krzątający się na drugim końcu ogródka kelner zlituje się nad nim i podejdzie przyjąć zamówienie. Musiał się napić kawy.

O dziwo, cykały tu świerszcze. Nie powinno ich tu być, w tym betonowym świecie. Powinny już dawno zdechnąć pod grubą warstwą piachu i cementu.

Powiał wiatr. Olgierda znecierpliwiło bezna-dziejne czekanie na obsługę. Nie był do czegoś takiego przyzwyczajony. W każdym razie nie w

takich kwestiach jak usługi za pieniądze. Wszystko pozostałe było tylko czekaniem. Całe jego życie było czekaniem na awans, spełnienie, a tak naprawdę na... pochwałę. I czy byłoby w tym coś złego, gdyby ją wreszcie otrzymał?

- Nie - mruknął pod nosem. - Śmierć jest szybsza niż pochwała. Przychodzi znienacka i ciach, ciach, bum, bum, nie ma. Nie ma człowieka i nie ma punktu odniesienia. Nie ma. Kelner! - krzyknął na cały głos. - Zamierza pan się pofatygować?

- Trochę grzeczniej, koleś - odezwał się jakiś menel od sąsiedniego stolika. - Tu nie chlew. Trochę kultury... Choćby dlatego, że nie jesteś u siebie.

Olgiert wybuchł histerycznym śmiechem.

- Ja nie jestem u siebie? Ja nie jestem u siebie? - Zaczął się krztusić. - Ja nareszcie jestem u siebie. Tam - wskazał ręką w nieokreślonym kierunku - tam, w tej dobrej dzielnicy nie byłem u siebie. Tu jest mój dom, tu! - wyrzęził z wysiłkiem.

- Zamknij tę pijaną mordę albo zrobimy z tobą porządek - wysyczał przez zęby drugi facet od sąsiedniego stolika.

- Spieprzaj - tylko na tyle było stać Olgierta. - Kelner! - Wrzasnął jeszcze głośniej.

Kelner nie reagował. Jakby się wszyscy na niego uwzięli.

Olgiert postanowił użyć mocnego argumentu.

- Mam pieniądze, dużo pieniędzy - oznajmił.

- Miałeś - zbył go pierwszy rozmówca. - Bo za chwilę zostaniesz wyczyszczony do zera. Liczę do dziesięciu i wynocha stąd, chamie.

Tak... Powinien się teraz podnieść, powinien zachować resztki zdrowego rozsądku i odejść, zanim ci od sąsiedniego stolika rzucą się na niego. Ale gdyby teraz wstał, reszta - te wszystkie szczury - miałyby niezły ubaw.

- Nigdzie nie pójde - odparł stanowczo.

Odpowiedział mu śmiech.

Olgierd odczekał kilka minut, po czym wstał, wszedł do knajpy i oparł się o bar.

- Nikt tu pana nie chce - powiedziała młoda kobieta, która wyłoniła się z zaplecza. - Niech pan stąd idzie. Dla własnego dobra.

Chciał popatrzeć jej w oczy, upewnić się, że nie żartuje, ale ona odwróciła się na pięcie i odeszła. Zrezygnowany złapał z kontuaru jakąś butelkę i skierował się do wyjścia.

- Jeszcze mi kiedyś za to zapłacicie, chamy - rzucił na odchodnym.

Ci od sąsiedniego stolika chwilę jakby coś rozważali, po czym jeden z nich poderwał się nagle i warknął:

- Wykończymy cię, biznesmenku.

Olgierd nie odwrócił się. Odchodził z dumnie podniesioną głową, próbując zignorować odgłos kroków deptających mu po piętach.

Szli za nim.

Księżyc wyłonił się zza chmur, Olgierd zobaczył w jego świetle osiedlowy trzepak i ruszył w jego stronę. Przywarł policzkiem do zimnej chropowatej ramy, jak kiedyś, w dzieciństwie, kiedy takie miejsce stanowiło ośrodek osiedlowych rozrywek, eksploatowane bezustannie

przez wszystkich lokatorów niezależnie od płci i wieku. Tu bawiły się dzieci, tu sikały psy, tu, szczególnie w soboty i przed większymi świętami, trzepało się dywany i chodniki. Kiedyś wisząc na trzepaku głową w dół, postanowił, że dojdzie w życiu do takiego miejsca, z którego będzie mógł sięgnąć nieba.

Teraz pomyślał gorzko, że wprawdzie marzenia się spełniają, ale trzeba za nie płacić.

- Wypierdalaj stąd - usłyszał za sobą i nie musiał nawet odwracać głowy, by mieć pewność, że ci z piwnego ogródka nie odpuszczą.

Nie oglądając się za siebie, ruszył dalej.

- Won, patałachu - ścigały go okrzyki. - Będziemy z tobą tak długo, że nas dobrze popamiętasz.

Olgierd pociągnął kilka łyków z zabranej butelki. Czysta wódka paliła w przełyku. Nie przyspieszył kroku; starał się nawet iść nieco wolniej. Niech tamci wiedzą, że on nie boi się ich gróźb.

Zza drzew wynurzył się jakiś całodobowy sklep. Olgierd wszedł do środka, złapał koszyk i ruszył między regały.

- Wszystko już było i wszystko się zdarzyło - przemknęło mu przez głowę.

Wrzucił do koszyka kilka butelek z alkoholem, zapłacił kartą.

Naprzeciwko sklepu stał rzęście oświetlony budynek. Olgierd skierował się do wejścia. W środku siedziała masa ludzi o rozmytych rysach twarzy, z przyklejonymi do ubrań imionami w różnych językach.

- To chyba jakieś cholerne kody - pomyślał. - Coś jak zlot istot z UFO.

Najważniejsze, że prześladowcy chyba odeszli. Olgierd próbował ich wyłowić z rozmazanego tłumu. Zapewne dali za wygraną, bo nie mógł ich nigdzie dostrzec.

Rozglądał się w nowym miejscu. Może tego właśnie teraz potrzebował.

Posłuchać, pozwolić się oswoić, choć na chwilę zacząć żyć sprawami innych.

Kultura. Książki. Muzyka. Kino. Bajki.

Fikcja, tak, ale czerpiąca z ludzkich przeżyć, bólu, ze szczęścia i rozpacz.

- Moi rodzice dziś zginęli. - Olgierd pociągnął z butelki kilka łyków. - Zginęli.

- Wyraży współczucia, ale może pan przejdzie do sali, gdzie omawia się strategię najbliższych? - szepnęła nieśmiało jakaś kobieta.

Reszta odwróciła głowy. Śmierć rzeczywista nie jest sztuką. Gdyby powiedział jakiś wiersz, zacytował poemat... Ludzie żyją cudzą sztuką, kiedy chcą się oderwać od własnej rzeczywistości; twórca jest dla nich przewodnikiem do innego świata.

- Wynocha stąd, gnoju! - Ci dwaj z ogródka jednak nie odeszli. Byli tu, zaczajeni. - Won!

Przez długą chwilę walczył ze sobą. Czysta przekora nakazywała mu pozostanie na miejscu, ale z drugiej strony poczuł, jak nagle opuszczają go siły. Nie chciał się kłócić, nie chciał walczyć. Nie dziś. Wstał i zmęczonym krokiem przeszedł do innej sali. Przez ułamek sekundy czuł pokusę, żeby wybiec na zewnątrz, ale tam było

zimno, a w sali pełnej obcych ludzi można być równie samotnym jak na pustej ulicy. Tyle że obcy jednak dawali nadzieję na ciepło.

- Witam - powiedział, naciskając klamkę następnych drzwi. - Mam problem. Kogoś... straciłem. Czy mógłbym...

Nie pozwolono mu dokończyć.

- Nie tutaj - usłyszał suchą odpowiedź. - Tu rozmawiamy o dzieciach. Ma pan dzieci?

- Mam, jedno. Syna. Ale nie chcę teraz o tym mówić.

- W takim razie zapraszamy wtedy, kiedy pan zechce.

- Spieprzaj - nie dawali za wygraną tamci dwaj.

- A jeżeli nie wyjdę? - starał się, żeby w jego głosie zabrzmiała kpina. Nie udało się.

- To wystawimy ci taki wilczy bilet, biznesmenku, że będziesz musiał zrobić operację plastyczną i zmienić nazwisko, żeby ktoś chciał z tobą porozmawiać.

Nie uwierzył w ich groźby, ale wycofał się z niefortunny wybranego pokoju.

Hobby. Tu miałby o czym opowiadać.

Kupię rękę, skórę, nogę. Tylko że to hobby miało pozostać jego największą tajemnicą. Nie zrozumieliby, to pewne. Pewnie do tych dwóch dołączyłyby całe zastępy nowych prześladowców.

Następne sale poświęcone były wszystkiemu i niczemu. W jednej urzędowały rozwódki, w innej macochy, w jeszcze innej najważniejszym tematem był zbliżający się mundial.

Wszędzie tysiące ludzi i nikogo, prócz tych dwóch, kto powiedziałby do Olgerda choć słowo.

„Psycholog” - odczytał na najwyższym piętrze tej przedziwnej wieży Babel, w której wszyscy się porozumiewali i z nikim porozumieć się nie było można.

- Straciłem kogoś. Chciałbym o tym porozmawiać. Muszę o tym porozmawiać...

- Proszę najpierw wysłać SMS na podany numer. - Jakaś usługowa kobieta, zapewne recepcjonistka, podała mu karteczkę z wizytówką. - SMS kosztuje 12 złotych i ma pan prawo do dziesięciu minut fachowej konsultacji. I proszę zostawić swój numer telefonu. Po zidentyfikowaniu opłaty skontaktuje się z panem specjalistą.

- To nie będzie od razu? - upewnił się, nawet nie próbując ukryć rozczarowania.

- Nigdy nie jest od razu. Ludzie przychodzą do nas dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kolejka, proszę pana, obowiązuje każdego.

- Ale ja muszę porozmawiać teraz - powiedział umęczonym głosem.

- To proszę tam - wskazała mu kolejne drzwi. - Grupa wsparcia. Nie ma specjalisty, ale jest kilka osób, z którymi można pogadać. Oni też czekają...

Podszedł do wskazanych drzwi. Zanim się odezwał, zdążył zauważyć swoich prześladowców.

Nie chciał znowu usłyszeć „won”. Nie chciał się kolejny raz narażać na publiczną scenę. Cóż zresztą może mu zaoferować grupa ludzi sama potrzebująca pomocy?

Wycofał się do wąskiego korytarzyka i bezradnie rozglądał dookoła.

- Chcesz się pieprzyć? - zadane zniemacka pytanie wprawilo go w konsternację. Odwrócił się, ale wypity alkohol i nieznośne światło jarzeniówek utrudniały mu rozpoznanie twarzy kobiety.

- Chyba stać cię na mnie, biznesmenku?

A więc o to chodzi. Nie o seks, zespolenie dwóch ciał, chwilowe zapomnienie. Pieniądz. To największa potrzeba człowieka.

- Znamy się? - zapytał, żeby zyskać na czasie.

- Czy to ważne? - Zaśmiała się. - Przecież jest małe prawdopodobieństwo, żebym była twoją matką.

Matka.

Miękkie włosy uwalane krwią, w jakiejś odległej kostnicy.

- Chodź - powiedział zdecydowanie. - Chcę przez chwilę z tobą być.

- Opowiedz mi najpierw o sobie.

- Co chciałabyś wiedzieć?

- Co lubisz, czym się zajmujesz, dlaczego tu przyszedłeś? - Kolejne pytania padały jak strzały z karabinu.

- Jesteś wścibska.

- A ty robisz się niegrzeczny.

Nie zamierzał jej odpowiadać. Chwilową potrzebę udowodnienia sobie, że żyje, że jeszcze czuje, mógł zaspokoić równie dobrze w inny sposób. Niekoniecznie seksem.

- Jeśli się zdecydujesz, wiesz, gdzie mnie

szukać! - krzyknęła za nim, ale odchodząc, nie odwrócił się.

Gdyby teraz była tu Alicja, nie dałby jej prawa wyboru. Lód czy ogień? Ogień czy lód? Dziś byłby ogień. Taki, który spaliłby jego, ją i wszystkie złe wspomnienia.

Iga się martwiła. Minęło już wiele tygodni od nieszczęsnej aukcji, a Biznesmen nadal się nie odzywał. Teraz, kiedy mogła spojrzeć na to z dystansu, kiedy uporządkowała sprawy z Mariuszem, najchętniej odkupiłaby siebie i pozbyła się kłopotu.

Nawet gdyby gość podniósł stawkę.

Właśnie zdała egzamin magisterski, udało jej się również znaleźć pracę w małym muzeum i choć pensja była niemal głodowa, stała umowa umożliwiałaby jej ewentualne zaciągnięcie kredytu.

Nie musiałyby nawet rezygnować z tej nory, którą wynajmowała. Mieszkanie miało niski standard, ale przynajmniej było tanie. Brakowało w nim mebli, ale Idze nie przeszkadzało spanie na dmuchanym materacu czy laptop ustawiony na podłodze.

Wysłała już kilka e-maili do Biznesmena z propozycją oddania pieniędzy z aukcji, oczywiście wraz z odsetkami. Ignorował ją, choć w ostatnich tygodniach ciągle zawierał nowe transakcje. Ponieważ serwis aukcyjny umożliwiał kontakt e-mailowy w ciemno z każdym uczestnikiem aukcji, postanowiła zasięgnąć języka na temat swojego tajemniczego dobroczyńcy.

Król Mariusz nie miał kim władać. Marzyła mu się jakaś poddana, skłonna go uszczęśliwić. Agata, której uczuć był niemal pewien, natychmiast ucieła wszelkie spotkania, kiedy oznajmił jej, że wyrzucił swoją narzeczoną za drzwi i jest gotowy na nowy związek.

Mężczyzna bez partnerki tracił w jej pięknych głębokich oczach i momentalnie przestawał być atrakcyjny. Bardziej niż mężczyzny potrzebowała rywalki.

Mariusz boleśnie przeżył porzucenie. Początkowo nawet miał zamiar walczyć, ale wszystkie jego wysiłki Agata kwitowała najpierw kpiącym śmiechem, a potem zabójczą obojętnością. Poza tym któregoś dnia przyłapał ją, jak szeptała po kątach z nowym pracownikiem. Był to dla niego niezbity dowód, że ta kobieta nie jest materiałem na królową, ale co najwyżej na puszczalską prostytutkę.

Samotność zajrzała mu w oczy. Zateśknił za wierną Igą, która może nie była idealna, ale na pewno przewidywalna. Od niedawna tę cechę charakteru zaczął traktować jako wielką zaletę.

Tomek siedział w swoim pokoiku. Upewniwszy się, że matka śpi, zdjął koszulę z długim rękawem. Nareszcie mógł usiąść do komputera, nie omdlewając z gorąca. Tegoroczne lato było wyjątkowo upalne; zwłaszcza jeśli spędzało się je w ścianach blokowiska. Mury, nagrzane w dzień do nieprzytomności, w nocy stygły bardzo wolno. Nieruchome powietrze i zaduch potęgowały koszmarne nastrój Tomka. Wszystko

zamarło w bezruchu; jakby życie się zatrzymało i w tej nieruchomości szukało wytchnienia. Aż trudno uwierzyć, że w innych zakątkach Polski rozległy niż przynosił coraz chłodniejsze wieczory. Lada dzień dotrze również tutaj, na razie jednak trzeba jakoś przetrwać kolejną noc.

Tomek nie mógł dopuścić, żeby zawładnęły nim złe myśli. Wszedł do Internetu, chcąc uciec od przygnębiającej rzeczywistości.

Szukał ludzi.

Zaczął od forów. Czasem miało się szczęście i można było natrafić na pokrewne dusze. Przy nieumiejętnym poruszaniu się w wirtualnej rzeczywistości można było łatwo zostać zignorowanym lub wyproszonym. Najważniejsze to najpierw wcisnąć się gdzieś na krzywy ryj i dowiedzieć jak najwięcej o innych użytkownikach. Wtedy wie się, co powiedzieć, żeby się nie narażić, a nawet - co byłoby jeszcze lepsze - żeby otrzymać wsparcie.

Tomek przerzucał kolejne strony. Czarną magią były dla niego dyskusje na temat dobrodziejstw karmienia piersią; jak po chińsku brzmiały problemy matek wcześniaków.

Ogarnięty nagłą furią, że przez głupi tatuaż jest skazany na poszukiwanie ludzi bez twarzy, wpisał w przeglądarkę forum hasło Biznesmen. Przecież to on był współwinnym zakatowania tamtego obcego w parku. Tomka uderzyło, że ktoś o takim nicku jest od kilku godzin w sieci i przeskakuje z jednego forum na drugie. Zaciekawiony wszedł na pierwszy link, który podpowiedziała mu wyszukiwarka.

„Straciłem dziś rodziców”.

O dziwo, wyznanie kompletnie zignorowano. Gdziekolwiek tylko pojawiały się delikatne, choć stanowcze aluzje, że - na przykład - forum sprzętu używanego nie jest najlepszym miejscem do takich zwierzeń. I jeszcze coś. Jakiś facet, nieprzebierający w pisanych słowach, krzyczący: „wynocha”.

To na pewno nie ten od tatuażu. Gdyby to się przydarzyło tamtemu, po prostu wyżyłby się na innych. Taki nie szuka wsparcia. Taki przekazuje swój gniew dalej. A jeśli to rzeczywiście ten sam, to dobrze tak gnojowi, niech spierdala.

Ale Tomek nie miał pewności.

Zamknął oczy i spróbował przywołać z pamięci obraz własnego ojca. Tyle lat minęło od jego śmierci, a na wspomnienie jego odejścia Tomkowi łzy napłynęły do oczu. Gdyby ojciec żył, nie musieliby z matką martwić się o terażniejszość. Przynajmniej nie w takim stopniu jak teraz. Wtedy było całkiem nieźle. Ojciec pracował w firmie budowlanej. Żyło im się skromnie, ale na najważniejsze wystarczało. I co istotne - był z nimi. Aż do dnia, kiedy przyszedł do domu i obejmując matkę, oznajmił, że ma propozycję pracy w Niemczech. Nielegalnie, ale za duże pieniądze. Tamtego wieczoru siedzieli całą trójką do późna i Tomek doskonale pamięta, jak ważny się wtedy czuł, że jego, dwunastoletniego wyrostka, dopuszczono do dyskusji na temat przyszłości rodziny. Koronnym argumentem był właśnie on - jego przyszłość, jego wykształcenie.

Ojciec wierzył, że pracując za granicą, zarobi tyle pieniędzy, że wystarczy i na utrzymanie, i na edukację syna. Porządną edukację. Matka, mimo lęku i wątpliwości, zgodziła się na wyjazd męża. Kiedy Tomek miał wyrazić swoje zdanie, był w rozterce. Z jednej strony chciał, żeby ojciec został w domu, z drugiej zaś już wyobrażał sobie komputer albo inną rzecz, której nie miał, a której zazdrościł lepiej sytuowanym kolegom.

- Dbaj o mamę, synu. - Kilka dni później ojciec klepnął go po ramieniu i pojechał na dworzec.

To „dbaj o mamę” było wyrazem zaufania, czymś, co napawało go dumą; Tomek poczuł się doceniony i przyrzekł sobie w duchu, że zrobi wszystko, aby nie zawieść ojca.

Potem, kiedy w tamtą przedwigilijną noc zadzwoniono z daleka z informacją, że ojciec spadł z rusztowania i zginął na miejscu... Owo „dbaj o mamę” przypominało chłopcu, że powinien zadośćuczynić ojcu za swoje przekłete marzenia o komputerze, grach i innych gównach.

Śmierć ojca czy matki zawsze jest bolesna. Szczególnie zaś, gdy następuje nagle, gdy nie jest się na nią przygotowanym. Odejść bez pożegnania to jak trzasnąć drzwiami w pół słowa, zignorować rozmówcę i zlekceważyć jego odpowiedź.

Tomek otrząsnął się ze wspomnień. Postanowił się skupić na człowieku, który właśnie szuka wsparcia i nie dostaje odpowiedzi. Na kimś, czyj ból jest świeży i pewnie z czasem

ucichnie, ale nigdy nie wygaśnie. Może w ten sposób choć częściowo odkupi swoje winy?

Klikał na kolejne linki. Wszędzie to samo; informacja, nieme wołanie o pomoc i ostracyzm. Dwie osoby chyba szczególnie uwzięły się na Biznesmena. Szły za nim bezbłędnie z miejsca na miejsce i z każdym słowem były coraz bardziej okrutne.

Aż wreszcie Tomek dostrzegł go siedzącego w jakimś kącie.

Zalogowany, bez słowa. Na forum tylko dla dorosłych, gdzie czymś normalnym była wymiana usług seksualnych.

Biznesmen musiał być skulony, może nawet płakał. Tomek nie wiedział, jak powinien się zachować. Podejść pierwszy? Wyciągnąć rękę? W sieci przecież ręki nie widać. Ale może napis i tak działa? Czy nie lepiej zawrócić, wycofać się, odejść i pozostawić go samego?

Nie rozpoznał tamtego na pierwszy rzut oka. Wprawdzie jego nick wydawał mu się znajomy, ale wydawało się mało prawdopodobne, by pośród milionów osób, mijających się właśnie w tej chwili w takim miejscu, mógł trafić na kogoś znajomego. Wszystkie twarze były takie same; nijakie i zlewały się w jedną.

Olgiert był pijany. Macał ręką w poszukiwaniu kolejnej butelki, ale w żadnej nie było ani kropli alkoholu. Pustynia. Trafił dłonią na kopertę ze zdjęciami i wysypał je sobie pod nogi.

Ręce, nogi, kawałki skóry. Przeważnie fragmenty ciał, ale na niektórych fotografiach były i całe postaci. Z każdej bił napis, jego znak firmowy. Ostatnich, dostarczonych mu niedawno przez detektywa z dopiskiem „proszę przyjrzeć się uważnie tym obrazkom” nawet jeszcze nie oglądał.

„Jesteś nikim”.

Ktoś coś do niego mówił. W pierwszej chwili nie docierało do niego, że to on jest adresatem wyświetlającego się nowego postu. Poza zaczepkami nachalnych kobiet nie spodziewał się żadnego kontaktu.

- Jeśli chcesz, chciałbym z tobą porozmawiać.

Nie odpowiedział. Nie był pewien. To znaczy chciał rozmawiać; przecież tego szukał całą noc, ale teraz nie wierzył już, że znajdzie rozmówcę. Może nawet już mu nie zależało.

- Wiem, jak trudno jest stracić bliską osobę.
- To było chyba znowu do niego.

- Niech on stąd wypierdala - odezwał się jeden z tamtych z ogródka piwnego. Uwzięli się na Olgierda i nie pozwalali mu wypowiedzieć ani słowa.

- To wy stąd spierdalajcie, gnoje - stanął w obronie Olgierda nowy znajomy. - Dajcie człowiekowi spokój albo jutro w realu zajmie się wami policja. Chyba że zależy wam na praniu gęby tu, w sieci.

- Że niby co? Za dużo, koleś, wypieś. - Olgierd mógłby przysiąc, że ci dwaj zarechotali.

- Zobaczymy, czy jesteście takimi chojrakami za dnia. Ciekawe, czy jutro będzie wam do śmiechu, kiedy się zalogujecie.

- A co, zablokujesz nam konta? - Znowu śmiech.

- Myślicie, że jak jesteście ukryci pod niekami, to nikt was nie namierzy? No już, won stąd, wylogować się. Chcecie złapać jakiegoś syfa do kompa? To gorsze niż choroba weneryczna. Jeszcze chwila w sieci i będziecie przeinstalowywać cały system, takie wam podrzucę śmierdzące gówno.

Olgierd uśmiechnął się mimowolnie, pierwszy raz dzisiejszej nocy.

- Dziękuję - wpisał, kiedy tamtych dwóch nie było już w pobliżu.

- Chcesz pogadać?

- Nie ma sensu. To już bez znaczenia. Nie warto.

- Jeśli po nich płaczesz, to znaczy, że warto.

- Chciałbym uścisnąć ci dłoń.

- Nie podam ci.

- Nawet jeśli bez niej się nie podniosę?

W powietrzu zawisła cisza.

- Nie mogę, choćbym chciał.

W alkoholowym zamroczeniu Olgierd nagle doznał olśnienia. Już wiedział, kim jest jego rozmówca. Pamiętał go przecież najlepiej ze wszystkich. To był Pierwszy.

Gorączkowo przerzucał teraz zdjęcia leżące pod nogami. Znalazł.

- Dlaczego przyszedłeś porozmawiać? - Musiał zapytać, chociaż cała sytuacja była absurdalna, a dialog żaloszny.

- Nikt w takiej chwili nie powinien być sam. Poza tym... Chciałem choć przez chwilę poczuć się kimś... Dobrym, wartościowym.

- Mimo tego, kim jestem?

Chwila ciszy.

- To ty?

I znowu cisza.

- To ja. Mam twoje zdjęcie.

- Więc teraz wiesz, dlaczego nie podam ci dłoni.

- Nie taka była umowa. Według umowy miałeś ją podawać wszystkim.

Cisza. Po chwili:

- Ale nie podam ci jej dziś, nie w takich okolicznościach. Bez względu na to, ile razy marzyłem, żeby to zrobić.

- Nawet jeśli bez tej dłoni już nigdy się nie podniosę? - nalegał.

- Podniesiesz się; wiem to z własnego doświadczenia.

Olgierd czuł, że tamten chce się wycofać z rozmowy. Że za chwilę odejdzie i zostawi go samego.

- Słuchaj, wypilem dziś morze alkoholu. Jestem pijany, ale to nie znaczy, że nie wiem, co mówię. Wręcz przeciwnie. To, co zdarzyło się w ciągu ostatnich kilkunastu godzin, paradoksalnie wyostrzyło mi postrzeganie świata, ale zarazem odebrało siły do walki. Musisz mi pomóc. Nawet jeśli wstanę, jeśli wypiję jutro litry wody, jeśli będę automatycznie wykonywał wszystkie czynności, potrzebuję szansy... rozgrzeszenia. - Wstał chwiejnie i przez kilka minut skanował ostatnio przysłane zdjęcia. Może to nie ma sensu; zresztą na pewno nie ma, ale nagle poczuł,

że musi to zrobić. Po kilkunastu minutach powrócił do rozmówcy.

- Jesteś tam jeszcze?

- Tak.

- Zajrzyj do swojej skrzynki. Masz tam mój adres. I parę zdjęć na rozruszanie. Przyjedź tu i podaj mi rękę albo daj mi w mordę, żebym mógł zacząć normalnie żyć.

Po drugiej stronie wahanie.

- Dobrze, podam ci teraz, na odległość. A potem grzecznie wstaniesz i wrócisz do najbliższych. Masz kogoś, prawda?

- Wydawało mi się, że nie, ale teraz już niczego nie jestem pewien.

- To zostaw ten bezosobowy świat i wracaj.

- Ale... - Chciał jeszcze o coś zapytać, lecz rozmówca wylogował się w pół słowa. Olgierd wzdrygnął się. Alkohol miał zadziałać jak środek znieczulający, a stało się inaczej.

Dopiero teraz uprzytomnił sobie, że od kilku godzin nie ma go w domu. To znaczy ciągle w nim jest, ale nie tak, jak powinien. Rozejrzał się po swoim gabinecie. Ciemny brąz mebli koł wzrok zmęczony wpatrywaniem się w monitor.

Miał się znieczulić, a dopiero teraz zaczął czuć naprawdę.

Chciał uciec w świat wirtualny, ale tam były tylko słowa, a on potrzebował kontaktu z żywymi ludźmi. Nagle to do niego dotarło.

Czy rodzice zginęli po to, żeby on mógł się odnaleźć?

Wyrwał wtyczkę z kontaktu, żeby odgrodzić się od tamtej rzeczywistości. Dopiero teraz zauważył butelki na podłodze. Przez otwarte okno wdzierало się zimne powietrze. Zmęczony wyszedł z gabinetu i ruszył naprzeciw, do sypialni. Nagły impuls nakazał mu skręcić do dziecięcego pokoju. Cicho uchylił drzwi. Nie było tam nikogo. Olgierd zląkł się, że został sam; że wirtualna rzeczywistość ludzi bez twarzy jest czymś jak najbardziej realnym. Ze ściśniętym gardłem wślizgnął się do sypialni. Na ich małżeńskim łóżku spali żona i synek. Olgierd nagle zapragnął wsunąć się pod kołdrę, by poczuć ich ciepło. Alicja miała urywany oddech. Musiała długo płakać, zanim zasnęła.

Jak ona to powiedziała? Tata i mama zginęli? Jasne, dla niej zawsze byli tatą i mamą. Nie rozumiał, o kogo chodzi, kiedy poinformowała go o tej bezsensownej śmierci.

Tak bardzo chciał poczuć teraz ciepło dziecka...

Tamta więź, relacja: ojciec - syn została przerwana kilka godzin temu na drodze wjazdowej do Warszawy. Już jej nie ma i nie będzie. Czy jest szansa, żeby ją odbudować w innej konfiguracji? Nie on i jego ojciec, ale on i jego syn.

Lecz na to, żeby wślizgnąć się teraz do łóżka, nie starczyło mu odwagi.

Część II

W firmie układało się dobrze.

Machina o misternie dopasowanych trybikach działała właściwie bez udziału Olgierda. Kiedyś nigdy by się nie zgodził z taką opinią i harował dalej, ale teraz, kiedy nie miał już szans na aprobatę tych, na których ocenie najbardziej mu zależało, trochę zwolnił.

Nadal jednak zniknął z domu na niemal całe dni, ale po powrocie z większym zaangażowaniem brał udział w życiu rodzinnym.

Po pogrzebie rodziców starał się nie wracać myślami do tamtej feralnej nocy, kiedy szukał ratunku w Internecie. W chwilach słabości, kiedy wspomnienia wracały - szalały w nim sprzeczne uczucia. Od wstydu i zażenowania po złość. Aby się przed nimi bronić, szukał jakiegoś usprawiedliwienia dla swoich „przedwypadkowych” czynów, po prostu bagatelizował. Pomagał mu w tym psycholog, do którego, w tajemnicy przed wszystkimi, zwrócił się po fachowe wsparcie. Od niego Olgierd dowiedział się,

że jego problemem jest przesadna chęć sprostania hipotetycznym oczekiwaniom rodziców i ciągle poszukiwanie akceptacji.

Powinien pan znaleźć sobie coś w zamian, kogoś, kto podobnie jak rodzice zasługiwałby na pańskie zaufanie - powiedział wtedy psycholog, a Olgierd dobrze zapamiętał te słowa. Takimi osobami mogłoby się stać żona i jej rodzice, Olgierd jednak zdawał sobie sprawę, że zmiana jego nastawienia mogłaby być trudna.

Jeżeli w ogóle jeszcze możliwa.

Czuł się jednak w pewnym sensie oczyszczony, usprawiedliwiony. Jego „stajnia tatuaży” nadal funkcjonowała, tyle że „dawcy” zaczęli się powoli wykruszać, a innych nie przybywało.

Olgierd przestał zaglądać na aukcje internetowe w poszukiwaniu nowych fragmentów skór. Nie mógł jednak zrezygnować z już posiadanych, gdyż musiałby przyznać sam przed sobą, że rozpętując tę zabawę, popełnił błąd. Na to nie był jeszcze gotowy. A w ogóle - od pogrzebu Olgierd unikał sieci jak ognia. Internet jawił mu się jako świat duchów, coś w rodzaju wirtualnego czyścica - jeśli nie wręcz piekła. Potrzebował czasu, żeby do niego wrócić.

Tego dnia, a właściwie wieczora, Alicja i Marcin pojechali do jej rodziców. Olgierd wymigał się od tej wizyty pod pretekstem bólu głowy i zmęczenia. Kiedy drzwi za nimi się zamknęły, po raz pierwszy od „tamtej” nocy postanowił TAM wejść.

Musiał się przejść tą samą ścieżką i upewnić, że nadal może chodzić z wysoko podniesioną głową. Że nie napisano tam nic, czego mógłby się wstydzić. Wpisał w przeglądarkę forumową swój nick i ze zgrozą zobaczył całe mnóstwo wpisów.

W tej sytuacji najważniejsze stało się sprawdzenie, czy wtedy, po pijanemu, nie chlapanął gdzieś swojego prawdziwego nazwiska.

Wpisał je do przeglądarki i z napięciem czekał na wynik. Najważniejsze, żeby nazwisko nie wyświetliło się w linku żadnego z forów.

Pierwsze linki uspokoiły go nieco; dotyczyły stron biznesowych związanych z jego pracą w firmie. Niecierpliwie przerzucał następne. Było tego mnóstwo. Ponieważ celowo nie zawarł swojego nazwiska w cudzysłów, przeglądarka wyłapała też strony z innymi osobami o nazwisku „Szczepankiewicz”.

Nawet gdyby poświęcił na przejrzenie tego całą noc, i tak nie byłby w stanie wczytać się wnikliwie w każdy link. Jeden wszakże wzbudził jego szczególne zainteresowanie.

„Nazywam się Patrick Szczepankiewicz. Poszukuję krewnych w Polsce. Mój dziadek Walenty wyjechał do Stanów w 1892 roku. Był najmłodszym z rodzeństwa. Jego ojciec, urodzony przypuszczalnie około 1860 roku, miał jeszcze inne dzieci, których imiona mogły brzmieć: Józef, Kacper, Marcin, Tomasz, Karol, Paweł, Anna, Elżbieta. Mieszkali prawdopodobnie we wsi Myszkowo. Wszystkich, którzy mogliby mi

pomóc, bardzo proszę o kontakt”.

Olgierd nie mógł się powstrzymać od uśmiechu na widok tego ogłoszenia. Rozumiałby, gdyby to ktoś z Polski szukał krewnych w Stanach, ale odwrotnie? Chyba że gość leży pod jakąś kroplówką i koniecznie chce zostawić majątek w cudzych rękach. Gdyby on, Olgierd, był młodszy, może by do tego dziadka napisał. W końcu, w dzieciństwie nieraz zazdrościł kolegom, którzy mieli rodzinę za granicą.

Wtedy na pewno by zareagował. Nie tylko dlatego, że liczyliby na prezenty, ale głównie dla namacalnego kontaktu z tym innym światem. Ale teraz...

Nie, jego dziadek nie figurował na liście Amerykanina. Tylko ta wieś - Myszkowo... Skupisko domów przy drodze, stanowiącej coś w rodzaju osi. I jeszcze coś: około półtora kilometra od owej osi, równolegle leżała druga wioska o takiej samej nazwie. Było ją dobrze widać i ta druga wzbudzała u mieszkańców pierwszej uczucie zazdrości. Pamiętał to bardzo dobrze, kiedy jako mały chłopiec spędzał wakacje u dziadków. Po wyjściu za stodołę często przyglądał się „tam-tym”. Byli w zdecydowanie lepszej sytuacji. Remiza strażacka, mleczarnia, szkoła podstawowa, kościół i cmentarz.

Ten Amerykanin na pewno miał na myśli to lepsze Myszkowo. Tylko tam przed ponad stu laty wystawiano dokumenty.

Pod wpływem nagłego impulsu Olgierd wystukał: „Szanowny Panie. Wprawdzie nie jestem z Panem w żaden sposób spokrewniony, ale nosimy to samo nazwisko. Chciałbym panu pomóc. Mój dziadek mieszka w wymienionej wsi i w dzieciństwie spędzałem tam często wakacje. I choć obawiam się, że niewiele zdołałam, może uda mi się naprowadzić Pana na jakiś ślad”.

Olgierd wysłał wiadomość, nie czytając jej.

Minęło wiele tygodni. Życie wracało do normy, Olgierd powoli odzyskiwał równowagę. Pochłonięty pracą coraz mniej odczuwał pustkę po śmierci rodziców. Sprawą Amerykanina również nie zwracał sobie więcej głowy. Gość nie odpisał, czyli pewnie wyciągnął nogi szybciej, niż się spodziewał, i z ewentualnego spadku dla rodaków w biednym kraju - nici.

Wiosna wdzierала się do miasta, zieleniąc drzewa i krzewy. Nawet w betonowych blokowiskach nie sposób było tego nie zauważyć. Rześkie powietrze pobudzało ludzi do życia. W klimatyzowanych, pozbawionych okien centrach handlowych wiosna pojawiła się w postaci dekoracji z narcyzów i tulipanów; lada dzień miały się też ukazać wielkanocne króliczki i pisanki.

Z ogromnych biurów z przyciemnianymi szybami wiosną można było dostrzec w bardziej kolorowych i lżejszych strojach pracownic.

Olgierdowi zapowiadał się bardzo ciężki tydzień. Na najbliższe kilka dni miał zaplanowane

spotkania z pracownikami i członkami zarządu. Na razie jednak był poniedziałek rano i Olgierd wpisywał ostatnie poprawki do planu tygodnia. Zadzwoił telefon.

- Czy to Olgierd?

- A kto mówi?

- Ciocia Łucja. Olgierd, synku, nie wiem, jak ci to powiedzieć - ciotka zniosła się płaczem - ale godzinę temu umarła twoja babcia.

- Kiedy pogrzeb? - spytał automatycznie. Niedawno już to przechodził. Śmierć, pogrzeb, potem powrót do normalnego życia.

- W dzień jej urodzin. Za dwa dni, w środę. Godziny jeszcze nie znam, ale jak to ustalimy, to zadzwonię - ciotka znów zaszlochała.

Olgierd nie zapytał, na co babcia zmarła. W ostatnich latach prawie nie utrzymywał z nią kontaktu. Od lat nie wstawała z łóżka. Wiedział z relacji matki, że babka jest chora. Przeszło mu przez myśl, że w tym wieku mogła umrzeć po prostu ze starości. W końcu miała grubo ponad siedemdziesiątkę. Z drugiej strony... Niektórzy dożywają o wiele sędziwszego wieku.

Rzucił okiem w kalendarz. Cholera! Tylko dlaczego zmarła akurat dziś? Gdyby to się zdarzyło kilka dni wcześniej albo gdyby jeszcze trochę poczekała... Akurat w środę miał spotkanie z bardzo ważnym klientem; w dodatku spotkanie już kilka razy przekładano. Ten termin miał być ostateczny.

Olgierd zaklął pod nosem. Ogarnęła go złość, jak zawsze w sytuacjach, na które nie miał wpływu.

- Co za pech! - mruknął. - Może odpuszczę sobie ten pogrzeb?

Nerwowo przerzucał kartki terminarza, choć już wiedział, że zaraz poleci sekretarce przełożyć spotkanie. Musiał pojechać na pogrzeb, ponieważ rodzice nie żyli i powinien zastąpić swojego ojca. Postanowił kupić najpiękniejszy bukiet kwiatów i choć raz w życiu dać go babci na urodziny. Próbował przywołać z pamięci obraz leżącej w łóżku kobiety. Tak ją zapamiętał sprzed kilku lat, gdy ją odwiedził przy okazji jakichś świąt. Siwe, krótkie włosy okalające wymizowaną twarz, pomarszczona szyja i ręce; chude ciało ukryte pod luźną koszulą. Pamiętał, co wtedy powiedziała:

- Tak bardzo boli mnie noga.

Co też wtedy jej odpowiedzieli? Że czasami tak jest; że to takie wrażenie po usunięciu jakiejś części ciała. Że mózg płata figle i człowiek czuje ból w miejscu, którego już nie ma. Babcia Olgierda nie miała nóg.

A on, jak na ironię, miał ich o kilka za dużo.

Izydor Szczepankiewicz z dnia na dzień coraz bardziej podupadał na zdrowiu. Jeszcze do niedawna, mimo swoich siedemdziesięciu dziewięciu lat i przygarbionych pleców, starał się trzymać, ale ostatnie miesiące jak niewidzialny ciężar coraz bardziej pochylały go ku ziemi. Siedem miesięcy temu zginęli w wypadku samochodowym jego syn i synowa, poważani w okolicy nauczyciele. To był cios dla obojga staruszków.

Izydor nie mógł się jednak poddać; jego kalendarz żona wymagała opieki dwadzieścia cztery godziny na dobę. I tylko to sprawiało, że stary jakoś się trzymał.

Żona Regina, która od lat walczyła o każdy dzień życia, załamała się po śmierci syna i umarła pokonana przez chorobę i żal.

Na wsi właśnie rozkwitały pierwsze tulipany i narcyzy. Za dwa dni Regina miała obchodzić swoje siedemdziesiąte czwarte urodziny, dla wszystkich było więc jasne, że pogrzeb odbędzie się w dniu urodzin. Pogoda była piękna. Przyszła chyba cała wieś, przyjechała rodzina z różnych stron Polski.

I oto Izydor stał w przedsionku drewnianego kościółka. Ktoś litościwy podsunął mu krzesło; osunąwszy się na nie, wsparty na lasce powtarzał z najbliższymi słowa modlitwy. W przedsionku kościoła spoczywała w trumnie jego żona. Twarz miała spokojną, jakby wreszcie doznała ukojenia, ręce złożone do modlitwy, splecione różańcem. Spódniczka kończyła się za kolanami, jak i całe ciało, a rozsypane margarytki i frezje zasłaniały miejsce, w którym powinny być nogi. Dalej umieszczono buty: piękne, nowe, na trzycentymetrowym obcasie, jakie z pewnością włożyłaby czterdzieści lat wstecz, wybierając się z mężem na wiejską zabawę.

Przed kościółkiem zebrała się dalsza rodzina, sąsiedzi i znajomi. Byli tam wszyscy, którzy nie mieli odwagi wejść do przedsionka, by nie

zakłócać pożegnania Izydorowi - oraz ci, którzy zwyczajnie się obawiali widoku zmarłej i woleli ją zapamiętać taką, jaką była za życia.

Kyrie eleison, Chryste eleison, Kyrie eleison.
Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie...

Drzwi przedsionka kościoła otworzyły się i wyszedł z nich ksiądz, by poprowadzić zmarłą przed ołtarz, na godziwe pożegnanie. Córki i kilka wnuczek ostatni raz musnęły z czułością siwe włosy, płacz wyraźnie się wzmógł. Ktoś podskoczył do Izydora, żeby pomóc mu wstać. Stary dźwignął się z krzesła i nachylił nad żonę, z którą przeżył w związku małżeńskim prawie sześćdziesiąt lat. Teraz ten związek został przerwany. Nie na długo, jak sądził stary, ale rozłąka była bolesna.

Poskręcany przez artretyzm palcami pogłaskał żonę po policzku, potem uściskał złożone dłonie.

- Dziękuję ci, kochana, za wszystko. - Głos mu się załamał i po policzkach potoczyły się łzy.
- Dziękuję ci, kochana moja żono, za wszystko. Za to, że tak dzielnie znosiłaś cierpienie. I za dzieciaki ci dziękuję, te, które ty urodziłaś, i te, które urodziły się z naszych dzieci...

Kyrie eleison, Chryste eleison...

Ksiądz skończył się modlić, pogrzebowi, którzy mieli zamknąć trumnę, przestępowali z nogi na nogę, czekając na zakończenie pożegnania. Za chwilę trumnę należało wnieść do kościółka i ustawić naprzeciwko ołtarza.

Izydor jakby o tym zapomniał.

Wszyscy umilkli, słysząc jego szloch; nawet ksiądz jakby się zawahał. Zwlekał teraz z umówionym znakiem dla pogrzebowych. Nikt nie miał odwagi skracać tej chwili.

Tylko jakiś mężczyzna, który wcisnął się do środka, szepnął zniecierpliwiony:

- Zabierzcie stąd Izydora, niech nie robi scen.

Olgierd omal nie rzucił się na niego z pięściami, ale powstrzymał się w ostatnim momencie, przywoławszy wspomnienie sprzed kilku miesięcy, i syknął: „spierdalaj”.

Kilka miesięcy temu pewnie też by go zirytowało zachowanie starego. Wtedy jeszcze nie wiedział, czym jest ból straty.

Teraz ścisnął w dłoni piękny urodzinowy bukiet barwnych kwiatów i myślał, że ten stary człowiek, jego dziadek, jest najważniejszy na świecie, choć był prostym człowiekiem.

Kiedy przyszedł e-mail od Patricka Szczepankiewicza, Olgierd był akurat zajęty bilansem kwartalnym. Wspomnienia pogrzebu babki powoli rozmywały się w jego pamięci. Niespodziewanie szybko wrócił do własnego życia, nie miał już ochoty poznać faceta zza oceanu, więc celowo nie otworzył wiadomości.

To nieprawda, że Izydorowi nie pozostało już nic.

Pamięć, która w ostatnich dniach bardzo się wyostrzyła, ciągle przywoływała obrazy z przeszłości. Pierwszy przyszedł niespodziewanie,

kiedy podczas pogrzebu stał nad wykopanym dołem na cmentarzu. Przypomniał mu się pewien lipcowy dzień w czasie wojny, kiedy był kilkunastoletnim gówniarzem. Jego i innych wyrostków Niemcy zmusili do kopania okopów. Kopali te okopy od świtu do nocy. Kiedy wszystko zostało wykonane zgodnie z planem, padł jeszcze jeden rozkaz: wykopać dodatkowy dół, głęboki i szeroki.

Chłopcy nie zdawali sobie sprawy, że kopią ten dół dla siebie. Machali łopatami, odgarniając z czoła pozlepiane włosy, i wierzyli, że jeśli zrobią wszystko, jak należy, tamci pozwolą im odejść.

Byli przecież dopiero w poczekalni życia; wkrótce mieli zacząć podejmować pierwsze samodzielne decyzje, szukać własnych życiowych dróg, błędzić i odnajdywać się na nowo.

Po pracy chłopcy wrócili do maleńkiego, śmierdzącego baraku. Pozwolono im odpocząć. Izydor i jego przyjaciel Walenty nie kwapili się do snu. Liczyła się każda chwila, w której można było smakować życie. Stali nad wykopanym dołem i nagle w ciszy przerywanej głosami ptaków z pobliskiego lasu jak grom spadła na nich prawda.

- Myślisz o tym samym, co ja? - zapytał cicho Walenty.

- Że ten dół to dla nas? - Szept Izzydora był prawie niedosłyszalny.

Walenty kiwnął głową.

- Chodźmy do chłopaków.

Na myśl o tym, co ich czeka, kompletnie opadli z sił. Powłócząc nogami, doszli do baraku.

Chłopcy jeszcze nie spali. Nie tak łatwo przegnać zmęczenie. I równie trudno zasnąć, kiedy jest się pobudzonym przez obietnicę wolności. Upragnionej, wyczekiwanej wolności, którą mieli nazajutrz odzyskać.

- Uciekajmy stąd - szepnął Walenty. - Oni nas poczęstują kulką.

- Głupiś? - zachnął się jeden z leżących. - Gdyby chcieli nas załatwić, zrobiliby to od razu. A przecież obiecali, że nas jutro wypuszczą. Obiecali.

- Uciekajmy - nalegał Walenty.

- Walenty ma rację, zabiją nas - poparł go Izydor.

- To dlaczego nie zrobili tego od razu, kiedy skończyliśmy kopać?

- Jest za ciemno. Może się boją, że komuś uda się uciec? Po co nas wypuszczają, wiedząc, że jutro będziemy strzelać do nich z lasu? Przecież tylko teraz mają nad nami przewagę.

- Obiecali, że wypuszczą - odezwał się z uporem inny głos. - Jutro będziemy wolni.

- Co z tego, że wolni, jeśli nieżywi? - powiedział zadziornie Izydor.

- Ciszej, bo zaraz tu przyjdą! - zdenerwował się jeden z leżących. - Dajcie spać. Jak kto chce uciekać, to droga wolna.

- Ja idę - szepnął Walenty. W napięciu czekał na reakcję kolegów.

- Ja też idę. - Izydor podniósł się z ziemi.

Nikt więcej się nie odezwał.

Dwaj chłopcy ostrożnie uchylili drzwi baraku. W nozdrza uderzyło ich świeże powietrze. Księżyc chwilowo schował się za chmury, jakby zachęcając do ucieczki.

Położyli się na ziemi. Powoli, w ciszy, zaczęli się czołgać przez system okopów, który sami stworzyli, w którym znali każdą grudkę ziemi, każdy dołek i wzniesienie.

Przez doły poszło łatwo. Teraz pozostał jeszcze płaski odcinek placu, na końcu którego przechadzał się uzbrojony strażnik; gdyby udało im się pokonać tę najtrudniejszą przeszkodę, pozostałoby im zaledwie dwieście metrów otwartej przestrzeni do ściany lasu.

W wartowni nie było nikogo. Przyczajeni podjęli decyzję, że oto nadszedł właściwy moment na pokonanie ogrodzenia. Dzieliło ich zaledwie około dwóch metrów od bramy, kiedy usłyszeli trzask ściółki i nagle zza wartowniczej budki wyszedł Niemiec. Wyciągnął z kieszeni papierosa i zapalniczkę. Na moment wstrzymał oddech.

- *Wer ist da?* - zapytał zaniepokojony, słysząc obcy oddech w pobliżu. Rzucił papierosa i szarpnął karabin. W tej samej chwili księżyc wyszedł zza chmur, oblewając swym światłem dwie postaci leżące niemal u stóp.

Strażnik przez chwilę stał w zupełnym bezruchu. Dwie pary przerażonych oczu wpatrywały się w lufę karabinu. Chłopcy, pewni, że ich koniec jest bliski i że pierwsi trafią do wykopanego

przez siebie dołu, powoli wstali i patrząc na strażnika, czekali na śmierć.

Strażnik cofnął się odruchowo. Jakby nad czymś się zastanawiał, jakby ważył losy swoje i tych dwóch leżących na ziemi. Wreszcie podjął decyzję. W absolutnej ciszy wyjął z kieszeni drugiego papierosa, zapalił go i odwróciwszy się, spokojnie odszedł do wartowni. Strzał nie padł.

Brama.

Kiedy przekraczali ją zgięci w pół, księżyc znów schował się za chmury. Strażnik dopalał papierosa, patrząc na znikające w lesie dwie sylwetki. Kiedyś też był młody i pełen wiary w przyszłość. Dobrze to pamiętał.

Teraz, po śmierci żony, Izydor coraz bardziej dojrzewał do podjęcia ważnej decyzji. Na drodze do jej realizacji stały jednak dwie istoty. Kiedyś, jakieś dziesięć lat temu, chował jeszcze krowę, dwie świny, parę kaczek i kur. Cała ta gospodarka, rozparcelowana w ostatnich latach przez dzieci i z powodu jego podeszłego wieku, skurczyła się ostatnio do paru gołębi mieszkających pod dachem starej stodoły i ich pogromcy - kota.

O ile kota można się w miarę łatwo pozbyć, bo niejednen gospodarz weźmie zwierzaka ze względu na wszędobyłskie myszy, to gołębiom nie da się wytłumaczyć, że mają sobie nagle znaleźć inny skrawek nieba i przy innej stodole ulepić gniazda.

Izydor spędzał teraz dużo czasu na podwórku w towarzystwie swoich zwierzaków i z każdym

dniem czuł, jak ubywa mu sił. Kiedy wieczorami siedział na twardej ławce obok domu, nie myślał już o tym, co będzie jutro, i każdą cząstką umysłu przywoływał wspomnienia.

Od tych niedawnych, najświeższych, po ukryte w zakamarkach pamięci, które wylażyły teraz ze wszystkich stron, jakby jeszcze raz chciały się stać rzeczywistością. Ożywały obrazy, słowa, twarze, sytuacje, czasami wywołując uśmiech na twarzy starego człowieka, a czasami łzy.

Izydor - zmęczony jak po wielu dniach kopania okopów znowu stał nieopodal swojego dołu ze świadomością nieuchronności losu. Wtedy, dawno, dodawały mu sił młodość i wielka chęć poznania wszystkich smaków życia. Teraz, umęczony niemal osiemdziesięcioma latami, był pewien, że wkrótce dołączy do tych, którzy zostali wtedy w baraku w oczekiwaniu na obiecaną wolność.

Czy warto było uciekać, kluczyć, krażyc, ocierać pot z czoła, aby kiedyś zatoczyć koło i z pokorą wrócić w to samo miejsce?

Gdyby wtedy nie spróbował, nigdy nie poznałby odpowiedzi.

Zanim jednak zaśnie na klepisku w baraku, musi jeszcze załatwić coś, co umożliwi mu sen wolności. Musi wzmocnić rozluźnione więzi, albo wręcz przeciwnie - powinien delikatnie je podcinać.

Drogi Olgierdzie!

Stary już jestem i myślę, że niewiele czasu mi zostało. Ci, którym mógłbym jeszcze pomóc,

tej pomocy już nie potrzebują. Za słaby jestem, żeby pomóc młodszym; sam czuję, że powoli staję się dla nich ciężarem. Straciłeś niedawno ojca, tak jak ja straciłem syna, i tyś został ostatni z moim nazwiskiem, choć przecież wiem, że masz i syna. Jego trzeba będzie tak ukształtować, żeby wiedział, co to znaczy Szczepankiewicz i żeby czuł potrzebę pamiętania o naszej rodzinie.

Gdybyś się zgodził, chciałbym jeszcze odwiedzić cię w twoim domu, chciałbym spotkać się z twoim synem i powiedzieć mu, co w życiu jest ważne.

Niedaleko Warszawy żyją moi dwaj bracia i siostra, z którymi nie widziałem się już ze trzydzieści lat. Dzieciaki mówiły, że siostra choruje ostatnio, i chciałbym ją jeszcze zobaczyć. Myślę, że to ważne, żeby rodzina o sobie pamiętała. Chcę im coś powiedzieć twarzą w twarz. Czy zgodzisz się, żebym przyjechał cię odwiedzić?

Izydor.

Olgiard po raz czwarty czytał list od dziadka, przed paroma godzinami zostawiony przez listonosza. Ogarnęło go zdziwienie i niepokój. Po raz pierwszy w życiu dostał list od starego. To raz. Od lat listonosz nie przyniósł mu nic poza rachunkami i ulotkami reklamowymi. To dwa. Dziadek chce przyjechać do jego domu i z tego powodu może być niezłe zamieszanie. To trzy. Píše, że niedaleko ma rodzeństwo, o czym Olgiard do tej pory nie miał pojęcia. To cztery. Pewnie będzie chciał, żeby z nim tam pojechać,

a Olgierdowi było jakoś nie po drodze. To pięć. Ale „ważne, żeby rodzina o sobie pamiętała” - to sześć.

Izydor Szczepankiewicz - rolnik z wielkopolskiej wsi, który nigdy nie pojechał dalej niż na targ do pobliskiego miasteczka czy odpust do pobliskiego klasztoru. Ostatni z mających coś do powiedzenia. Pierwszy w kolejce do odejścia i przekazania pałeczki następcy. Berła i korony nie będzie. Ma być rozmowa.

Olgierdowi zrobiło się wstyd. Oto leżał przed nim list wysłany przez umordowanego życiem człowieka, a jemu samemu nie chciało się wysłać zwykłego e-maila do kogoś, kto szuka rodziny w Polsce.

Sięgnął po telefon i zadzwonił do dziadka. Nikt nie odbierał. Stary powinien być w domu, a jednak nikt nie reagował na kolejne sygnały dzwonka.

Ciotka mówiła po pogrzebie, że dziadek cały czas wpatruje się w swoje gołębie... - przypomniało mu się. Pewnie łązi po podwórku i oswaja się z niebem... Tak czy inaczej - nie mogą tego listu zignorować. Gdyby ojciec żył, to jego stary poprosiłby o pomoc. Spróbuję później. Odłożył słuchawkę na widełki i zbliżył się do komputera.

Odszukał nieprzeczytanego e-maila. Patrick Szczepankiewicz wyrażał ogromną radość z nawiązania kontaktu. Był tak pełen euforii i entuzjazmu, że gdyby Olgierd nie znał amerykańskiej pozy ciągłego zadowolenia, łatwo by się nabrał. Do e-maila załączono dokument z informacją o przodkach Patricka oraz drugi - z

listą szczegółowych pytań dotyczących Polski, panujących w niej zwyczajów, możliwości odnalezienia starych dokumentów. Było też kilka pytań dotyczących samego adresata.

Normalnie Olgierd zirytowałby się na takie wścibstwo, ale w sytuacji, kiedy jego dziadek zamierzał zrobić pięćset kilometrów dla podtrzymania rodzinnych więzi, nie pozostawało mu nic innego, jak napisać do różnych instytucji kilka e-maili z prośbą o informacje. Jeśli odpowiedzi wróca, będzie mógł napisać do Stanów.

Stary człowiek siedział na zniszczonej ławce, wsłuchując się w wieczorny koncert świerszczy. Tyle razy już go słyszał, kiedy po całym dniu pracy przysiadł przed domem, i niezmiennie zachwycała go ta polna orkiestra. W tle gdzieś ćwierkały ptaki, nie przerywając nawet w chwili uderzenia kościelnego dzwonu. Gołębie gruchały pod dachem stodoły; gdzieś z daleka niosły się rozbawione ludzkie głosy. Chyba skądś dalej niż z remizy, bo nie zagłuszała ich żadna muzyka.

Gdyby wstał z ławeczki i poszedł z kilometr dróżką, a potem minął remizę i poszedł jeszcze z trzysta metrów w lewo, byłby już blisko.

Tak blisko, a jednak tak daleko... Paręset kroków, a jednak odległość nie do pokonania. Ona nie przyjdzie. Litościwy Bóg, w którego Izidor wierzył całym sercem, zlitował się nad nią i zabrał tam, gdzie może wreszcie biegać, nie pozostawiając śladów.

- Trzeba będzie oddać kota - szepnął Izydor, czując ciepło zwierzaka ocierającego mu się o nogi.

Z trudem dźwignął się z ławki i zgięty w pół poczłapał do domu.

W Polsce można prowadzić poszukiwanie swych korzeni w trojaki sposób. Przede wszystkim można zasięgnąć informacji w Archiwach Państwowych i Diecezjalnych. Mając pieniądze i czas, można zlecić poszukiwania pracownikom tychże Archiwów. Chcąc to zrobić w miarę szybko, trzeba znaleźć człowieka, który zawodowo zajmuje się grzebaniem w cudzej przeszłości.

Ze wszystkich trzech opcji ta ostatnia odpowiadała Olgierdowi najbardziej. Fajnie byłoby napisać facetowi z Ameryki, że zna się swoje korzenie, nawet jeśli drzewo genealogiczne nie ma gałęzi amerykańskiej. Nie, to nie tak. Prośba Amerykanina po prostu naprowadziła Olgierda na poprawienie sobie nastroju.

Kiedy wreszcie po kilku dniach udało mu się dodzwonić do przygłuchawego dziadka, wyczuł z jego strony jakby wahanie. Czyżby stary bał się wyprawy do stolicy? Olgierd podjął niespodziewaną dla samego siebie decyzję:

- Przyjadę po ciebie, dziadku, w najbliższą sobotę - powiedział.

- Ale zdążymy wrócić do niedzieli? - upewniał się stary, jakby nie rozumiał, że nie da się tego zrobić w jeden dzień.

- Przenocujesz u mnie, dziadku, i odwiozę cię w niedzielę wieczorem.

- W niedzielę nie mogę - westchnął dziadek.

- Nie możesz? - Olgierd nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- W niedzielę jest msza. I na grób muszę pójść. To ważne.

- Ale przecież nic się nie stanie, jeśli raz nie pójdziesz - próbował go przekonać Olgierd.

Stary jednak nie słuchał:

- I jeszcze kota nie oddałem. I z gołębiami nie mam co zrobić.

Olgierd westchnął. Dziadek był jak dziecko. Co tu dużo mówić - był gorszy niż dziecko, bo dziecko można by wpakować siłą do samochodu i postraszyć tygodniowym zakazem oglądania bajek.

Żadna z tych ewentualności nie zadziała jednak na dziadka. Trzeba więc było czekać.

Iga miała dość czekania. Świadomość, że jest winna Biznesmenowi ogromne pieniądze, spędzała jej sen z powiek. Niby wszystko było w porządku; niby czasem nawet o tym nie pamiętała, ale w najmniej oczekiwanym momencie ogarniał ją niepokój. Wtedy coś zaczynało uwierać ją z tyłu głowy, otwierała się szufladka z napisem „dług” i myśli zaczynały skakać, przyprowadzając Igę o szybsze bicie serca. Nie mogła tak żyć. Już nie. Przez ten cały czas starała się spłacić dług anonimowemu wybawicielowi w nieco

pokrętny, ale - jak wierzyła - skuteczny sposób, jedyny, jaki przyszedł jej do głowy podczas spaceru po warszawskiej Starówce. Na chodniku siedział żebrak z ogromnymi bąblami na nodze. Widok był tak odrażający, że przechodnie odwracali głowy i przyspieszali kroku. Ona się zatrzymała. Wyjęła z portfela banknot dwudziestozłotowy i wrzuciła go do pustego tekturowego pudełka.

- Zobacz, człowieku - powiedział żebrak, nie podnosząc głowy. - Dookoła sami idealni ludzie. Nikt nie próbuje poprawić sobie samopoczucia, wrzucając grosze do pudełka. Nikt prócz ciebie.

Popatrzyła nań zdezorientowana.

- Wiesz, to taki sposób na wyrzuty sumienia, które gryzą człowieka od środka. Wrzuca się pieniążek i wydaje się, że od razu jest się lepszym. Ty musisz mieć duże wyrzuty sumienia, skoro wrzuciłaś papierek. - Westchnął. - Będę się za ciebie modlił.

Iga nie zaprzeczyła. Stary mówił prawdę.

- Jeśli możesz, módl się nie za mnie, ale za pewnego człowieka, który kiedyś bardzo mi pomógł. Ja tylko spłacam dług.

Żebrak zdziwiony podniósł głowę i spojrzał na młodą kobietę.

- Jak człowiek jest dobry dla innych, to to dobro zawsze do niego wróci. Do ciebie też. I bez modlitwy. - Zmilkł na chwilę. - Ale dobrze. Jeżeli to cię uspokoi... - Wzruszył ramionami.

Iga zamknęła oczy. Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła ulgę. Jeśli nie może oddać

długu bezpośrednio, może to zrobić w inny sposób. Tak jak przed chwilą. Dziesięć tysięcy złotych to nic banknot dwudziestozłotowy, ale to przecież początek, dobry początek...

- Dziękuję - powiedziała, zamierzając odejść.

- To ja dziękuję - odpowiedział żebrak.

Obejrzała się, kiedy dodał:

- To nieprawda, co mówiłem.

- Nieprawda? - Iga zatrzymała się w pół kroku i zmarszczyła brwi. - Co jest nieprawdą?

- To, że ludzie pomagają innym, żeby poprawić sobie samopoczucie. Największy wyrzut sumienia nie pomoże, jeśli jest się zamkniętym na innych. Oni... - Wskazał ręką na przechodzących ludzi. - Patrzę na nich od dawna i wiem, że specjalnie zamykają oczy na takich jak ja. Jakby myśleli, że są ponad prawem grawitacji.

- Prawo grawitacji? - Iga mimowolnie wzruszyła ramionami. - A pan wie, co to jest prawo grawitacji?

- Ja wiem. I ty też wiesz; jestem tego pewien.

Z kotem, od strony organizacyjnej, poszło łatwo. Niejeden sąsiad wziąłby go z pocałowaniem ręki, jednak Izydor przy rozważaniach na temat ewentualnego nowego pana dla swojego ulubieńca kierował się dwoma kryteriami. Po pierwsze, trzeba było umieścić go na najodleglejszym krańcu wsi, żeby kot nie wracał, po drugie, nowy gospodarz musiał lubić zwierzaki i traktować swój nabytek dobrze. Po kilku dniach namysłu wybór został dokonany i Izydor po

niedzielnej sumie zaproponował znajomemu rolnikowi przejęcie pupilka.

Z kotem poszło więc łatwo, ale jeszcze przez wiele następnych dni Izydor mimowolnie czekał na ciepły dotyk zwierzaka ocierającego mu się o nogi. Dom opustoszał jeszcze bardziej, nie było już nikogo, kto chciałby się wtulić w poskręcane dłonie Izydora.

Z gołębiami było o wiele trudniej. Oczywiście sfruwały wszystkie na ziemię, kiedy sypał im ziarno, pozwalały mu nawet chodzić między sobą, ale Izydor czuł, że złapanie ptaków byłoby zamachem na ich wolność. Kiedy się wreszcie na to zdobył, wyłapywał je pojedynczo, zamykając w starej klatce i modląc się, aby zdrada została mu wybaczona. Kłębily się za siatką, ze zdziwieniem patrząc na gospodarza. Tak, tak, pomyślał Izydor, na co komu skrzydła, jeśli nie może ich rozwinąć.

Izydor miał zamiar oddać je wszystkie, jak kota, ale w dobre ręce, by ktoś nie zrobił z nich niedzielного rosołu. Na to nie mógł pozwolić. Musiał jednak zamknąć tę sprawę, aby móc wyruszyć w ostatni etap wędrówki.

W firmie było gorąco. Co prawda klimatyzacja działała jak należy, ale pracownicy uwijali się jak w ukropie. Pozostawienie wszystkiego na kilka dni bez opieki nie wchodziło w rachubę.

Wiosna tego roku była wyjątkowo ciepła i wiele osób już ustawiło się w kolejce po niewykorzystane urlopy. Zanim wszyscy się rozjadą, trzeba zapiąć sprawy na ostatni guzik. Olgierd

nigdy by się nie posądził o to, że zdobędzie się na tak heroiczny czyn, ale pewnego dnia zadzwonił do teścia i poprosił go o kilkudniową opiekę nad firmą. Nie zwykł komukolwiek się tłumaczyć, ale tym razem, nie chcąc być posądzonym o niedawanie sobie rady, w kilku zdaniach przedstawił byłemu szefowi powody, dla których musi wyjechać.

Zapewnił, że zabiera ze sobą laptop i że w każdej chwili będzie pod telefonem. Mimo sztucznej pewności w głosie przeczuwał, że ten krótki czas poza domem nie będzie dla niego łatwy. Nie wiedział, czego się spodziewać, przygotował się więc na różne ewentualności.

Ukończywszy pierwszy etap podróży, przed furtką dziadka wysiadł z samochodu i poddał się niepokojącej fali wzruszenia. Zarówno dom, jak i podwórko były w większej ruinie, niż to zapamiętał, i wydawały się dużo mniejsze niż z perspektywy oczu dziecka. W nozdrza wdarł mu się zapach jaśminowca i Olgierd na ułamek sekundy cofnął się w czasie. Odruchowo zamknął oczy i przywołał wspomnienia.

Tu, na podwórzu, nikt nigdy nie wymagał od niego bycia liderem.

Tu po prostu zawsze był najlepszy bez udowadniania tego komukolwiek i samemu sobie. Zastanawiał się teraz, jak to możliwe, że wymagający ojciec był synem niewymagającego dziadka.

Dziadek wyszedł na ganek.

- Za parę minut będę gotowy - powiedział. -

Dobrze, żeś przyjechał trochę wcześniej, to szybciej się wyrobimy z tym wyjazdem.

Cały dziadek.

Jakby myślał, że godzina zbawi świat.

- Wejdz do domu, zaraz ci herbaty zrobię, boś pewnie zmęczony.

Olgierd westchnął. Uścisnął spracowaną dłoń starca i wszedł za nim do domu. Zdziwił go panujący wewnątrz porządek. Nie wiadomo czemu zakładał, że Izydor nie radzi sobie z domem, a tymczasem wszystko było jak należy.

Na ścianach, których nie malowano od lat, ciągle widniał zrobiony wałkiem szlaczek, od dawna już niemodny, ale dokładnie ten sam, który Olgierd zapamiętał z dziecięcych wakacji. Makatka z wyszytym przez babcię napisem „smacznego”. Pożółkłe zdjęcia dzieci i wnuków, obraz z aniołem stróżem przeprowadzającym dzieci przez rzekę.

Stary podszedł do kuchenki gazowej, żeby nastawić czajnik, ale Olgierd go wyprzedził.

- Zostaw, dziadku, sam zrobię herbatę. Ty się przygotuj.

Zapalił gaz i wsłuchiwał się w szum grzejącej się wody. Z kredensu wyjął szklanę i wstawił ją do niemodnego już koszyczka. Machinalnie otworzył szufladkę i wyciągnął z niej torebkę herbaty. W tym domu, odkąd pamiętał, każdy przedmiot miał swoje miejsce. Można było tu wejść po latach nieobecności i z zamkniętymi oczyma odszukać każdy przedmiot.

Ten dom był jak punkt odniesienia wobec wszystkiego, co się w życiu zmienia.

Olgierda ogarnęło dziwne uczucie, że Warszawa, jego nowoczesny dom, firma i luksusowe sklepy, w których bywał, są tylko złudzeniem, snem. Aż podszedł do okna sprawdzić, czy na podwórku stoi samochód. Stał.

A więc to jednak nie sen. Na jawie toczyło się zarówno to warszawskie życie, jak i dziadkowe wiejskie. On sam czuł się teraz jak łącznik pomiędzy tymi tak różnymi światami.

Czajnik zagwizdał i Olgierd, parząc palce, zalał liście herbaty wrzątkiem. Przeniósł szklanke na stół i usiadł na skrzypiącym krześle.

- Ogoiliem się już! - dobiegł go z łazienki głos dziadka. - Teraz tylko się ubiorę i zanim dopijesz herbatę, będę gotowy.

- Wyjdę na chwilę na dwór, dziadku! - odkrzyknął Olgierd i nie czekając na odpowiedź, wyszedł na zewnątrz. Skoro już tu jest, musi wszystko sobie dobrze przypomnieć.

Na podwórku znowu powrócił niepokój. Coś się zmieniło, coś, czego w pierwszej chwili po wyjściu z samochodu nie dostrzegł. „Znajdź szczegóły, którymi różnią się te dwa obrazki”.

Zajrzał do obórki, ale świeciła pustką. W stodole to samo. Jakieś stare graty, przedwojenny rower, taczki i nic więcej. Kurnik też pusty. No i ta cisza.

Olgierd wrócił do domu, żeby dopić herbatę. Może to ostatni raz, kiedy siedzi tu jak za dawnych lat?

Zabręczała komórka, której dźwięk w tych czterech ścianach brzmiał niemal groteskowo.

- Tak, ciociu, jestem. Niedługo wyjeżdżamy.
- Olgierd słuchał przez chwilę. - Nie martw się. Odstawię go najpóźniej pojutrze, jeśli tylko nie zmieni planów. - Znowu słuchał litanii niepotrzebnych wskazówek. - W razie czego zadzwonię.

Przez chwilę żałował, że obiecał teściowi być pod telefonem i że nie może go teraz wyłączyć. Jeszcze bardziej, że nie może tu zostać na kilka dni. Z perspektywy tego miejsca tamto życie było tak odległe, obce...

Usłyszał odgłos zamykania okien w pokoju i po chwili dziadek, ubrany w odświętną białą koszulę i czarny garnitur, stanął w drzwiach. Olgierd po raz kolejny poczuł dziwne wzruszenie. Na widok zgiętego niemal wpół dziadka, który z wyraźnym trudem usiłował się choć trochę wyprostować, wilgotniały mu oczy.

- Chodź, synu - powiedział stary i ruszył do drzwi. Jeszcze tylko przekręcenie klucza w zamku, odłożenie go pod wycieraczkę i mogli ruszyć do samochodu. Gdy Olgierd otworzył przed dziadkiem drzwi, ten zatrzymał się nagle i klepnął dłonią w czoło:

- Stary dziad ze mnie i sklerotyk jak jasna cholera! Mało brakowało, a zapomniałbym gołębi!

No tak, to właśnie gruchania ptaków brakowało Olgierdowi na podwórku. Tylko co znaczyły słowa dziadka? „Zapomniałbym gołębi”???

Zrozumiał, kiedy zobaczył, jak Izydor z wysiłkiem taszczy klatkę z kłębiącymi się w niej ptakami.

- Nie mogę ich oddać, bo je zjedzą. Nie mogę zostawić, bo gołębie pomyślą, że je opuściłem. Wypuścimy je gdzieś po drodze, a one same znajdą sobie nowy dom. Taki, w którym będzie życie. Zmieszczą się z tyłu?

Olgierd z przerażeniem pomyślał o swoim wypicowanym bagażniku, w którym nie miał prawa się znaleźć nawet pyłek kurzu.

W świecie dziadka obowiązywały inne reguły.

- Daj tę klatkę, na pewno się zmieści. - Z ciężkim westchnieniem odebrał klatkę staremu.

Przełożył z bagażnika na tylne siedzenie laptop i neser, obok nich umieścił podróżną torbę dziadka, po czym zapakowawszy gołębie, pomógł wsiąść staremu na przednie siedzenie. Zapiął mu pas, uruchomił samochód i ruszyli.

Izydor starał się siedzieć jak najbardziej wyprostowany, ale było jasne, że ta podróż będzie dla niego ogromnym wysiłkiem. Przecież aż do dzisiaj nigdzie dalej nie jeździł. Świat znał wyłącznie z wiadomości telewizyjnych i opowieści znajomych. Teraz, wyruszając z domu, po raz ostatni odwrócił się z trudem i ogarnął wzrokiem dorobek swojego życia. Olgierd zerknął ukradkiem na dziadka, zobaczył w tle wieżę kościelnej dzwonnicy i mur cmentarny i w tym momencie uświadomił sobie, że tam spoczywa część życia jego dziadka. Izydor musiał mieć

naprawdę ważki powód, żeby wszystko zostawić i wyprawić się w nieznane.

- Surowy był dla ciebie, prawda? - wyrwał Olgierda z zamyślenia głos milczącego do tej pory dziadka.

Jechali już ze dwie godziny i stary przez cały czas wpatrywał się nieruchomo, ale bez szczególnej ciekawości, w krajobraz ograniczony płotem autostrady. Nieciekawo, u nich, na wsi, było o wiele ładniej.

- Surowy? - zdziwił się Olgierd.

- No, mój syn, twój ojciec - rzekł z westchnieniem dziadek.

Olgierd nie odpowiedział.

- Ja mu tłumaczyłem, że tak nie można, że ty jesteś bardzo wrażliwy, szczególnie w porównaniu z innymi. A on mi na to odpowiadał, że postępuje tak, jak ja go nauczyłem.

- Widać tak musiało być - powiedział Olgierd, wzruszając ramionami. Nie był przygotowany na taką rozmowę.

- Ty o nim nie myśl źle. To rzeczywiście była moja wina. - Stary westchnął ciężko. - Ja tak się cieszyłem, że mam syna, że chciałem, żeby wyuczony był, mądrzejszy, lepszy ode mnie. Tak mi się wydawało, że jak mu wykształcenie zapewnię, to nie urobi się na gospodarce, że mu lżej będzie...

Cisza.

- Tylko że nie przewidział, że on zechce z ojcowizny uciec, jak już te wszystkie tytuły

zdobędzie. Ale nauczyciel dobry zawód, szanowany wśród ludzi...

Olgierd zacisnął palce na kierownicy.

- A wiesz - ciągnął dziadek - on mi potem nieraz mówił, że on chce tego samego dla ciebie, co ja chciałem dla niego. Żebyś nie skończył tak jak on, nauczyciel. Żebyś w życiu miał lepiej. Tylko teraz tak sobie myślę... Stary jestem i głupi, ale jakoś mi się tak wydaje, że nie na tym życie polega. - Zaczerpnął tchu. - No, nie na tym, żeby było źle - dodał. - Bo to pozór. Wszystkim chyba jest tak samo ciężko. Im wyższa pozycja, tym większa odpowiedzialność. A ty, Olgierd, jesteś... zadowolony?

Izydor oderwał wzrok od bocznej szyby i popatrzył badawczo na wnuka.

- Nie chcesz odpowiedzieć? - Westchnął. - To lepiej, niżbyś miał kłamać. Czasami trzeba przyznać przed sobą samym, że coś jest nie tak. Tylko wtedy można z godnością zacząć od początku. Zawsze to lepiej, niż brnąć w ślepy zaułek. A łatwiej to wyznać przygłuchawemu dziadkowi niż pamiętliwemu księdzu - zdobył się na żart.

- A dziadek jest szczęśliwy? - przerwał milczenie Olgierd.

- W pewnym sensie. Straciłem syna i żonę. Oddałem kota. Gołębie!!!!

Krzyk był tak niespodziewany, że Olgierd odruchowo nacisnął hamulec.

- Uduszą się w bagażniku. Trzeba je zaraz wypuścić. Daleko odjechaliśmy?

- Jakieś sto siedemdziesiąt kilometrów. Zaraz znajdę jakiś zjazd. - Nagle przyszło mu coś do głowy. - Ale będziemy wypuszczać je tu, na autostradzie? Przecież one są nieprzychylnie do takich warunków. Zaraz się rzucą na szyby.

To zależy, o co im w życiu chodzi. - Stary znowu ciężko westchnął, gramoląc się z samochodu.

Zbliżali się do Warszawy. Olgierd podświadomie szukał możliwości objazdu miejsca, w którym zginęli jego rodzice. Sam z bijącym sercem mijał ten odcinek już kilka razy, a jednak instynktownie chciał oszczędzić tej fatalnej aury dziadkowi. Bał się, że stary to po nim pozna; że nie uda mu się ukryć uczuć, jakie budziło w nim miejsce, gdzie się wszystko skończyło. Albo zaczęło. Zależy, w co kto wierzy.

- Nie omijaj.

Stary był chyba jasnowidzem.

- Stary jestem, nie pora na przemilczanie najważniejszych spraw. Człowiek zawsze myśli, że na wszystko ma czas. Aż dochodzi do takiego wieku, że niczego nie wolno mu już odkładać na potem. - Izydorowi wyostrzyła się umiejętność czytania w myślach, jakby w zamian za pogorszenie słuchu i utraconą sprawność fizyczną

Olgierd zbliżył się do miejsca wypadku. Zjechał na pobocze i włączył światła awaryjne. Bez słowa otworzył bagażnik i pomógł dziadkowi rozpiąć zamek podróźnej torby. Izydor wyjął z niej mały dębowy krzyż i rozglądając się

bezradnie wokół, szukał teraz jakiegoś kamienia, który posłużyłby do wbicia znaku w ziemię. Olgierda coś ścisnęło w gardle. Zawstydził się, że sam nie pomyślał o takim oznaczeniu miejsca, w którym zginęli jego rodzice.

Wyciągnął z bagażnika skrzynkę z narzędziami i wyjął klucz do nakrętek. Ukłął przy dziadku i zaczął delikatnie uderzać krzyż; ten, mocno zaostrzony w dolnej części, z łatwością zagłębiał się w ziemię.

- To z drzewa, które zasadziłem, kiedy on się urodził. - Izydorowi załamał się głos. - Obiecałem jej... Obiecałem, zanim umarła, że przyjadę w to miejsce...

- Dziadku...

Olgierd uderzał miarowo, chcąc wbić krzyż jak najgłębiej.

- Nie chciał zostać na wsi. Chciał lepszego życia. Jemu się nie udało. Dotarł jedynie tutaj, na granicę, i dlatego był taki dumny, że ty ją przekroczyłeś... Że jesteś lepszy, silniejszy, że... - Stary zachrypl i umilkł.

- Wcale nie jestem silny - szepnął Olgierd sam do siebie. - Ciągle chciałem mu udowodnić, że jestem dość dobry, że jestem taki, jakim on chciał mnie widzieć.

Stary puścił krzyż i powoli podniósł wzrok na wnuka.

- Powiedz jeszcze raz - nadstawił ucha, osłaniając je dłonią. Nie doczekał się odpowiedzi.

- Nie jesteś zadowolony - raczej stwierdził, niż zapytał.

Olgierd podniósł się z kolan i cofnął o kilka kroków, żeby sprawdzić, czy krzyż stoi prosto. Potem wrócił do dziadka i pomógł mu wstać. Otrzeptał starymu kolana z piachu. Chwilę stali nad krzyżem, nie zwracając uwagi na mijające ich kolejne samochody. Dziadek przeżegnał się i zaczął bezwiednie poruszać ustami.

- Modli się - przemknęło Olgierdowi przez głowę i po raz pierwszy od lat poczuł również taką potrzebę. Ukradkiem powtórzył za dziadkiem znak krzyża. Boże, spraw, żeby to, o co modli się dziadek, się spełniło - pomyślał.

- Nie jestem szczęśliwy - powiedział Izydor, kiedy ponownie wsiedli do samochodu. - Nie jestem, bo straciłem sens swojego życia. Staję się bezużyteczny. Dopiero teraz rozumiem, że namawiając syna do nauki, robiłem to na tyle głupio, że przestał kochać wieś i jego celem stało się miasto.

- Może on w tym miasteczku był zadowolony? - odezwał się Olgierd.

- Gdyby był, nie zachęcałby cię do innego, lepszego życia. Ale mówi się, że każde kolejne pokolenie jest mądrzejsze od swoich rodziców i ma szansę osiągnąć więcej. Czasami w tym pędzie można się pogubić. - Stary przymknął powieki. - Moja wina. Sam byłem szczęśliwy, bo Pan Bóg i zdrowie mi dał, i siły, i kawałek ziemi,

ale wydawało mi się, że może być jeszcze lepiej. Człowiek robi się coraz bardziej zachłanny, pazureny, jakby od tego, ile ma, zależała jakość życia. Sam pojąłem swój błąd za późno, żeby mieć jakikolwiek wpływ na decyzje twojego ojca. To, co mam, nie jest mi już do niczego potrzebne. Nikomu nie będzie zależało na tej starej budzie, w której mieszkam, czy na kawałku podwórka. Jedyne, co okazało się warte całego trudu, to dzieci. To, na jakich wyrosną ludzi.

Izydor poczuł się nagle, jakby mu przybyło ze dwadzieścia lat. Cichy szum silnika zaczął go usypiać. Przed zamkniętymi oczyma zaczęły się przewijać obrazy z przeszłości. Wszystko stało się nierzeczywiste, odległe, i strudzony podróżą zasnął.

- Jesteś najstarszym dziadkiem świata? -
Małe ciało wskoczyło z nienacka na łóżko.

- Marcin! - Alicja stanowczo pociągnęła dziecko za rękę w stronę drzwi. - Mówiłam, żebyś tu nie wchodził. Dziadek musi się porządnie wyspać.

- Daj dzieciakowi posiedzieć przy mnie, Ala.
- Stary powoli otworzył oczy. Pamiętał jak przez mgłę, jak wczoraj wysiadał z samochodu, a potem o lasce wspinał się na schody. Później wprowadzono go do jakiegoś pokoju, ułożono na łóżku. Przebudził się o świcie, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Dziwny szum za oknem, tak inny od odgłosów wsi, które budziły go co rano, szybko przypomniał mu o podróży i jej celu. Ze zdziwieniem stwierdził, że śpi w białej, niedzielnej koszuli; na szczęście ktoś zdjął mu przed

snem spodnie i marynarkę. Teraz, obudziwszy się ponownie, pożałował, że zmarnował cały ranek na spanie.

- Już wstaję. Nie ma czasu na leniuchowanie - puścił oko do dziecka.

Alicja wycofała się dyskretnie, a Marcin zaprowadził pradziadka do łazienki.

Izydor nie mógł się odnaleźć w tym pokręconym domu. Niby dom, a nie dom. Cudak, nie budynek. Zza ścian dochodziły głosy sąsiadów, zza okna wielkomiejski hałas. Nie tak to sobie wyobrażał. Pokoje niby błyszczące, a daleko im do Izydorowych izb.

W pokoju, w którym jedli śniadanie, na próżno szukał wzrokiem na ścianie świętego obrazu. Zadowoliliby go choć krzyżyk, ale i tego nie było. Nie najlepiej się czuł w tym nowoczesnym wnętrzu, otoczony nieznanymi sobie urządzeniami, mającymi ułatwiać życie.

Uważał, że takie rzeczy uzależniają człowieka i pozbawiają woli.

Skończył właśnie przeżuwać kromkę z masłem. Chleb i masło przywiózł ze sobą w prezencie. O ile z pieczeniem chleba uporał się łatwo, to nad masłem natrudził się co niemiara. Wiele lat temu, kiedy miał jeszcze więcej sił, a żona nie potrzebowała bezustannej opieki, z przyjemnością wieczorem doił krowę, żeby nazajutrz zebrać z mleka śmietankę. Po kilku dniach przetwarzał ją na biały ser i masło. Teraz, chcąc sprawić przyjemność bliskim, postanowił sobie

przypomnieć dawne czasy. Kupił od sąsiada kankę mleka i choć przy ubijaniu śmietany niejednokrotnie ogarniały go wątpliwości, czy uda mu się skończyć pracę, z samozaparciem pracował dalej. Może nikt już nie chce takiego chleba i masła, on jednak musiał je zrobić, bo miały być częścią tego, co chciał przekazać wnukowi i jego rodzinie. Izydor popił chleb herbatą i odsunął się od stołu.

- A damy radę dzisiaj wszystkich objechać?

Olgierd czuł się niezręcznie. Ciężka mu obecność dziadka; pluł sobie w brodę, że sam skazał się na jego towarzystwo i kłopotliwe objeżdżanie niby najbliższych, których nie znał i o których istnieniu jeszcze do niedawna nie miał pojęcia. Najchętniej prysnąłby teraz do biura. Bóg mu świadkiem, że dziś nie spławiłby żadnego najbardziej nachalnego petenta.

Niestety, było to niemożliwe.

Musiał wykonać zadanie, bo tak traktował wizytę dziadka. Dopiero po odstawieniu go do domu będzie mógł się zająć swoimi sprawami.

Szybko skończył jeść, ignorując wspomnienia smaków dzieciństwa, również wstał od stołu.

- Dziadku, daj te adresy, gdzie mamy jechać - poprosił.

- Dziadku, a ty niedługo umrzesz? - wtrącił się nagle mały.

- Marcin! - zbesztła synka Alicja. - Nie wolno zadawać takich pytań. To nieładnie.

Izydor uśmiechnął się.

- Ty i ja, smyku, jesteśmy w takim wieku, że nam wszystko uchodzi. Tobie jeszcze, a mnie już - powiedział, nie przestając szukać w kieszeni kartki, na której niezgrabnym pismem miał wypisane adresy rodzeństwa. Wreszcie ją znalazł i wręczył Olgierdowi.

- Zajrzyj do jakiej mapy, żebyśmy nie błędzili po drodze.

Olgierd sięgnął po palmtop zsynchronizowany z GPS-em, w który wyposażony był jego samochód, i zaczął szukać wymienionych miejsc.

Tymczasem Izydor zwrócił się do prawnuka, który opuścił już swoje krzesło przy stole i próbował włączyć się gościowi na kolana.

- Przyjechałem tu również do ciebie, smyku - zaczął z zakłopotaniem, bo mimo że wcześniej przygotował sobie przemowę, teraz miał w głowie pustkę. - Mam już swoje lata i pewnie nic ci nowego nie powiem, ale... - Nabrał tchu. Gdzie te wszystkie ładne zdania o rodzinnych więzach, o godności, o poszanowaniu pamięci? A uczciwość, wiara w Boga, posłuszeństwo wobec starszych, dążenie do realizacji marzeń? Jak najpiękniej pochwalić wieś i w jaki sposób powiedzieć o zmarłej żonie? Czy nie za mały ten smyk na opowieść o niemieckim żołnierzu i o tym, że ludzie są dobrzy, tylko zdarza im się popełniać błędy? Izydorowi zaszklily się oczy; wzruszenie ścisnęło go za gardło.

- Czy niedługo umrzesz? - powtórzył pytanie Marcin, badawczo przyglądając się dziadkowi.

Alicja otworzyła usta i dziecko to spostrzegło, bo natychmiast, jakby chcąc się usprawiedliwić, wypaliło, nie dając jej dojść do głosu:

- Bartek w przedszkolu powiedział, że każdy stary umiera i że jeśli było się dobrym, to idzie się do nieba, a jeśli złym, to do piekła. Mój dziadek też był stary, choć nie tak bardzo jak ten, i umarł razem z babcią.

Izydor pociągnął nosem, szukając w kieszeni chusteczki. Musiała gdzieś tam być, bo trafił na nią przypadkiem, kiedy szukał kartki z adresami. Znalazł wreszcie, nieco wymiętą, ale czystą. Pewnie któraś z córek ją wyprała.

Wycierał nos nieco dłużej, niż trzeba, po raz kolejny dziwiąc się w myślach słowu „dziadek” w odniesieniu do własnego syna. Ale tak, ten mały jest mądry, z pewnością zajdzie daleko. Jego słowa właśnie potwierdziły to, co stary od dawna przeczuwał, ale czego nie potrafił powiedzieć.

- Całe szczęście, że nie byłem taki mądry jak ty, kiedy miałem twoje lata - uśmiechnął się. - Bo bym miał za dużo do myślenia przy pasieniu krów. Taka jest kolej rzeczy, że starzy umierają, a na ich miejsce przychodzą młodzi. Pan Bóg jest mądry. On to wszystko dobrze wymyślił. Jak pójdziesz do szkoły, to będziesz się uczył o grawitacji. Ja skończyłem tylko siedem klas, ale to akurat dobrze zapamiętałem. Im większe ciało, tym cięższe i bardziej podatne na przyciąganie do ziemi. Mały człowiek, dziecko - to małe ciało. Im więcej lat, tym prawa ciążenia są większe. I nie daj się oszukać — powiedział, biorąc

małego za rękę - bo nie chodzi tutaj o wzrost i o wagę, tylko o ciężar myśli i przeżyć. Jak Pan Bóg napakuje człowiekowi tego dużo, a z wiekiem dawkuje coraz więcej i więcej, to potem nie ma rady - przychodzi czas, że ta grawitacja jest już tak silna, że człowiek coraz bliżej ziemi. I umiera, choć to jest tylko zmiana pewnego stanu. Bo jak już człowiek tak dużo wie, że więcej już nie musi, to ciało zaczyna ciążyć tak mocno, że nie ma innego wyjścia, tylko je porzucić. A jak już się wzbije wysoko, to jest na tyle mądry, że może opiekować się tymi, co zostali. I w ten sposób ludzie, którzy się kochają, zawsze się zabezpieczają. Chronią się nawzajem. Rodzą się dzieci i chronią rodziców przed pustką, a w tym czasie starsi z rodziny odchodzą. I na tym, smyku, polega życie. Na rodzinie. Wszyscy są razem, w jednym ciągu, choć zmieniają się osoby.

- To mój dziadziuś - zaprotestował Marcin - nie był jeszcze taki stary jak ty, a umarł.

- Bo niektórzy ludzie dostają od Pana Boga o wiele więcej w krótszym czasie niż inni. - Izydor pochylił głowę. - I wtedy wiedzą już tak dużo, że ich mądrość bardziej przydaje się gdzie indziej.

Objął dziecko i przytulił je mocno.

- Przyjechałem do ciebie, żeby powiedzieć ci jedną ważną rzecz, której ci nigdy nie mówiłem, bo jak cię widziałem ostatni raz, byłeś taki małutki, że zamiast słuchać, wrzeszczałeś na całe gardło.

Marcin popatrzył wyczekująco. - Kocham cię - powiedział stary i przytulił dziecko z całych sił.

Słowa, które padły tuż po śniadaniu, dały Olgierdowi do myślenia. Z minuty na minutę wszystko stawało się coraz trudniejsze; życie się komplikowało i Olgierd odczuwał coraz wyraźniejszy niepokój.

Kiedyś było tak dobrze, tak wygodnie: kup, sprzedaj, wylicytuj, poprowadź posiedzenie zarządu, złóż podpis, tego zwolnij, tamtego przyjmij, wytatuuj napis na czyjejs ręce, miej żal do wszystkich, nie czuj nic prócz żalu i nienawiści. Albo nie - nie czuj zupełnie nic, bo najbardziej wkurwia obojętność. Teraz nagle świat pieniędzy, transakcji finansowych i kłopotów w firmie stał się niemal nierealny, a rzeczywistość to były jakieś zasrane gołębie i relacje ojcowsko-synowskie.

Chciało mu się pić. Był zły, że - do tej pory zawsze tak dobrze zorganizowany i zapobiegliwy - tym razem nie przygotował się do podróży. Rozpraszała go obecność dziadka i te jego frazesy. Miał wrażenie, że wszystko staje na głowie.

Na poboczu zauważył znak: „Sklep - 500 metrów. Markowe rzeczy”.

Trochę dziwne, że akurat w tym miejscu, niemal na końcu świata, komuś opłacało się otworzyć firmowy sklep. Olgierd wątpił, by w tej okolicy było zapotrzebowanie na tego typu towar.

Może będzie tam jakiś przyzwoity dział spożywczy - pomyślał z nadzieją. Zwolnił i z uwagą wypatrywał zapowiedzianego sklepu.

Mijali jakąś wiochę. Na końcu zabudowań stał niewyróżniający się spośród innych budynków. Właściwie rudera. Tynk odpadający ze

ścian, żółty, wyblakły kolor.

Chwilę się wahał.

Mało prawdopodobne, żeby w takiej ruderze coś było. - Wzdrygnął się z obrzydzeniem, ale miał zbyt silne pragnienie. Szkoda, że nie kupił jakiegoś napoju na mijanej niedawno stacji benzynowej. Teraz musiał się przełamać i zajrzeć do środka.

W środku było gorzej, niż się spodziewał. Od wieków niemalowane ściany, stare, cuchnące zgnilizną regały i zniszczona lada sklepowa. Gruba sprzedawczyni odpędzała natrętne muchy.

- Ma pani wodę mineralną? Najlepiej z lodówki? - zapytał z wahaniem.

Niechętnie podniosła się z krzesła i wyszła na zaplecze.

- Jedną? - krzyknęła.

- Dwie - zaryzykował. Dziadkowi też mogło chcieć się pić.

- Proszę. - Postawiła butelki na ladzie.

Olgierd sprawdził termin ważności i szczelność zamknięcia. Wszystko wydawało się w porządku.

- Cztery złote - usłyszał.

Rzucił pięć złotych na ladę. Kobieta nabiła ceny na kasę i po chwili rozległ się brzęk otwieranej szufladki.

- A te firmowe rzeczy to tu? - zapytał, żeby coś powiedzieć.

- Firmowe? - Wytrzeszczyła oczy.

- No, markowe. Widziałem reklamę na drodze.

- Tu, a co?

- Nieładnie tak oszukiwać potencjalnych klientów i żerować na przejezdnych. W życiu bym się nie zatrzymał, gdyby nie ten kłamliwy szyld - powiedział ze złością.

- Popieprzyło się panu w głowie? - Nie pozostała mu dłużna sprzedawczyni. Rzuciła na ladę resztę w najdrobniejszych monetach, jakie znalazła w kasie. - Wielkie mi halo! - dodała z pogardą. - Wchodzi taki jak do siebie, kupuje wodę i ma się za wielkiego klienta. Klient nie nasz pan, proszę pana! Trzeba mieć klasę, żeby być kimś; nie wystarczą pieniądze!

- Co tu się dzieje? - dobiegł z zaplecza męski głos.

Bardzo dobrze. Pewnie jakiś kierownik. Choć szkoda było tracić czas na pogawędki, Olgierd postanowił złożyć skargę i utrzyć nieuprzejmej babie nosa.

- Marek! - krzyknęła kobieta w stronę zaplecza. - Chodź no tu, zobaczysz jaśnie pańcia, co się krzywi na nasz sklep.

- Niech pan tu przyjdzie - przyłączył się Olgierd.

- Słucham? - W drzwiach ukazał się mężczyzna około pięćdziesiątki, z małym wąsikiem w tandetnym ubraniu.

- Ta pani jest nieuprzejma, a lokal nie spełnia wymogów sklepu spożywczego. I w dodatku szyld kłamie - powiedział Olgierd. - Zamierzam to zgłosić do odpowiedniego urzędu.

- Chwila, chwila! - Obruszył się właściciel. - Niech se pan zgłasza to, gdzie się panu podoba.

Zapewniam pana, że mój szyld jest o wiele bardziej uczciwy niż te wszystkie reklamy w telewizji.

- Jasne. - Olgierd nie zamierzał już dyskutować.

W samochodzie czekał dziadek. Czas uciekał.

Wyszedł z rudery, trzaskając drzwiami. Wsiadał już do samochodu, kiedy dogonił go właściciel sklepu.

- Niech pan tu więcej nie zagłąda, nie potrzeba nam takich klientów - powiedział zdyszany. - Choćby pan miał z głodu zdechnąć, nie pan już u mnie nie dostanie!

Olgierd zatrzasnął drzwiczki samochodu i ruszył. Dopiero po kilku minutach jazdy otworzył butelkę wody i chciwie pociągnął z niej kilka łyków. Drugą podał dziadkowi.

Dodał gazu, byle co prędzej odjechać z miejsca, gdzie po raz pierwszy potraktowano go jak zwykłego śmiertelnika. To znaczy - po raz pierwszy od lat młodości, bo kiedyś była to norma. Jeszcze czuł złość na samo wspomnienie sklepu, ale z drugiej strony podziw dla właściciela. Był to pierwszy człowiek, który nie zgiął się w pas na jego widok.

„Trzeba mieć klasę, żeby być kimś”. Trzeba mieć skrzydła, żeby nie być wszą. Tylko gnida może myśleć, że wszystkie podobne do niej stworzenia są wszami.

Idiotyczne myśli rozplenily mu się w głowie jak chwasty. To od tego gorąca.

Woda podziałała na niego orzeźwiająco. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów przestał

zaprzątać sobie głowę nieprzyjemnym incydem. Zwłaszcza że musiał się skupić na dziurach, na których podskakiwał samochód.

Jadąc polną drogą, Olgierd czuł się bardziej niż kiedykolwiek zagubiony. Już nawet nie chodziło o to, że dziury nadwerężą zawieszenie w nowym służbowym samochodzie, a unoszący się wokół kurz upieprzy auto na amen. Przez głowę przeleciały mu wszystkie nudne filmy tak zwanej drogi, w której bohaterowie dokądś szli, żeby coś tam znaleźć. Nigdy nie obejrzał żadnego z nich do końca, gdyż szukanie odpowiedzi na abstrakcyjne pytania było stratą czasu.

Teraz sam czuł się jak aktor przemierzający wertepy, z tym że nie towarzyszyła mu żadna śliczna aktorka, tylko stary dziadek, który swoimi krótkimi wypowiedziami budził trudny do wytłumaczenia lęk. Na razie siedział w milczeniu, ale Olgierdowi wydawało się, że nawet w tej ciszy przewijają się sprawy, których bał się dotknąć i które go przerażały.

Nie chciał zmieniać swojego życia. Nie mógł sobie pozwolić na luksus zagłębiania się w kwestie metafizyczne, bo straciłby zdolność bezpiecznego poruszania się w dzikim gąszczu biznesu i codzienności. Nie stać go było na rozczulanie się nad drugim człowiekiem. Kto okazuje słabość, jest nikiem.

„Jesteś nikiem”. Jeśli chcesz być kimś, nie możesz być nikiem. Ale jeśli jesteś nikiem, zawsze jeszcze możesz stać się kimś.

Nie, to niemożliwe.

Olgierd zaczął czuć, że wariuje. Że jeżeli za chwilę nie zobaczy kawałka asfaltu, będącego dowodem na istnienie normalnej rzeczywistości, porzuci samochód z dziadkiem na środku pola i na piechotę wróci do swojego cywilizowanego gabinetu ze wszystkimi dobrodziejstwami nowoczesności. O ile nie jest już za późno.

Męczącą ciszę w samochodzie przerwał Izidor:

- Szczerze mówiąc, do tej wyprawy skłoniła mnie złość.

Olgierd nie odezwał się. Wyznanie dziadka wprawilo go w osłupienie. Spodziewałby się wszystkiego: wylewu miłości, ostatecznego pożegnania i innych podobnych frazesów, ale żeby złość? Trudno było uwierzyć, że aureola nad głową starca może mieć jakąkolwiek rysę. Jak na ironię, po tym niespodziewanym wyznaniu aureola jakby zaświeciła silniejszym blaskiem.

- Nie widziałem brata od prawie trzydziestu lat, to jest od śmierci naszej świętej pamięci matki. I tak mnie zabolalo, że nie przyjechał ani na pogrzeb mojego syna, ani na pogrzeb żony, że mam wielką ochotę go opieprzyć.

Olgierd milczał.

- Tak czy owak, myślę, że dobrze zrobiłem, bo dzięki nim jestem dziś w tym miejscu. Daleko jeszcze? - zmienił nagle temat.

- Według mapy zostały nam jeszcze jakieś dwa kilometry.

- Ładnie tu mają - znowu odezwał się stary. - Jednak co wieś, to wieś. Człowiek czuje, że żyje.

Jak się nawet narobi w polu tak, że wszystko go boli, to i tak jest zadowolony, że to czuje. - Przerwał na chwilę. - Ale im bliżej jesteśmy, tym bardziej się wzruszam, że za chwilę zobaczę swojego brata. Szkoda, że ty nie masz swojego; byłoby ci źlej.

- Łzej? - zdumiał się Olgierd. - Bo miałbym kogo opieprzać?

- No właśnie. Nie rozumiesz. Brat może brata opieprzyć i nie ma w tym nic złego. Tak to już jest w życiu, że ktoś musi czasem postawić człowieka do pionu. Mnie też by się przydało. - Uśmiechnął się, próbując rozprostować plecy. - Ale dziś nie będzie żadnych wymówek. Szkoda już na to czasu. A w młodości tośmy się stale kłócili. Rywalizowaliśmy jak dwóch głupków. Każdy chciał być lepszy. Szkoda, że Marcin nie ma brata. Moglibyście się z Alą postarać.

- Jesteśmy prawie na miejscu - z ulgą powiedział Olgierd, pomijając ostatnią uwagę Izzydora. Stali przy starej, choć murowanej chałupie otoczonej drewnianym płotem. Automat z systemu GPS informował beznamiętnym tonem: jesteś u celu, jesteś u celu.

Od tamtej nocy, kiedy rozmawiał z Biznesmenem, Tomek stał się innym człowiekiem.

Przede wszystkim e-maile. Wiedział już, jak tamten się nazywa, więc po przepuszczeniu danych przez przeglądarkę internetową zdobył informacje o jego pracy, wieku i tak dalej.

Znalazł nawet jego zdjęcie, ściągnął sobie fotografię na pulpit i często patrzył tamtemu w oczy.

Z wdzięcznością.

Oglądając po raz pierwszy przysłane zdjęcia, nie rozumiał, jaki tamten miał cel w ich przysłaniu. Prawdopodobnie miały go skłonić do przyjazdu do Warszawy. Miały być prowokacją, a stały się wyzwoleniem.

Po ich obejrzeniu powinien dać tamtemu po mordzie, a miał ochotę go uściskać i wycalować.

Nie od razu zrozumiał, że na ekranie monitora wyświetlają się złapane w obiektyw kadry z feralnej nocy w parku. Przecież nie miał pojęcia, że wlecze się za nim anioł stróż. Może nawet dwóch, bo jednym na pewno był ten z aparatem fotograficznym. Musiał to być bardzo dobry sprzęt, bo zdjęcia były zrobione w wysokiej rozdzielczości. Na jednym Tomek leżał w jakichś krzakach; gdyby nie ubranie, pewnie by się nie rozpoznał. Drugie zdjęcie uchwyciło go w nienaturalnej pozie. Chyba to wtedy wyżywał się na niewinnej ławce. Kadr obejmował najbliższą okolicę i nie było w nim rannego człowieka. Z drżeniem serca Tomek zrobił zbliżenie. Trzecie zdjęcie wyrwało mu z gardła szloch. Kamień dźwigany przez ostatnie tygodnie spadł mu z serca. Na tym zdjęciu nieopodal ławki leżał człowiek. Tylko jeden; on sam, Tomek. Czwarta i ostatnia fotografia potwierdziła to, w co jeszcze trudno mu było uwierzyć - obcy człowiek, którego Tomek uznał za ofiarę swojej furii, szedł w kierunku ławki.

Nazajutrz po otrzymaniu e-maila zdobył się na odwagę i poszedł z nagranyymi na płytę zdjęciami na posterunek policji. Opowiedział o zajściu w parku i swoim telefonie na pogotowie.

Po kilku dniach wezwano go na komendę w celu złożenia dodatkowych wyjaśnień. Jak się przy okazji dowiedział - człowiek z parku był bezdomnym, dobrze znanym policji. Ustalono, że tego wieczoru brał udział w libacji i tam uczestniczył w bójce. Prawdopodobnie obecność Tomasza w parku i wezwanie karetki ocaliło tamtemu życie. Sprawa była wyjaśniona i zamknięta.

Tym sposobem Biznesmen przywrócił Tomkowi wiarę. W przyrodzie nic nie ginie; co najwyżej zmienia miejsce i kształt. Chłopak uratował bezdomnego, a sam został uratowany przez Olgierda. Bo przecież chodziło również o zmianę, jaka dokonała się w nim w ostatnich tygodniach.

Może zresztą TO dokonało się w nim o wiele wcześniej, tylko tego nie zauważył. Tej nocy, kiedy pogrążony w depresji wpadł w Internecie na faceta, który nakazał mu wytatuować napis, kiedy zobaczył w nim nie cholernego gnoja gardzącego innymi, ale zagubionego człowieka, w pierwszym odruchu chciał mu pomóc, ale już po chwili ogarnęła go chęć, by przyłożyć tamtemu za wszystkie miesiące, które zmarnował, zadrażając się tatuażem. Pamiętał, że nie zgodził się podać tamtemu ręki, ale sam już nie był do końca pewien, czy z wielkoduszności, czy - wręcz przeciwnie - z nienawiści.

Tamten wręcz, o to błagał, Tomek właściwie chciał zrobić ten gest, ale zabrakło mu odwagi.

Może nie uściśnął wirtualnej dłoni, gdyż nie był gotów na przebaczenie? Dostrzegł w sobie małostkowego, uzalającego się nad sobą człowieka, który zasługuje na to, co go spotkało.

Wcześniej odsuwał od siebie myśl, że napis może być przesłaniem skierowanym wyłącznie do niego. Myślał, że jest szlachetny, nie chcąc przekazywać przesłania innym, ale to też świadczyło tylko i wyłącznie przeciwko niemu. Było tak, jakby z góry zakładał, że inni ludzie są gorsi i że należy im oszczędzić wyjawienia gorzkiej prawdy.

To wszystko świadczyło przeciwko niemu i choć obiecywał sobie zlikwidować tatuaż natychmiast po wygaśnięciu umowy, kiedy nadszedł ten dzień, po prostu zmienił zdanie.

Teraz już wiedział, że tatuaż jest zwykłym, perfidnym kłamstwem, może nawet idiotycznym żartem, który miał sprawdzić jego stosunek do drugiego człowieka. Tego egzaminu nie zdał za pierwszym podejściem i dopiero po straconej nocy w Internecie zrozumiał, jak bardzo się mylił w ocenie innych. Czuł jednak, że ma szansę naprawić swój błąd. Że teraz, kiedy otarł się o prawdę o drugim człowieku.

Tamten... Przecież nie musiał być zły. Nie był cholerną Ilse Koch, która wybierała sobie co ładniejsze wytatuowane fragmenty skóry u więźniów obozu koncentracyjnego i kolekcjonowała zrobione z nich abażury, torebki czy rękawiczki. Facet dawał kasę tym, którzy się o to

prosili, i oczekiwał wytatuowania paru liter. Może nie miał odwagi na inny rodzaj buntu? Kto wie zresztą, co mu chodziło po głowie?

Olgierd wyskoczył z samochodu, chcąc mieć wizytę jak najszybciej za sobą. Otworzył drzwi od strony pasażera i pomógł dziadkowi wygramolić się na zewnątrz. Izydor próbował się rozprostować na tyle, na ile pozwalały mu stare kości.

Stał przed małym, zniszczonym domkiem, który bardzo przypominał mu dom rodzinny. Jeszcze kilka minut temu dręczyła go myśl, czy zdoła podczas tej niespodziewanej wizyty ukryć wszystkie nagromadzone wyrzuty. Podczas pierwszej i prawdopodobnie ostatniej wizyty w tym domu powinien przecież zachować się godnie.

Minął furtkę i wspierając się na lasce, pokonał małe schodki. Stanąwszy na ganku, przez długą chwilę próbował wyłować jakieś odgłosy z wnętrza potwierdzające obecność domowników, po czym zapukał w drewniane drzwi, z których zeszła już prawie cała farba, i nie doczekawszy się reakcji, bezradnie zaczął szukać wzrokiem Olgierda. Ten stał przy furtce, przestępując z nogi na nogę. Nie wypadało mu nie wejść do środka, ale nie miał na to ochoty. Widząc niepewność starego, ruszył w jego stronę.

- Pewnie przyjechaliśmy nie w porę - zaczął Izydor. - Może w pole poszli.

Olgierd wyciągnął rękę i zapukał ponownie, tym razem głośniej.

Odczekali trochę i już mieli zawrócić do samochodu, kiedy ze środka dały się słyszeć powolne kroki. Olgierd usłyszał je pierwszy i odetchnął z ulgą, że cała ta podróż w nieznane miała jednak jakiś sens.

Drzwi zaskrzypiały i na progu stanął stary człowiek.

Przez chwilę trwali w milczeniu; zaskoczony gospodarz z niedowierzaniem przenosił wzrok z jednego gościa na drugiego. W jego oczach pojawiło się wzruszenie.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - trochę za głośno powiedział Izydor.

- Gość w dom, Bóg w dom - piskliwie, załamującym się głosem odrzekł gospodarz.

Olgierd patrzył, jak dziadek podchodzi do brata i obejmuje go ramieniem. Trwali przez długą chwilę w nieporadnym uścisku: dwaj starzy mężczyźni, bracia, którzy nie widzieli się od lat. Złączeni więzami krwi, bliscy sobie, mimo bójkę w dzieciństwie, mimo zazdrości o względy matki, mimo wieloletniej rozłąki.

Teraz, u schyłku życia, znowu byli choć przez chwilę razem, jak wtedy, kiedy stali u jego progu i zanim doszli na rozstaje, na których ich drogi się rozeszły. Ci dwaj, z jednej matki i jednego ojca, mieli coś, czego Olgierd nie znał i czego istnienia do tej pory nie przeczuwał. Braterskie więzy, których nie można zerwać, lecz co najwyżej poluzować, i wspólny początek.

Wreszcie gospodarz rozluźnił uścisk. Gestem zaprosił gości do środka i podsunął im zniszczone krzesła. Sam podreptał do kuchni, żeby

nastawić wodę na herbatę.

- A reszta rodziny gdzie? - zapytał Izydor, wpatrując się w oleodruk wiszący również w jego własnym domu.

- Helena w szpitalu, a córka z zięciem w robocie - dobiegła ich odpowiedź przygłuszona skrzypieniem drzwiczek kredensu.

- A co jest twojej żonie, że ją wzięli do szpitala?

- Starość - odpowiedział brat Izydora, stawiając na stole talerzyk z herbatnikami. - Idę po herbatę - dodał, zawracając do kuchni.

Czajnik zaczął gwizdać i Olgierd zastanawiał się, czy nie powinien pomóc gospodarzowi. Uznał jednak, że mogłoby to zostać źle odebrane: nie jako chęć pomocy staruszkowi, ale jako potwierdzenie jego niedołęstwa. Nie zamierzał się wychylać, jeśli nie zostanie o to poproszony.

Herbata parowała z trzech szklanek, kiedy gospodarz przysunął sobie krzesło i dołączył do niezapowiedzianych gości.

- Wiem, że masz żal, żeśmy nie przyjechali na pogrzeb - zaczął. - Ale Helena już wtedy leżała, a zięć nie mógł wziąć wolnego, żeby mnie do was zawieźć.

Izydor patrzył na brata i przyszło mu do głowy, że co się stało, to się nie odstanie, i szkoda czasu na wymówki. Pogrzeb żony był już przeszłością.

- Wreszcie jesteś wyższy ode mnie, zauważyłeś? - zapytał z uśmiechem. - Tak ci zawsze zależało, żeby mnie przegonić, no i się wreszcie doczekałeś. A w polu macie już wszystko zrobione?

- zmienił temat.

- Pola nie ma. Dobrze, że to nie była ojcowizna, boby mi serce pękło, jak młodzi zdecydowali, żeby na posady pójść.

- U mnie było podobnie. Nikt nie chciał zostać - pozalił się Izydor.

- Jak już siły nie mieliśmy - kontynuował brat - to przepisaliśmy wszystko na dzieci. A oni ciągle gadali o tym, że teraz nie opłaca się żyć z grzebania w ziemi, jak tej ziemi nie ma wiele. I że ciągle potrzebne nowe maszyny, że modernizacja... I wnuki chciały mieszkać w mieście, więc jaki sens trzymać coś odłogiem, jeśli inni mogą mieć lepsze życie? Uprosiłem tylko, żebyśmy zostawili kawałek za domem, i reszta poszła do bogatszego gospodarza. - Zamyślił się. - Może to i lepiej - dodał po chwili. - Jak kto bez serca ma pracować na ziemi, to nic mu nie wyrośnie. A teraz tam przynajmniej ruch: nowy gospodarz każdy skrawek ma obsiany.

- Pewnie i moją chałupę oddadzą obcym, jak umrę - rzekł w zamyśleniu Izydor. - Pewnie nie będzie im się chciało koło tego wszystkiego chodzić. Nie przyjdzie im do głowy, że jak my umrzemy, a oni to wszystko rozdadzą, to nie będą mieć korzeni. W betonie nic nie urośnie.

- Choćby wszystko rozprzedali, my i tak dostaniemy swoje. Dwa metry na jeden, skrawek, jaki się każdemu należy.

- Co racja, to racja. - Izydor pokiwał głową.

- Ale szkoda, że wszystko przechodzi w obce

ręce. Że naszym nie zależy na tym, żeby coś zostało. A dzieciaki jak wam się chowają? - Nagle zmienił temat. Przecież nie można w kółko gadać o przyszłości, kiedy jeszcze rządzi teraźniejszość.

- Dzieci dobrze. Dał Pan Bóg, że siwieją, a to znaczy, że życie toczy się normalnym trybem. A twojego Bóg zabrał, słyszałem.

- Duży był chłop i swoje w życiu przeszedł; przykro być na pogrzebie własnego dziecka.

Olgierd w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. Jakikolwiek temat by poruszyli, wszystko kończyło się na śmierci.

Jego obecność nie przeszkadzała starcom; chyba go nawet nie dostrzegali.

Dziwne, siedział teraz w jakiejś rozpadającej się chałupie prawie obcego człowieka, którego nigdy wcześniej nie widział na oczy. Ten stary był tak daleko, a jednak tak blisko. Obcy, ale swój; zupełnie jak jego dziadek. Olgierd pożałował, że nie ma brata. Rodzice zawsze mu tłumaczyli, że to dla jego dobra, że gdyby miał brata czy siostrę, straciłby wymaginowane przywileje, bo wszystko trzeba byłoby dzielić na dwoje. Teraz widział wyraźnie, że nie mieli racji. Owszem, trzeba się dzielić zabawkami czy kieszonkowym, ale i smutki można podzielić po połowie. On, Olgierd, u schyłku życia nie będzie miał z kim porozmawiać o skrawku ziemi dwa metry na jeden. Ci dwaj byli wyraźnie pogodzeni, ze sobą i z nieuchronnością śmierci. Choć ich drogi kiedyś się rozeszły, widać było, że toczyły się równoległe i oto znów się spotkały.

Zachciało mu się palić. W skrytce samochodowej miał chyba zapasową paczkę papierosów. Odsunął krzesło od stołu i wstał, zwracając na siebie uwagę braci.

- Idę na chwilę na dwór - powiedział, nie wspominając o papierosach. Dobrze pamiętał, że dziadek nie lubił palenia, i obawiał się zrzędzenia na ten temat w drodze powrotnej.

Kiedy dotarł do auta, poczuł, że chce stąd uciec. Gorączkowo szukał paczki i myślał, że wystarczyłoby przekręcić kluczyk w stacyjce i odjechać, żeby pozbyć się tej dziwnej aury... Nie starczyło mu jednak odwagi.

Wyjął papierosa i odchodząc za wielkie drzewo, żeby dziadek przypadkiem go nie zauważył, zaciągnął się głęboko. Kiedy już wróci do domu, będzie musiał sprawdzić, czy nie ma żadnych wiadomości dla tego Amerykanina. Byłoby fajnie, gdyby to były dobre wiadomości.

Nagle przestało mu się spieszyć. Świergot ptaków i sielskie odgłosy wsi przywołały dziwne uczucie, jakby czas stanął w miejscu. Gdyby mógł, położyłby się teraz na trawie, zmrużył oczy i cieszyłby się chwilą. Zupełnie jak wtedy, kiedy był kilkuletnim chłopcem. Może tylko z tą różnicą, że teraz by nie planował, nie wyobrażał sobie przyszłości. Ważna byłaby tylko ta chwila, tu i teraz, podczas której na całym świecie ludzie się kłócą, kochają, biegną nie wiadomo gdzie i nie wiadomo za czym. Jedni się rodzą, inni umierają, jeszcze inni, jak ci dwaj w chałupie, siedzą twarzą w twarz pogodzeni ze starością, otwarci na inny świat, w niewielu słowach

wyrażający ostateczne pożegnanie.

Trzeba mieć wszystko albo nie mieć nic, żeby umieć odejść.

Iga nie miała ochoty nigdzie iść dzisiejszego wieczora, ale przyjaciółki ze studiów były nieugięte. Zapowiedziały się już kilka dni temu; w końcu okazja była nie byle jaka. Dwudzieste piąte urodziny Igi. Gdyby odmówiła „pójścia w miasto”, wykręcając się chorobą, na pewno zwałyby się do jej wynajmowanej kawalerki. Tłumaczenia typu nawał pracy czy coś w tym stylu nie wchodziły w rachubę.

Z dwojga złego wolała już jakąś knajpę. Z lokalu można przynajmniej wyjść o dowolnej porze i uciec do swoich czterech kątów. Najchętniej w ogóle by ich nie opuszczała. Dopiero co wróciła z pracy i czuła zmęczenie w każdym mięśniu, w każdej kości. Nie jest łatwo być małym państewkiem i bez sojuszników zmagać się z życiem; jednak jest to prostsze, niż trwać w państwie dwuosobowym i oprócz przetrwania walczyć również o niepodległość. Iga przestała już żałować rozstania ze swym władcą i tylko czasem, w półśnie, poddawała się tęsknocie za kimś, kto dzieliłby z nią wąski tapczanik.

Teraz jednak nie zamierzała sobie zaprzętać tym głowy. Po krótkim prysznicu wyjęła z szafy świeże ubranie. Naciągnęła brązowy golf i ciemne spodnie, włosy związała w kucyk, pociągnęła

usta nawilżającym błyszczkiem i narzuciwszy na ramię torebkę, wybiegła z mieszkania. Miała szczęście; udało jej wskoczyć do tramwaju na chwilę przed zamknięciem drzwi. Patrząc przez szybę, współczuła tym, którzy zatrzymani przez czerwone światło na przejściu dla pieszych, patrzyli teraz na tył oddalającego się tramwaju. To było normalne w tym mieście: wieczny pęd do przyszłości, jakby terażniejszość była tylko nie oznaczającym czasem przeszłym. Iga również uczestniczyła w tym wyścigu i nie zastanawiała się, czy warto. Nigdy nie miała na to czasu; a w nielicznych chwilach wytchnienia była zbyt zmęczona.

Z ulgą wysiadła nieopodal Starówki. Swoim zwyczajem podzieliła się zawartością drobnych z zebrzącymi na ulicy. Mijając kolejne puszkę na pieniądze i wyciągnięte dłonie, wypatrywała tamtego od grawitacji. Tego, który nieświadomie podsunął jej pomysł oddania długu. Nie znalazła go; widać przeniósł się w jakieś inne miejsce.

Lokalik, w którym była umówiona, powoli budził się do życia. Pełną formę osiągnie dopiero w późnych godzinach wieczornych, kiedy wypełnią go żądni zabawy ludzie. Teraz, wczesnym wieczorem, można było spokojnie usiąść i pogadać.

O ile jeszcze przed godziną perspektywa spotkania niezbyt ją zachwyciała, teraz, przekraczając próg, Iga była zadowolona. Przyjaciółki już na nią czekały, popijając czerwone wino.

W towarzystwie dawno niewidzianych koleżanek, z których każda miała sporo do opowiedzenia o swoich pierwszych krokach w samodzielnym życiu, wieczór mijał całkiem przyjemnie.

Może było mi potrzebne takie spotkanie przy blasku kawiarnianej świecy i podanej pod nos kolacji, pomyślała.

Z tortu wszystkie zrezygnowały. Po pierwsze - ze względu na linię, po drugie - były już najezdzone.

- Dziewczyny, mam pomysł - powiedziała jedna, dopijając wino. - Nie zamawiamy następnego. Chodźmy na spacer albo jeszcze lepiej - skoczmy do knajpy na Pole Mokotowskie. Takie tawerniane klimaty z krzakami to jakby namiastka wakacji. Co prawda jutro będzie ciężko zwlec się z łóżka i doczołgać do roboty, ale kiedy nam się trafi następna taka okazja?

Idze szumiało w głowie. Miała ochotę zaoponować, ale już po chwili, po uregulowaniu rachunku, bezwolnie dała się pociągnąć w stronę przystanku.

- Cholera, całe moje życie składa się z jakichś przystanków - powiedziała nagle.

- To się skończy, jak bogato wyjdiesz za mąż i przesiądziesz się w jakieś zgrabne auto - zaśmiała się któraś. - Musisz się tylko bardziej postarać. No wiesz, jakaś kiecka zamiast spodni, buty na obcasie, tusz do rzęs...

- Myślicie, że o to w życiu chodzi? - zaprotestowała. - Wypiąć biust, kręcić tyłkiem? Tego oni chcą?

- Pewnie nie wszyscy, ale znajdźcie mi takiego, któremu na tym nie zależy - usłyszała odpowiedź.

- To po co nam te studia, to całe gadanie o kulturze, te wszystkie wiersze o miłości, skoro wszystko się kręci wokół paru ruchów frykcyjnych?

- Ej, chyba za mało wypiął, że cię wzięło na takie smuty. Prokreacja to jest to, co napędza życie. Bez kiecki i czerwonej szminki już dawno bylibyśmy wspomnieniem, jak dinozaury. Pytanie tylko, czy miały nas kto wspominać...

- A jeśli ja się na to nie godzę? No wiecie, na to całe podlizywanie się, upiększanie, golenie nóg po to tylko, żeby przetrwać?

- O rany, ona naprawdę powinna się jeszcze napić. Pomyśl, jaką wolę przetrwania miał człowiek w obozie koncentracyjnym. Zniósłby wszystko, żeby przeżyć. A ty masz proste reguły i w dodatku wszystkie potrzebne atrybuty w zasięgu ręki, żeby się urządzić. Tylko czasu coraz mniej - zaśmiały się. - A studia to tylko krótka jazda pomiędzy dwoma przystankami, jeśli już w ten sposób na to patrzysz. Czy dotyczą kultury, czy kabelków, to już obojętne. Choć pewnie przy kabelkach łatwiej byłoby znaleźć męża. - Zachichotały.

Iga była innego zdania. Życie na własny rachunek zmieniło ją. Zmienił się jej sposób patrzenia na świat, a może nareszcie przestała patrzeć cudzymi oczami. Już nie godziła się na pochlebstwa czy umizgi. Roześmiała się w duchu ze swego pomysłu wylicytowania własnego ciała. Nie można się sprzedać nawet najbliższej osobie. Szczególnie najbliższej.

Rozmowa z przyjaciółkami zirytowała ją, ale głupio jej było wycofać się teraz ze wspólnej jazdy do tawerny. Chciała, żeby tamte się myliły w swojej ocenie świata, ale doskonale zdawała sobie sprawę, że człowiek atakowany reklamą narzucającą pewien styl życia może łatwo przyjąć cudze poglądy i traktować je jako swoje własne. Sama to kiedyś przeżyła. Wizja świata narzucanego choćby przez kolorowe kobiece pisma mówiła sama za siebie. Trzeba być ponętną, uwodzicielską, wzbudzającą pożądanie.

Nie będę mieć dzieci - pomyślała, choć nie miała odwagi wypowiedzieć tego na głos.

Dotarły do knajpy. Cztery kobiety, które łączyło wspomnienie wspólnych lat pomiędzy przystankiem dzieciństwa a przystankiem dorosłości. Teraz chciały oderwać się na chwilę od ciągłej pogoni za lepszym życiem.

- A jednak są ludzie, którzy w tym pędzie oglądają się bezinteresownie na innych - powiedziała Iga do siebie, wspominając wirtualnego Biznesmena.

Nareszcie w domu. Olgierd był zmęczony, ale to uczucie było niczym w porównaniu z niepokojem, jaki obudziła w nim wspólna podróż z Izydorem.

Nie wrócił wtedy do chałupy. Nie chciał przeszkadzać starcom.

Nic tam po mnie - uznał, myśląc z przygnębieniem, że pewne sprawy są nieodwracalne.

Ojciec w pewnym sensie miał łatwiej. Bach, bach, i już po wszystkim, bez tych wszystkich

pożegnań, przeprosin i myślenia o rychłej śmierci. Ciągłe myślał o pożegnaniu braci na ganku - być może pożegnaniu na zawsze.

Kiedy już ruszyli, a gospodarz wsparty na ławce patrzył na oddalający się samochód, Olgierd miał chwilę słabości - zapragnął zawrócić i podarować im jeszcze trochę wspólnego czasu.

Izydor jednak się nie obejrzał, siedział jakby trochę przygaszony, ale uważny obserwator znalazłby w jego oczach iskierki radości.

Zostali im jeszcze dwa domy.

Jeden, według Olgierdowego GPS-a, znajdował się jakieś trzydzieści kilometrów od domu brata Izydora. Musieli tam pojechać za jednym zamachem, żeby nie przeciągać wyprawy w nieskończoność.

Wizyta u drugiego brata wyglądała nieco inaczej. Gwar niemal całej licznej rodziny, której Olgierd nie znał, a która ponoć zmieniała mu kiedyś pieluchy, przytłumił przygnębiający nastroj pożegnania.

Trzeci i ostatni dom mieli odwiedzić naza jutrz; Olgierd marzył o tym, by jak najszybciej rzucić się na łóżko i spać. Izydor uciał sobie krótką drzemkę już w drodze powrotnej, jednak po jego zoranej zmarszczkami twarzy było widać, jak wiele wysiłku kosztowała go dzisiejsza podróż.

- Dobry z ciebie chłopak - powiedział, kiedy dojechali już pod segment Olgierda. - Tyle radości dzięki tobie mnie spotkało, bo na starość człowiek jest bezradny jak niemowlak zaplątany w pępowinę matki ziemi.

Kiedy Olgierd pomagał mu wspiąć się po schodach do sypialni, wyraźnie czuł, ile trudu kosztowała starego ta wspinaczka.

- Olgierd - usłyszał, kiedy zamierzał się wycofać z powrotem na dół. - Jestem dumny, żeś wyrósł na takiego dobrego człowieka...

Izydor przymknął oczy. Jutro odwiedzi ostatni dom. Jeszcze tyle rzeczy powinien zrobić! Najważniejsze, że udało się z gołębiami i kotem. Reszta da sobie radę. Dzieci są młode i mają siłę napędową w postaci swoich następców. Otrząsną się szybko, zrozumieją. Zza zamkniętych drzwi słyszał oddalające się kroki. Prawie takie same jak tego niemieckiego żołnierza na warcie.

Był dzisiaj taki zmęczony, zupełnie jak wtedy, kiedy kopali ten dół. Obce odgłosy zza okna tworzyły jakąś dziwną aurę.

Izydor nagle poczuł, jakby znowu znalazł się w baraku.

- Kto idzie? - usłyszał jakiś głos.

Nie miał siły wstać. Gdzieś poza nim toczyło się życie, ale wydawało się to teraz tak nierealne, nierzeczywiste, jakby było nieprawdziwe. Do lasu było tak daleko... Nie da rady się przedrzeć, jest przecież taki zmęczony...

Pod powiekami zaczęły się przesuwać znajome obrazy. Krzyż syna, uśmiechy córek, które z jasnowłosych dziewczynek stały się posiwiałymi kobietami, dom i miejscowy cmentarz, na którym leżała ona...

Obrazy zaczęły się tasować jak karty i stary człowiek pojął, że to talia jego życia, której nie da rady już dłużej utrzymać w dłoni.

- Kto idzie? - Głos w baraku był teraz jeszcze wyraźniejszy.

Nie był pewien, czy ktoś się podniósł. On sam już nie miał sił, naprawdę.

Taka ucieczka może się udać najwyżej raz w życiu. Poza tym... Poza tym tak dobrze byłoby wreszcie przestać walczyć z siłą grawitacji...

Olgierd zszedł na dół po laptop i cicho wrócił do gabinetu. Wszyscy spali i choć zaraz po powrocie sam padał z nóg, słowa dziadka wstrząsnęły nim i odebrały nadzieję na sen.

„Jestem taki dumny, żeś wyrósł na takiego dobrego człowieka”.

A może powinno być: „jesteś nikim”?

Czy nie na takie słowa zasłużył?

Ukrył twarz w dłoniach. Tak bardzo pragnął, aby słowa wypowiedziane przez starego były prawdą, ale dopóki pozostawało tak wiele niezłatwionych spraw, nie mógł w to uwierzyć.

Było mu wstyd, że przez niemal całe życie dawał się ponosić nienawiści. Że nigdy nie pomyślał, że każde drzewo ma swoje korzenie głęboko w ziemi. I że te korzenie są łącznikiem pomiędzy tymi, co żyją, i tymi, co odeszli.

Otworzył laptop i odszukał listę swojego banku ludzkich części.

Babcia przez lata nie miała nóg i na swój sposób była szczęśliwa; on miał ich nadmiar i teraz palił go wstyd.

Nie zastanawiał się, czy powinien prosić o wybaczenie. Wiedział, jaka jest odpowiedź. Znał ją, jak i wiele innych, które po czasie spędzonym w towarzystwie starego wypełzły nagle na wierzch i Olgierd nie chciał się już przed nimi bronić.

Szybko napisał kilka przepraszających słów. To nie było w jego stylu, w jego starym stylu, który teraz wydał mu się żalony i kiczowaty. Wiedział, że aby móc jutro spojrzeć dziadkowi w oczy, musi się jak najszybciej uporać ze wstydliwą przeszłością.

„Przepraszam”, to pierwszy krok. Potem, jeśli oni mu pozwolą, będzie miał szansę na zadośćuczynienie. Skrzynka, wysyłając wiadomości, w zamian wrzuciła mu jedną nową.

Mail od Amerykanina, który - jak się okazało - wiedział już więcej o całej rodzinie niż wszyscy miejscowi razem wzięci. Obcy gość, któremu chciało się wszystko poskładać do kupy i zbudować drzewo.

Na jego niekompletnych jeszcze gałęziach Olgierd odszukał tych, których znał. Ze zdziwieniem znalazł braci dziadka. Całe szczęście, że właśnie dziś u nich był; mógł sobie teraz przypomnieć drewniane płoty i ściany izb poprzystrajane starymi obrazami. Z niedowierzaniem patrzył na nazwisko tych drugich Szczepankiewiczów ze wsi dziadka. Zawsze mu się wydawało, że nie są rodziną, a tymczasem osiem pokoleń wstecz dał im życie jeden człowiek. Z niego

zrodzili się dwaj bracia. Z tych dwóch kilku następnych, potem jeszcze kolejni. Porozłazili się po świecie, pozamykali w swoich domach, w swoich małych sprawach.

A Olgierd był przekonany, że historia go nie dotyczy. Dotąd czuł się wyrwany, rzucony na wiatr, osobny. Jutro, kiedy po ostatniej wizycie będą wracać na wieś, musi się koniecznie dowiedzieć, jak dziadek i babcia przeżyli wojnę. Musi zapytać o to drzewo, które wyświetliło się w skrzynce e-mailowej. Musi poznać szczegóły, które scalały to wszystko i powołają każdą jednostkę do życia. Nawet jeśli to życie już przeminęło.

Zawstydził się, że dotąd mijał wszystkich na ulicy jak obcych.

I najważniejsze.

Olgierd wstał i pogasiwszy wszystko, wyszedł z gabinetu. Odruchowo ruszył do pokoju gościnnego, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Cicho uchylił drzwi do pokoju Marcina. Chłopiec spał, równo oddychając. Był taki mały, taki bezbronny. A jednocześnie tyle czasu uciekło z jego pierwszych lat, czasu, którego nie da się nadrobić... Czy będzie miał kiedyś okazję uściśnąć dłoń swojego brata? Powinien mieć, zdecydowanie.

Olgierd nacisnął klamkę i wślizgnął się do sypialni. Oddech Alicji był nienaturalnie cichy. Wsunął się do łóżka. Ciepło bijące od ciała żony podziałało na niego uspokajająco. Poczul się tak, jakby wrócił do domu po długiej i męczącej podróży.

Delikatnie przysunął się do Alicji i objął ją ramieniem. Jego palce wplątały się w długie włosy.

Były zupełnie inne w dotyku niż włosy matki. Miększe?

- Przepraszam - szepnął i po chwili zapadł w głęboki, niespokojny sen.

Było już bardzo późno.

Iga od dawna nie piła alkoholu i teraz było jej niedobrze. Zespół w tawernie zrobił sobie przerwę w graniu i gwar coraz bardziej podpitych gości wydał się Idze niemal ciszą. Postanowiła wyjść przed lokal, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Prawie wszystkie ławki były zajęte. Wreszcie znalazła jedną na uboczu, nieoświetloną.

Wyjęła z torebki komórkę i zadzwoniła do radio-taxi. Za dziesięć minut przyjedzie taksówka, za dwadzieścia pięć Iga znajdzie się w domu. Z knajpy napłynęła muzyka, co oznaczało, że zespół po krótkiej przerwie wrócił do grania. Nie powinna odchodzić bez pożegnania, ale może jutro jakoś się wytłumaczy. Jeśli oczywiście koleżanki zwloką się z łóżek, bo dziś żadna z nich nie wylewała za kołnierz. Nie musiała się o nie martwić. Mieszkały blisko siebie i Iga była pewna, że bezpiecznie wrócą do domu. Jeśli wrócą, bo na razie ciągle były w ferworze zabawy.

- Hej, mała, mogę się przysiąc?

Igę w jednej chwili opuściło zmęczenie. Przeszedł ją dreszcz i nie potrafiła ruszyć się z miejsca. W tawernie śpiewali właśnie refren jakiejś

bluesowej piosenki.

Na ławkę obok niej opadł chwiejnie Mariusz. Nie odezwała się, siedziała jak sparaliżowana.

- Fajna muza - wybełkotał.

Na usta cisnęło jej się mnóstwo słów. Wyrzutu, żalu... Wiele razy wyobrażała sobie moment ponownego spotkania. Miała w głowie całą masę przeciwicznych zdań, a teraz nie pamiętała żadnego.

Zresztą po co?

- Jak ci na imię, mała? - Gdyby nie przeżyła z nim kilku lat, nie zrozumiałaby, co mówi. - Może byśmy poznali się bliżej?

- Kasia - rzuciła pierwsze imię, jakie przyszło jej do głowy.

- Kasiu - spróbował ją objąć ramieniem. - Jesteś bardzo ładna, wiesz?

Żałosne - nie poznał jej po głosie.

- Cóż, twoja strata - szepnęła, strząsając jego dłoń z ramienia. - Może innym razem - dodała jeszcze i widząc nadjeżdżającą taksówkę, wstała z ławki i poszła w jej kierunku.

W gabinecie nie było nikogo poza nim i facetem, który kiedyś robił mu tatuaż.

Było jeszcze zbyt wcześnie, żeby salon się załudnił. Normalnie gość otwierał około południa, ale kiedy wczoraj usłyszał przez telefon, że chodzi o likwidację „tego” napisu, bez oporów umówił się tak, żeby Tomek mógł spokojnie zdążyć potem na zajęcia. Tomek był nadspodziewanie spokojny. Tak czy owak, nawet

usunięty napis pozostawi swój ślad na zawsze.

Najważniejszy zaś będzie ten w jego głowie.

Gość spojrział na swoje dzieło i zabrał się do roboty.

- Laser nie załatwi sprawy jednorazowo. Cover-up nie zostawiłby blizn, ale pewnie nie chcesz robić sobie czegoś nowego? - Spojrzął pytająco na Tomka. - Teraz modny jest kolor; łatwo by było przykryć to, co masz.

Tomek przecząco pokręcił głową.

- Tak myślałem - mruknął tatuażysta. - Żeby to nosić, trzeba to czuć. Będzie trochę szarpało - uprzedził, przykładając laser do skóry. - Jeszcze ze dwa razy się umówimy i po sprawie.

Kiedy było po wszystkim, Tomek wyciągnął z kieszeni pieniądze. Z portfela wypadła na podłogę jakaś kartka.

- Nie trzeba - powiedział tatuażysta, podnosząc papier i podając go chłopakowi. - Za usuwanie tych haseł płaci kto inny.

- Biznesmen? - Wcale by go to nie zdziwiło.

- Jak go znał, tak znał, ale zapłatę już otrzymałem.

Tomek spojrział na kartkę, która wypadła mu z portfela, i którą podał mu facet od tatuażu. Bilet kolejowy. Do Warszawy. Teraz był gotów na spotkanie. Ruszył do wyjścia. Zanim przekroczył próg, zatrzymał się jeszcze na chwilę.

- Było nas wielu?

Facet wahał się chwilę, zanim odpowiedział.

- Było kilku. A pan jest ostatni, który to usuwa.

Dochodziła dziewiąta. Po nocy u boku Alicji Olgierd patrzył na świat jakby innymi oczami. A może to wreszcie były jego własne, wreszcie niczym nieprzesłonięte? Z całą ostrością widział teraz prawdziwy sens życia. Reszta była tylko tłem. Marcin był już w przedszkolu. Alicja zadbała, żeby tym razem nie wdarł się do pokoju gościnnego. W końcu dziadek musiał odpocząć. Dziś czekało go ostatnie spotkanie, a potem przynajmniej trzygodzinna podróż do domu. Jak na kogoś, kto przez całe życie jeździł jedynie ruskim rowerem w okolicach własnej wsi, to bardzo dużo.

Nie można było jednak pozwolić, żeby Izydor spał do południa. Na drogach mogły być korki, a przecież dla Olgierda ta jazda miała być dwa razy dłuższa; po odwiezieniu dziadka na wieś musiał jeszcze tego samego dnia wrócić do domu.

Alicja krzątała się po kuchni. Śniadanie było gotowe, herbata zaparzona.

Olgierd wszedł na piętro. Trochę może zbyt głośno, ale nie chciał zaskoczyć dziadka, stając tuż nad łóżkiem. Chwilę nasłuchiwał przy drzwiach.

Cisza.

Delikatnie zapukał. Znowu nic. Pożałował, że Marcin jest w przedszkolu; teraz na pewno by mu nie bronił wtargnięcia do pokoju dziadka.

Zapukał jeszcze raz. Głośno. Odpowiedziała mu cisza.

Zdecydowanie nacisnął klamkę.

Izydor leżał na łóżku ze złożonymi dłońmi.

Spał jak zabity.

- Dziadku. - Olgierd delikatnie potrząsnął go za ramię. - Musimy się zbierać.

Stary ani drgnął.

- Dziadku, nie rób sobie żartów! - zawołał Olgierd nerwowo. - To wcale nie jest zabawne.

Korciło go, żeby zacisnąć palce na nosie śpiącego i w ten sposób wyrwać go ze snu. Zamiast tego przeszedł na drugą stronę łóżka i spojrzał na twarz dziadka. Była dziwnie spokojna, jakby wygładzona. Nienaturalnie.

Olgierd pochylił się, nasłuchując oddechu. Na próżno.

Olgierd stał w ogrodzie i palił papierosa. Alicja i Marcin czekali na niego w domu. Nikt nie miał odwagi zakłócić mu samotności. Potrzebował czasu, żeby to wszystko ogarnąć i poukładać. Z drzew zaczęły opadać liście. Silniejszy powiew zimnego wiatru przyprawił go o dreszcz.

Podniósł głowę, usiłując przedrzeć się wzrokiem przez ciemne, zapowiadające deszcz chmury. Tak wiele się wydarzyło, a on stał w swoim ogrodzie, jakby tak naprawdę nic się nie stało. Stracił to wszystko, co jeszcze do niedawna toczyło się poza nim, i gdyby nie wydarzenia ostatnich miesięcy, w ogóle by tej straty nie uważał.

Nie żał stracić coś, czego się nie ma.

Gorzej, jeśli coś się odzyskało zbyt późno, aby móc się tym cieszyć.

Zderzenie dwóch światów.

Popatrzył na wielką brzozę. Konary rozpościerały się na wszystkie strony. Młode gałązki powoli drewniały. Zbyt wiele opadło liści, aby mógł stwierdzić, czy żadna gałąź nie usycha.

Jedna wyglądała trochę podejrzanie. Obumierała, albo po prostu szybciej się poddawała podmuchom wiatru.

To była gałąź Olgierda.

Zmarnuje się, jeśli nie znajdzie połączenia z korzeniami. A przecież wyrosną z niej następne. I następne. Aż drzewo dosięgnie chmur i przebi je się do nieba.

Nie można żyć w pełni bez korzenia. Tamten Amerykanin, zanim zaczął szukać, wiódł z pozoru szczęśliwe życie. Jednak bogactwo i przyjaciele nie potrafili zastąpić mu braku poczucia przynależności.

Dziwny jest porządek tego świata: pewna etapowość, a może i... stopniowanie.

Wszystko jest ze sobą powiązane: kolejność zdarzeń i przypisany im czas. Chronologia i kalendarz. Odnalezienie własnego miejsca w szeregu, z którego można dawać i brać.

Szarość codzienności życia może mieć różne odcienie. Szara myszka, jeśli zechce, może być szarą eminencją.

Wiedział już, że nie pozwoli, żeby jego gałąź uschła, zwłaszcza, że wychodząca z niej mała

gałązka rosła niemal w oczach. Być może wiosną puszcza następane.

Poza tym czuł, że nie jest sam. W domu ma kogoś, kto w niego wierzy, i nawet jeśli się boi kolejnych rozczarowań, ciągle daje mu szansę.

Po świecie chodzą ludzie, których skrzywdził, ale da Bóg, że ich drogi się zejdą, jak schodzą się internetowe złącza.

W najbliższym czasie pojedą do domu dziadka. Olgierd już postanowił, że go kupi; że spłaci pozostałych i zachowa dom w rodzinie. Trzeba będzie to wszystko obgadać, a potem pójść dróżką na cmentarz i zapalić znicz. No i zabrać tam młodego; niech wie, gdzie są jego początki.

Czuł żal, ale i wdzięczność. Za to, że mógł towarzyszyć dziadkowi w ostatniej podróży. Że zdążył mu okazać należny szacunek. Że był przy nim, spłacając poniekąd dług ojcu.

Chałupa stała zamknięta. W środku pozostały stare meble, obrazy, naczynia. Pewnie jeszcze nieraz ktoś ich dotknie, zacierając odciski palców poprzednich użytkowników. Przecież taka jest kolej rzeczy.

I tylko żal gołębi, które wróciły i szukają wypełnionej ziarnem dłoni dobrego gospodarza.

A podfrunęłyby trochę niemądre ptaszyska, zrobiłyby ze skrzydeł użytek.